

TIM
O'BRIEN



Leśne Jezioro



Wydawnictwo

Tim O'Brien

Leśne Jezioro

Przełożyła Małgorzata Wyrzkowska

Tytuł oryginału: „In the Lake of the Woods”

Dla Kate

Dziękuję Kate Phillips.

Larry Cooperowi.

Michaelowi Curtisowi.

Lesowi Ramirezowi, Carole Anhalt.

I mojej kochającej rodzinie.

Sam Lawrence, który zmarł.

W styczniu 1994 roku, był moim.

Wydawcą, rzecznikiem.

I przyjacielem przez ponad.

Dwadzieścia lat Zawsze ze.

Wzruszeniem będę wspominać, że.

Tak wielką pokładał we mnie wiarę.

Choć ta książka zawiera materiał zaczerpnięty ze świata, w którym żyjemy, w tym wzmianki o rzeczywistych miejscach, ludziach i wydarzeniach, należy ją traktować jak utwór literacki. Wszystkie dialogi zostały zmyślane. Pewne głośne i nader rzeczywiste zajścia zmodyfikowano lub przepuszczono przez filtr wyobraźni. John i Kathy Wade są tworem fantazji autora, podobnie jak wszystkie postacie zaludniające w tej powieści stan Minnesota i miasto Angle Inlet.

I O tym, jak bardzo byli nieszczęśliwi

We wrześniu, po prawyborach, wynajęli stary, pomalowany na żółto domek w lesie na krańcu hrabstwa Leśne Jezioro. Było tam mnóstwo drzew, głównie sosen i brzoź. Był też pomost, hangar i paska polna dróżka przez las, kończąca się w dole, u stóp gładkich, szarych kamieni przy brzegu. Żadnych innych dróg nie było. Nie było też miast ani ludzi. Wielkie jezioro otwierało się za pomostem na północ, ku Kanadzie, gdzie ogromna przestrzeń bardzo zimnej wody ogarniała wszystko, gdzie roilo się od ukrytych kanałów wodnych, tras przeciągania łodzi, zatok, leśnych gęstw i wysp bez nazwy. Jak okiem sięgnąć, na obszarze wielu tysięcy kilometrów kwadratowych, ta pusta dziedzina stanowiła jedność, niczym olbrzymie, obłe lustro, nieskończenie błękitne i piękne, i zawsze takie samo. Właśnie dlatego tu przyjechali. Potrzebowali samotności. Potrzebowali powtarzalności, dusznej, hipnotycznej monotonii lasów i wody. Przede wszystkim jednak chcieli być razem.

Nocą rozkładali koce na werandzie i leżeli, obserwując mgłę, sunącą ku nim znad jeziora. Nie byli jeszcze gotowi do tego, żeby się kochać. Raz spróbowali, ale nie poszło im najlepiej, więc teraz obejmowali się tylko i prowadzili ciche rozmowy o dzieciach, które będą mieć, i może o własnym domu. Udawali, że nie jest najgorzej. Wybory zostały przegrane, ale usiłowali przekonać samych siebie, że porażka nie była tak zupełna i druzgocząca, jak to miało miejsce naprawdę. Byli wobec siebie ostrożni. Nie rozmawiali o smutku ani o ogarniającym ich nagle wrażeniu otwierania się zapadni. Leżeli w bezruchu pod kocami i wymyślali na zmianę imiona dla dzieci, które chcieli mieć - czasem tak zabawne, że wybuchali śmiechem - a później obmyślali umeblowanie swojego nowego domu, snuli plany kupna przepięknych dywanów i staroświeckich mosiężnych lamp, ustalali dokładnie kolor tapet i inne szczegóły, na przykład ten, że koniecznie muszą mieć olbrzymią, słoneczną werandę, kamienny kominiek oraz wysokie półki z orzechowego drewna w bibliotece i przesuwaną drabinę.

W ciemności nie miało znaczenia, że są to rzeczy drogie i nieosiągalne. Przechodzili w życiu straszny okres i rozpaczliwie chcieli być szczęśliwi. Pragnęli szczęścia, a nie wiedząc, czym ono jest ani gdzie go szukać, tym bardziej go łaknęli.

Niekiedy, traktując to jako rodzaj zabawy, układali listę romantycznych miejsc, do których pojedą.

- Weronia - mawiała Kathy. - Chciałabym spędzić parę dni w Weronie. - I rozmawiali długo o Weronie, o tym, co tam zobaczą i co będą robić, chcąc, by to miejsce stało się dla nich rzeczywiste. Dokoła nadciągała niska, gęsta mgła znad jeziora, a ich głosy wydawały się

odpływać na chwilę, by potem powrócić z lasu za werandą. Po części było to echo. Ale w jego brzmieniu kryło się coś, co niezupełnie przypominało ich głosy - coś w rodzaju szeptu albo bliskiego oddechu, coś pierzastego i żywego. Milkli, by tego posłuchać, ale wtedy dziwny dźwięk zawsze znikał. Zlewał się z nocą. Rozlegały się szelesty wśród drzew, odgłosy rośnięcia i odgłosy gnicia. Odzywały się nocne ptaki. I plusk fal jeziora o brzeg.

Właśnie w takich chwilach nasłuchiwania otwierała się zapadnia i lecieli w pustkę, gdzie żyły kiedyś wszystkie marzenia.

Próbowali to ukryć. Wracali do rozmowy o pięknych, starych kościołach Werony, o muzeach i kawiarniach na świeżym powietrzu, w których będą pić mocną kawę i zajadać ciasteczka. Wymyślali sobie nawzajem ładne historie. O nocnej jeździe pociągiem do Florencji albo może na północ, w góry, albo do Wenecji, i z powrotem do Werony, gdzie nie istnieją klęski i gdzie nic w realnym życiu nie kończy się źle. Dla obojga była to zabawa w magiczne zaklęcia. Wyobrażali sobie szczęście jako fizyczne miejsce na ziemi, jako tajemną krainę albo egzotyczną, cudzoziemską stolicę, gdzie obowiązują dziwaczne zwyczaje i mówi się trudnym, nowym językiem. Będą mogli tam zamieszkać tylko za cenę wielu wysiłków i zmian, ale chcieli się uczyć.

Czasami nie mieli nic do powiedzenia. Kiedy indziej próbowali być dzielni.

- To wcale nie jest takie straszne - powiedziała mu Kathy pewnego wieczora. - Owszem, sytuacja wygląda kiepsko, ale możemy z tego wybrnąć.

To był ich szósty wieczór w Leśnym Jeziorze. Za niecałe trzydzieści sześć godzin miała zniknąć, ale na razie leżała obok niego na werandzie i opowiadała, jak mogą z tego wybrnąć. Bądźmy realistami, powiedziała. Nie wszystko na raz. Może uda mu się zaciepnić w jakiejś wziętej prawniczej firmie w Minneapolis. Rozejrzeliby się za tanim domem na sprzedaż albo wynajęli coś na jakiś czas, uciulaliby trochę grosza, sporządzili plan wydatków i zaczęli spłacać długi, a potem, za rok albo dwa, mogliby wyskoczyć samolotem do Werony albo gdzieś indziej. Byliby razem szczęśliwi. Zajmowaliby się wszystkimi wspaniałymi rzeczami, których nigdy wcześniej nie robili.

- Znajdziemy nowe pragnienia - powiedziała Kathy. - Zupełnie nowe marzenia. Nie mam racji? - Zaczekała chwilę na odpowiedź, patrząc na niego. - Nie mam?

John Wade spróbował przytaknąć.

Dwa dni później, kiedy jej nie będzie, przypomni sobie dobiegający spod werandy chrobot myszy. Przypomni sobie intensywne zapachy lasu, mgłę, jezioro i osobliwy ruch palców Kathy, które lekko drgały, jakby odpędzała wszystko, co im się w życiu nie ułożyło.

- Tak będzie - powiedziała, przysuwając się do niego. - Sprężymy się i postawimy na

swoim.

- Pewnie - odparł Wade. - Damy sobie nieźle radę.

- Lepiej niż nieźle.

- Tak. Lepiej.

Zamknął oczy. Patrzył, jak wielka biała góra zawala się i pędzi prosto na niego.

Znów poczuł się zmiażdżony. Ale nawet teraz udawał, że się do niej uśmiecha. Mówił z pozornym przekonaniem pocieszające rzeczy, jakby w nie wierzył. To też będzie później pamiętał - udawanie. Czuł w ciemnościach bicie serca Kathy i jej oddech na swoim policzku. Po chwili odwróciła się pod kocami i pocałowała go trochę żartobliwie, wsuwając mu język do ucha, co było irytujące, ale dowodziło, że jej na nim zależy i że chce, by skoncentrował się na tym, co jeszcze mają albo co będą mogli kiedyś mieć.

- No - powiedziała. - Odtąd będziemy szczęśliwi.

- Szczęściarze z nas - odparł.

To był problem wiary. Przyszłość wydawała się nie do zniesienia. Pewną rolę odgrywały też zmęczenie i złość, ale przede wszystkim zrodzona z niewiary pustka.

Leżąc bez ruchu John Wade obserwował w milczeniu mgłę, która rozdzielała się na pasma, przystawała nad pomostem i hangarem, jakby chciała je pochłonąć, wisiała tam przez chwilę, po czym, kłębiąc się i zmieniając kształty, sunęła ciężko w górę zbocza ku werandzie.

Lawina, pomyślał.

Ta myśl przybrała w jego głowie postać konkretnego obrazu - olbrzymiej białej góry, na którą wspinał się całe życie i która teraz zasypywała go na jego oczach. Co za hańba. Odrzucił od siebie tę myśl, ale za chwilę powróciła. Liczby były bezlitosne. W swojej własnej partii przegrał niemal trzy do jednego. Zwyciężył w kilku miastach uniwersyteckich, w hrabstwie Itasca i prawie nigdzie więcej.

Zastępca gubernatora w wieku trzydziestu siedmiu lat. Kandydat do Senatu Stanów Zjednoczonych w wieku lat czterdziestu. W wieku czterdziestu jeden lat człowiek kompletnie przegrany.

Zwycięzcy i zwyciężeni. Na tym polega ryzyko.

Ale chodziło o coś więcej niż tylko świadomość klęski wyborczej. Było w tym także coś fizycznego. Po części upokorzenie, ale również poczucie zdruzgotania w klatce piersiowej i żołądku, no i wściekłość, która podchodziła mu do gardła, tak że miał ochotę wyrzeshczyć najpotworniejsze rzeczy: Śmierć Jezusowi! Nie umiał sobie pomóc, nie umiał rozsądnie myśleć i nie potrafił powstrzymać wrzasku w swojej głowie: Śmierć Jezusowi! - bo nic nie można było zrobić, bo to było takie brutalne, hańbiące i ostateczne. Czasem miał wrażenie, że

oszałał. Że jest autentycznie niegodziwy. Późną nocą wzbierał mu we krwi elektryczny impuls, coraz potężniejszy, dziki, morderczy szal. Nie potrafił go ani utrzymać w środku, ani wyładować. Miał ochotę niszczyć wszystko wokół siebie. Schwycić nóż i ciąć, i dźgać bez końca. Tyle lat. Wspinał się z uporem prawdziwego skurwysyna, piął się, kurwa, do góry centymetr po centymetrze, a potem wszystko w jednej chwili runęło. Dosłownie wszystko. Poczucie celu w życiu. Jego duma, kariera zawodowa, honor i dobre imię, wiara we wspaniałą przyszłość, którą sobie wymarzył.

John Wade pokręcił głową i zasłuchał się w mgłę. Nie było wiatru. O siatkę w oknie za jego plecami objęła się samotna ćma.

Daj sobie spokój, powiedział w duchu. Nie myśl.

Później, kiedy myśli wróciły, przyciągnął Kathy do siebie i mocno ją objął.

- Weronia powiedział zdecydowanym głosem. - Pojedziemy tam. Ekskluzywne hotele.

Wycieczki po całym mieście.

- Obiecujesz?

- Jak najbardziej - odparł. - Obiecuję.

Uśmiechnęła się. Nie widział jej uśmiechu, ale dosłyszał jego drżenie w głosie Kathy, gdy powiedziała:

- A dzieci?

- Ma się rozumieć - odrzekł. - To przede wszystkim.

- Mogę być za stara. Mam nadzieję, że nie.

- Nie jesteś za stara.

- Mam trzydzieści osiem lat.

- Żaden problem. Będziemy mieć trzydzieścioro ósmioro dzieci - powiedział. -

Wynajmiemy w Weronie autokar.

- Świetny pomysł. A potem co?

- Nie wiem, po prostu sobie pojeździmy, pooglądamy ciekawe miejsca i będziemy razem. Ty, ja i autobus pełen dzieci.

- Myślisz, że nam się uda?

- Na pewno. Przecież obiecałem.

Leżeli potem przez dłuższy czas w ciemności, milcząc. Czekali na spełnienie tych słów, na niespodziewany cud. Chcieli tylko jednego - żeby im się znów dobrze żyło.

Później Kathy odsunęła koce i podeszła do balustrady na drugim końcu werandy. Zniknęła w gęstej ciemności, w kłębach mgły, a kiedy się odezwała, jej głos zdawał się dobiegać z daleka, jakby poszybował ponad jej ciało, oderwany i niezupełnie prawdziwy.

- Wcale nie płaczę - powiedziała.

- Pewnie, że nie.

- Mamy w życiu kiepski okres, to wszystko. Musimy jakoś przebrnąć przez tę idiotyczną historię.

- Idiotyczną historię - powtórzył.

- Nie myśl, że...

- Skąd, masz rację. To cholernie idiotyczne.

Wszystko ucichło. Zostały tylko fale i las, delikatny wdech i wydech. Noc zdawała się opatulać ich sobą.

- Słuchaj, Johnie. Nie zawsze udaje mi się znaleźć właściwe słowa. Chciałam tylko powiedzieć... no, wiesz... że jest pewien wspaniały mężczyzna, którego kocham, i chcę, żeby był szczęśliwy. Tylko to mnie obchodzi. Nie żadne wybory.

- W porządku.

- I nie żadne gazety.

- W porządku - powtórzył.

Kathy wydała w ciemności dźwięk, który nie był płaczem.

- A ty mnie kochasz?

- Nad życie.

- To znaczy bardzo?

- Bardzo - odparł. - Niezmiernie, chyba że mierzyć miarą autobusu. Chodź tutaj.

Kathy przeszła przez werandę, uklękła przy nim i położyła mu dłoń na czole. Słysząc było jednostajny pomruk jeziora i lasu. Później, gdy ona zniknie, będzie to pamiętał z doskonałą jasnością, jakby nadal trwało. Będzie pamiętał dobiegający z mgły odgłos oddechu. Będzie pamiętał dotknięcie dłoni Kathy na czole, pełne życia ciepło jej ręki.

- Szczęścia - powiedziała. - Niczego więcej.

II Materiał dowodowy

*Zawsze był skrytym chłopcem. Można chyba powiedzieć, że miał obsesję na punkcie sekretów. Taki charakter.*¹

- Eleanor K. Wade (matka)

¹ Przypisy do rozdziałów „Materiał dowodowy” na końcu rozdziału.

Dowód rzeczowy numer jeden: żelazny imbryk do herbaty Waga: 1.45 kg

Pojemność: 2.84 l

Dowód rzeczowy numer dwa: fotografia łodzi Łódź typu wakeman runabout długości

3.66 m, aluminium, kolor ciemnoniebieski. Silnik evinrude o mocy 1.6 koni mechanicznych.

Mało mówił. Nawet Jego żona nie miała chyba zasranego pojęcia o... no, o niczym. Ten facet wszystko w sobie dusił. ²

- Anthony L. (Tony) Carbo

Nazwisko: Kathleen Terese Wade

Data sporządzenia raportu: 9/21 /86

Wiek: 38

Wzrost: 1.68 m

Waga: 53.5 kg

Włosy: jasne

Oczy: zielone

Fotografia: załączona

Zatrudnienie: kierowniczka dziekanatu, Uniwersytet Minnesota, Minneapolis, Minnesota

Przebyte leczenie: zapalenie płuc (16 lat), przerwanie ciąży (34 lata)

Obecnie przyjmowane leki valium, restoril.

Najbliższy krewny: John Herman Wade

Inni krewni: Patricia S. Hood (siostra), Lockwood Avenue 1625, Minneapolis, Minnesota'

- wyjątek z raportu o zaginięciu

Po pracy co wieczór robiłyśmy razem parę długości w basenie YWCA. Płynęła i płynęła, niemal jak ryba, więc się nie obawiam, że... Myślę, że nic jej nie jest. Słyszał pan kiedyś, żeby ryba utonąła? ⁴

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczki dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

Nie był grubym dzieckiem, w żadnym razie. Był krępy. Miał grube kości. Ale myślę, że jego ojciec czasem dawał mu do zrozumienia, że... no, dawał mu do zrozumienia, że... no... jest trochę tłustawy. W szóstej klasie chłopak zamówił sobie dietę, której reklamę znalazł w jakimś głupim piśmie... Ojciec dość często mu dokuczał. Powiedziałabym, że stale.

- Eleanor K. Wade

Wie pan, co zapamiętałem? Zapamiętałem muchy. Miliony much. Głównie to. ⁵

- Richard Thinbill

Dowód rzeczowy numer trzy: fotografia szczątków roślin doniczkowych. Pozostałości sześciu-ośmiu roślin (1 geranium, 1 begonia, 1 kolodium, 1 filodendron, inne niezidentyfikowane). Materiał roślinny w dużej mierze w stanie rozkładu.

John bardzo kochał ojca. Myślę, że to dlatego tak go raniły te docinki.. Usiłował ukryć... Jak bardzo Jest nimi dotknięty... ale ja zawsze umiałam poznać... Och, ależ on kochał tego swojego ojca (A ja? Cały czas się zastanawiam.) John miał niełatwo. Był za mały, żeby rozumieć, czym jest alkoholizm.

- Eleanor K. Wade

Dowód rzeczowy numer cztery: wyniki sondaży

3 lipca 1986 r.

Wade - 58%

Durkee - 31%

Niezdecydowani - 11%

17 sierpnia 1986 r.

Wade - 21%

Durkee - 61%

Niezdecydowani - 18 %⁶

Porażka to nie jest dobre słowo. Widziałeś pan te liczby? Trzy do jednego, cztery do jednego. To koniec kariery. Ta ofiara nie potrafiłaby nawet wygrać wyborów na pierdolonego zastępcę wylapywacza psów w rezerwacie Siuksów... Pytałem chyba trylion razy, czy jest coś, co nam może zaszkodzić, popsuć szyki i tak dalej. A ten nigdy nie odezwał się słowem. Ani razu. Tak się nie prowadzi kampanii.. Czy go zdradziłem? A skąd, kurwa Wręcz przeciwnie. Tyrałem jak kretyn, żeby ten smutny dupek zwyciężył.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Dowód rzeczowy numer pięć: fotografie (2) hangaru (z zewnątrz), Leśne Jezioro

Dowód rzeczowy numer sześć: fotografie (3) „Domku Wade’a” (z zewnątrz), Leśne Jezioro

Zalóżę się, że właśnie dokąds jędzie autokarem Greyhouna. Ja bym tak zrobiła gdybym była żoną tego palanta Ona lubiła autokary.

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczkki dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

Nie mogę o tym mówić.⁷

- Patricia S. Hood (siostra Kathleen Wade)

Coś z silnikiem. To w końcu stary, wysłużony evinrude. Pewnie zerwała się linka albo poszła świeca. Tylko patrzeć, jak wejdzie przez tamte drzwi Mogę się zalożyć.⁸

- Ruth Rasmussen

Byłam w pracy na Mini-Marcie i oni przyśli. Podałam im kawę przy barku, no i za jakiś czas zaczęli się klócić. To sporo trwało. Ona była wściekła. Nic więcej nie wiem.⁹

- Myra Shaw (kelnerka)

*Chodziło o żonę polityka, więc oczywiście dobrze się przyłożyliśmy. Zrobiliśmy wszystko, z wyjątkiem osuszenia tego cholernego jeziora. Jeszcze nie dałem za wygraną. Codziennie mam oczy otwarte. Nigdy nic nie wiadomo.*¹⁰

- Arthur J. Lux (szeryf, Leśne Jezioro)

*Ten facet ją wykończył.*¹¹

- Vincent R. (Vinny) Pearson

To bzdura Oni się kochali John nie skrzywdziłby muchy.

- Eleanor K. Wade

Te pieprzone muchy!

- Richard Thinbill

Przypisy

¹ Wywiad, 4 grudnia 1989 r., St Paul, Minnesota.

² Wywiad, 12 i 16 lipca 1993 r., St Paul, Minnesota.

³ Zgłoszenie do kartoteki osób zaginionych, formularz policyjny nr 20, biuro szeryfa, hrabstwo Leśne Jezioro, Baudette, Minnesota. Zaginięcie Kathleen Wade zgłoszono 20 września 1986 r, rano. Poszukiwania z udziałem służb nadzoru autostrad stanu Minnesota, biura szeryfa hrabstwa Leśne Jezioro, straży granicznej Stanów Zjednoczonych, Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej (Dywizja Jezior) i policji prowincji Ontario trwały 18 dni, objęły ponad 207.2 tys, ha.

⁴ Wywiad, 21 września 1991 r., Edina, Minnesota.

⁵ Wywiad, 19 lipca 1990 r., Fargo, Dakota Północna. Były starszy szeregowiec Thinbill, rdzenny Amerykanin (plemię Chippewa), służył z Johnem Wadem w 1 plutonie, kompania C, 1 batalion 20 pułku piechoty, 11 brygada piechoty sił specjalnych, dywizja amerykańska, Republika Wietnamu.

⁶ „Minneapolis Star Tribune”, sondaż przedwyborczy w stanie Minnesota z 3 lipca 1986 r, i z 17 sierpnia 1986 r., s. 1

⁷ Wywiad, 6 maja 1990 r., Minneapolis, Minnesota.

⁸ Wywiad, 6 czerwca 1989 r., Angle Inlet, Minnesota.

⁹ Wywiad, 10 czerwca 1993 r., Angle Inlet, Minnesota.

¹⁰ Wywiad, 3 stycznia 1991 r., Baudette, Minnesota.

„Wywiad, 9 czerwca 1993 r., Angle Inlet, Minnesota.

III Istota straty

John Wade stracił ojca, kiedy miał czternaście lat. Był w liceum, ćwiczył właśnie rzuty do kosza, gdy nauczyciel objął go ramieniem i powiedział:

- Weź prysznic. Przyszła twoja mama.

Tej nocy, podobnie jak przez wiele następnych, John czuł żądzę zabijania.

Na pogrzebie pragnął zabić wszystkich, którzy płakali i którzy nie płakali. Miał ochotę chwycić młotek, wleźć do trumny i zabić ojca za to, że umarł. Ale był bezradny. Nie wiedział, od czego zacząć.

Był młody i pełen smutku, więc przez następne tygodnie próbował udawać, że jego ojciec nie umarł naprawdę. Rozmawiał z nim w wyobraźni, prowadził całe dyskusje na temat baseballu, szkoły i dziewczyn. W nocy, gdy leżał już w łóżku, tulił poduszkę, udając, że to ojciec i że czuje jego bliskość. „Nie bądź martwy” - prosił, a ojciec mrugał do niego i odpowiadał: „No to dalej, mów”, i długo dyskutowali o właściwym uderzaniu piłki baseballowej, o silnym poziomym zamachu, o prostym trzymaniu głowy, o ustawieniu ramion i o pozostawianiu reszty kijowi. Udawał, ale udawanie mu pomagało. A kiedy było wyjątkowo źle, zmyślał czasem zawile historie o tym, jak mógł uratować ojca. Wyobrażał sobie najrozmaitsze sposoby. Przykładał w wyobraźni wargi do ust ojca i mocno dmuchał, ożywiając jego serce. Wyobrażał sobie, że wrzeszczy do ucha ojca, że błaga go, by przestał umierać. Raz czy dwa omal mu się udało. „Dobrze, dobrze - powiedział ojciec. - Już przestaję”, ale nigdy nie dotrzymał słowa.

Mimo tych marzeń John w głębi serca nie potrafił oszukać samego siebie. Znał prawdę. W szkole, kiedy nauczyciele mówili mu, jak im przykro, że stracił ojca, wiedział, iż „strata” to po prostu inne określenie śmierci. Ale myśl o rym nie dawała mu spokoju. Wyobrażał sobie ojca, który stracił drogę i, potykając się, idzie ciemną uliczką. Zagubiony, ale bynajmniej nie martwy. I udawanie zaczynało się od nowa. John przebiegał myślą wszystkie miejsca, gdzie ojciec mógł być - pod łóżkiem albo za półkami na książki w salonie - i spędzał na jego poszukiwaniach długie godziny. Otwierał garderoby, lustrował wzrokiem wykładziny, chodniki i trawniki, jakby szukał zawieruszonej pięciocentówki. Może w garażu, myślał. Może pod poduszkami na kanapie. To była tylko gra, sposób na pokonanie problemu, ale od czasu do czasu dopisywało mu szczęście. Zupełnie przez przypadek spuszczał wzrok i nagle dostrzegał ojca w trawie przy domu. „Bingo” - mówił ojciec, a John czuł, że coś się w nim otwiera. Pochylał się, podnosił ojca i wsadzał go do kieszeni z postanowieniem, że nigdy więcej go nie straci.

IV O tym, co zapamiętał

Siódmy dzień w hrabstwie Leśne Jezioro minął im w ciszy. Mieli telefon, ale nigdy nie dzwonił. Nie było gazet, dziennikarzy ani telegramów. W domku wszystko wydawało się kruche, wydrążone, jakby w zawieszeniu, a w porannych godzinach do środka wpływała z lasu ogromna, ciekła cisza i spowijała ich szczelnie. Próbowali ją ignorować; byli wobec siebie ostrożni. Jeśli się odzywali, co nie zdarzało się często, to tylko po to, by zachować pozór, że mają kontrolę nad własnym życiem, że ich problemy można rozwiązać, że kiedyś świat będzie szczęśliwszym miejscem. Choć wymagało to wycucia i siły woli, usiłowali znaleźć pociechę w zwykłych życiowych czynnościach; symulowali własne małżeństwo, dawne nawyki i zwyczaje. Przy porannej kawie Kathy robiła listę zakupów. „Kawior” - powiedziała, a John Wade roześmiał się i dorzucił: „I trufle”, po czym wymienili uśmiechy na dowód swej odwagi i zdecydowania. Ale często napięcie stawało się niemal nie do zniesienia. Pewnego razu, gdy zmywała po śniadaniu, z jej gardła wydobył się jakiś niski dźwięk i zaczęła mówić. Wypowiedziała słowo czy dwa i utkwiała spojrzenie gdzieś poza nim, poza ścianami domku. Po chwili spuściła wzrok na wodę w zlewie i już więcej nie patrzyła w tamto miejsce. Ten obraz nie chciał go opuścić. Dwadzieścia cztery godziny później, gdy Kathy zniknie, John Wade przypomni sobie refleks ogromnej - odległości, który pojawił się na jej twarzy w tamtym momencie, coś jakby mgnienie podróży, i zacznie się zastanawiać, dokąd wyruszyła, dlaczego i jak.

Nigdy się tego nie dowie.

Będzie później szukał wskazówek w chaosie codziennych drobiazgów. W wyblakłych niebieskich dzinsach, które miała na sobie tamtego poranka, w jej starych tenisówkach, w białym bawełnianym sweterku. W odległości, którą zobaczył w jej spojrzeniu. W sposobie, w jaki płukała naczynia po śniadaniu, wycierała ręce i wreszcie wyszła z kuchni, nawet na niego nie patrząc.

A gdyby się wtedy odezwała?

A gdyby oparła się o lodówkę i powiedziała: „Chodź, chcę się z tobą tutaj kochać”, gdyby tak zrobili i gdyby wszystko, co się stało, nie mogło się stać, bo zdarzyłoby się coś Innego?

Niektóre rzeczy pamiętał dokładnie. Inne tylko jak przez mgłę albo wcale. To była kwestia harmonii. Albo coś pasowało, albo nie. Był na przykład zupełnie pewien, że tamtego dnia koło południa włożyli kostiumy kąpielowe i zeszli nad jezioro. Przez ponad godzinę leżeli apatycznie na słońcu, posypiając, a potem pływali, dopóki zimno nie wygoniło ich z powrotem na pomost. Popołudnie było długie i puste. Między sosnami na brzegu płonęły jaskrawe plamy czerwieni i żółci, a w powietrzu unosił się ostry, trupi zapach jesieni. Na

jeziorze nie było rybaków, łodzi ani pływaków. Jakies półtora kilometra na południe trójkątny dach wieży obserwacyjnej Straży Leśnej unosił się na falach rozległego, zielonego oceanu. Las przecinała na ukos wąska, dzika dróżka, a za nią, bardziej na zachód, znad domku Rasmussena unosił się szary dym. Na północy były tylko lasy i jeziora.

Pamiętał uczucie śliskości i rozwodnienia w żołądku. Popołudniami zawsze bywało lepiej. Fale, błyski na wodzie i wielkie srebrne jezioro, otwierające się ku Kanadzie. Nie jest źle, myślał. Patrzył w niebo i udawał, że to on jest zwycięzcą. Uściski dłoni i uradowane twarze - to był przyjemny widok. Wygrał, bez dwóch zdań. Wygrzewał się w białych, orzeźwiających promieniach słońca, prawie w to wierząc.

- Hej - odezwała się po chwili Kathy, trącając go łokciem - dobrze się czujesz?

- Wyśmienicie - odparł.

- Nie wyglądasz...

- Ależ skąd, czuję się świetnie.

Wzrok Kathy znów pobiegł w dal. Włożyła słoneczne okulary. Upłynęło kilka pustych chwil, zanim zapytała:

- Johnie?

- Chryste - powiedział. - Pierdolę to.

Zapamiętał drgnienie jej szczęk, ich ruch przypominający zatraskiwanie.

Znów poszli popływać. Skakali na zmianę z pomostu, schodząc głęboko pod wodę. Wreszcie wysuszyli się na słońcu i wrócili do domku na spóźniony obiad. Kathy spędziła resztę popołudnia nad zeszytem krzyżówek. Wade usiadł przy kuchennym stole nad stertą rachunków. Ułożył schludne kupki według ważności, przewiązał je gumkami i wrzucił do swojej teczki.

Bolały go oczy.

Znów czuł we krwi ten elektryczny impuls.

O trzeciej nakręcił numer Tony'ego Carbo, ale go nie zastał. Kiedy spróbował znów pół godziny później, sekretarka Tony'ego powiedziała, że wyszedł na cały dzień.

Wade podziękował i odłożył słuchawkę.

Wyłączył telefon, zaniósł go do kuchni i wsadził do szafki pod zlewem.

- Śmierć Jezusowi - powiedział. To go rozbawiło.

Może się zdrzemnął. Może wypił jednego czy dwa drinki. W miarę dokładnie będzie pamiętał tylko to, że późnym popołudniem zamknęli domek i pojechali do odległego o dziewięć kilometrów miasta. Pozostanie mu w pamięci wrażenie dziwnego ucisku w uszach - jakby podwodnego ciśnienia. Leśnym traktem dotarli do domku Rasmussena, gdzie dróżka

zakręcała na północ, by przebiec przez żelazny most i przeistoczyć się w pokrytą sypkim żwirem szosę. Wade zapamięta stojące wzdłuż drogi olbrzymie, strzeliste sosny, których gałęzie sklepiały się niekiedy nad ich głowami, tworząc cieniste tunele. Kathy siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach. Kiedy przejechali dwa albo trzy kilometry, włączyła radio, posłuchała przez chwilę, po czym z powrotem wyłączyła. Była czymś zaabsorbowana albo zdenerwowana, albo pogrążona w jakimś stanie pośrednim. Jeśli cokolwiek mówili w czasie tej jazdy, nie pozostało to w jego pamięci.

Kilometr przed miastem skarłowaciałe sosny zaczęły rzednąć i ukazał się horyzont. Droga weszła w ostatni ostry zakręt i pobiegła wybrzeżem prosto na zachód do Angle Inlet. Jak pocztówka z księżycą, pomyślał Wade. Minęli prowadzoną przez Pearsona stację Texaco, nieduży biały budynek szkoły i rząd osamotnionych, domagających się odmalowania domków. Czyjś kot odbywał popołudniową sjęstę na schodach budynku poczty.

Wade zaparkował i poszedł odebrać korespondencję - wyciąg od ich księgowego i list od siostry Kathy z Minneapolis.

Przeszli na drugą stronę ulicy, zrobili zakupy spożywcze, kupili aspirynę, coś mocniejszego i mleczko do opalania, po czym usiedli w maleńkim bufecie przekąskowym w Mini-Marcie Ardahla i wypili kawę. Obrotowy zegar coca-coli wskazywał godzinę piątą dwanaście. Niemal dokładnie za dziewiętnaście godzin Kathy zniknie, teraz jednak przebiegała wzrokiem list od siostry i z kącików jej oczu znikало napięcie. W pewnym momencie prychnęła i szarpnęła głową.

- Boże - jęknęła, po czym zachichotała i złożyła list. - Znów to samo.

- O co chodzi?

- O Patty. Przy dwójce chłopców nieszczęścia jak zwykle chodzą parami. Trzeba być stale niezłym żonglerem.

Wade pokiwał głową i powiedział:

- To Patty dobrze robi. Dodaje jej sił. - Znów poczuł elektryczny impuls we krwi. Z podłóg Mini-Martu unosił się zapach ryb i trocin. Aluminiowy zbiornik z rybami przy drzwiach wydawał jednostajny, bulgoczący dźwięk.

- Siła to niezła rzecz - odparła Kathy - ale gorzej z mężczyznami. To nie żarty. Wygląda, jakby zawsze pojawiali się dwójkami - przynajmniej w wypadku Patty. Są jak węże albo politycy. - Mrugnęła do niego. - To był żart.

- Udany.

- Johnie...

- Bardzo mądry.

Na jej policzku drgnął jakiś mięsień. Wzięła do ręki szklaną solniczkę i stuknęła nią w ladę.

- To nie moja wina.

Wade wzruszył ramionami.

- Przykro mi.

- No to przestań - powiedziała. - Przestań, do cholery.

Okręciła się na taborecie, wstała, podeszła do stojaka z pismami i znieruchomiła plecami do Wade'a. Zmierch zapadał szybko. O siatkowe drzwi Mini-Martu uderzyła zimna bryza znad jeziora. Wystraszyła pulchną, młodą kelnerkę, która przy napełnianiu ich filiżanek ułała trochę kawy.

Była piąta dwadzieścia cztery.

Po chwili Kathy znów usiadła i zaczęła się wpatrywać w pokryte sztucznym szronem lustro z drugiej strony lady, w reklamy Pabbsta i Hamma oraz bromo-seltzera. Unikała kontaktu wzrokowego, zapadając się w sobie. Obserwującego ją w lustrze Johna przygniotła na moment nieokiełznana, siła własnej miłości. Piękna kobieta. Ma zmęczoną twarz, na której widać już pojawiające się z wiekiem wiotczenie skóry i przebarwienia, ale wciąż zachwyca go w niej wiele rzeczy. Zielone oczy, brązowa wakacyjna opalenizna, szczupłe nogi i kształtne, drobne palce. Ale także inne subtelne szczegóły. Doskonałość, z jaką jej dłoń mieści się w jego ręce. Niemal zupełna biel jej rozjaśnionych słońcem włosów przy skroniach. Pamiętał, że na studiach lubiła kłaść się, chwytając własne stopy jak niemowlę, opowiadać zabawne historie i, turlając się po łóżku, chichotać z radości. Pamiętał też milion Innych rzeczy.

Po chwili Wade westchnął i wsunął dolarowy banknot pod swój spodeczek.

- Przepraszam cię, Kath - powiedział. - Mówię to szczerze.

- W porządku, przeprosiłeś.

- Już dobrze?

- Przepraszam, przepraszam. I tak bez końca. - Kathy czekała, aż młoda kelnerka zabierze ich filiżanki. - Przestań mnie obwiniać. Przegraliśmy. Taka jest prawda: przegraliśmy.

- To było coś więcej niż przegrana.

- Nie możemy tego dalej ciągnąć, Johnie.

Wade spojrzał na obrotowy zegar.

- Jestem potworem.

Zjedli lekką kolację, pograli trochę w tryktraka na dziesięciocentówki i posiedzieli w

salonie, słuchając płyt. Koło ósmej poszli na krótki spacer. Świecił księżyc i trochę gwiazd, a noc była wietrzna i chłodna. Mgła nie wytoczyła się jeszcze znad jeziora. Później John Wade będzie pamiętał chwilę, gdy sięgnął po jej dłoń, i niewymuszony splot ich palców. Ale zapamięta również, że Kathy cofnęła dłoń po kilku krokach. Założyła ręce na piersi, skierowała się do żółtego domku i, nie czekając na niego, weszła do środka.

Tamtej nocy nie wynieśli koców na werandę. Nie kochali się. Przez resztę wieczora skupiali się na tryktraku i przesuwaniu dziesięciocentówek tam i z powrotem po kuchennym stole.

W pewnej chwili podniósł na nią wzrok i powiedział:

- Kath, to, co pisali w gazetach...

Kathy podała mu kość.

- Twój ruch - odparła.

O ile go pamięć nie myli, poszli do łóżka koło jedenastej. Kathy zgasiła światło. Przesunęła się na swoją stronę i powiedziała: „Czas na sny”, niemal pogodnie, jakby nie miało żadnego znaczenia, że odchodzi.

V Hipoteza

To oczywiście czysty domysł, ale może ukrywała jakiś romans. Małżeństwa się rozpadają. Napięcie się kumuluje. W ich życiu był już taki precedens.

Kiedy tamtego poranka, w kuchni, spojrzenie Kathy Wade pobiegło w dal, być może wyobrażała sobie pokój hotelowy w Minneapolis, Seattle albo Milwaukee, duży, czysty, z klimatyzacją i kwiatami, bez polityków i porażek. Może zobaczyła kogoś, kto na nią czeka. Albo kogoś, kto jedzie do hrabstwa Leśne Jezioro, śpiesząc jej na ratunek. Jakiegoś spokojnego mężczyznę. Mężczyznę niezdolnego do podstępów i wolnego od ukrytej przeszłości. Może znużyły ją pułapki i zapadnie, mąż, którego nigdy nie знаła, i może wieczorem, gdy powiedziała „czas na sny”, właśnie to miała na myśli - sen o ucieczce. Sen, w który zaraz się przeniesie.

W wypadku osób zaginionych, podobnie jak w wypadku zmarłych, istnieją tylko płynne możliwości.

Może niebo, a może nie.

Może nie potrafiła mu o tym powiedzieć. Może wszystko zainscenizowała. To mało prawdopodobne, ale nie wykluczone. Miała mnóstwo powodów - znużenie, strach, wyczerpanie cierpieniem. Może obudziła się nazajutrz wczesnym rankiem, wykradła z łóżka, ubrała i wyszła na werandę. Może cicho zamknęła za sobą drzwi i poszła wąską leśną drogą

do miejsca, gdzie czekał samochód.

VI Materiał dowodowy

Nazywaliśmy go Czarodziej. Takie miał przezwisko.

- Richard Thinbill

Dowód rzeczowy numer siedem: fotografia Johna Wade'a w wieku 12 lat

Uśmiechnięty

Krępy, ale nie otyły

Stoi z czarodziejską różdżką nad czterema białymi myszkami

Miał zwyczaj ćwiczyć w piwnicy. Stawał przed swoim starym lustrem i robił sztuczki przez całe godziny. Ojciec uważał, że ma nie po kolei w głowie. Zawsze sam, zawsze zamknięty, w odosobnieniu. Był bardzo skrytym chłopcem, chyba już o tym wspominałam.

- Eleanor K. Wade

Dowód rzeczowy numer osiem: magiczne pudełko Johna Wade'a niepełna lista:

Deszcz Monet

Róg Obfitości

Duch Ciemności

Woreczek z Jajkiem

Gilotyna Śmierci jedwabne apaszki uchwyty różdżki druty krawaty identyczne z krawatem ojca (6)

Czasami to wyglądało prawie tak, Jakby siostra się go bała. Pamiętam, Jak raz Kathy... Chociaż myślę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać.

- Patricia S. Hood

Od czego chciała tak bardzo uciec? Uwięziona dziewczica ma dość czasu na rozmyślanie, by prędko zrozumieć, że więzienna wieża. Jej wysokość i architektura są równie przypadkowe Jak jej własne ego: naprawdę zaś przykuły ją do tego, a nie innego miejsca czary, bezimienne i okrutne, rzucone na nią z zewnątrz bez żadnej przyczyny. Aby poznać tę okrutną magię, miała dany tylko kobiecy spryt i strach obejmujący wnętrzości, tylko z ich pomocą mogła zrozumieć, jak działa zły czar, zmierzyć jego pole, policzyć linie sił, mogła więc tylko odwołać się do przesądów albo znaleźć sobie pożyteczne hobby, takie jak tkactwo, albo oszaleć, albo wyjść za mąż za prezentera radiowego. Jeśli wieża jest wszędzie, a rycerz niosący zbawienie nie potrafi uchronić jej przed czarem cóż pozostaje? ¹

- Thomas Pynchon („49 idzie pod młotek”)

Badanie urazów psychicznych to stawanie oko w oko zarówno z kruchością człowieka

w świecie natury, jak i ze zdolnością do zła w naturze ludzkiej.²

- Judith Herman („Trauma and Recovery”)

*Nie istnieje coś takiego jak „przyzwyczajanie się do walki”... Każdy jej moment łączy się z tak ogromnym napięciem, że załamanie pozostaje w bezpośrednim związku z intensywnością i długością udziału człowieka w walce. Dlatego też urazy psychiczne są na wojnie równie nieuniknione jak rany postrzałowe czy rany od szrapnela.*³

- J.W. Appel i G.W. Beebe (profesorowie psychiatrii)

Nie tylko wojna zrobiła z niego tego, kim był. To zbyt proste. Wszystko odegrało swoją rolę - cała jego natura... Chcę jednak powiedzieć z całym naciskiem, że zawsze umiał się zachować, zawsze był troskliwym, miłym chłopcem. Na pogrzebie nie potrafił nad sobą zapanować. Ja też miałam ochotę krzyknąć. Jeszcze teraz chodzę na grób męża, patrzę na ten głupi kamień i wrzeszczę: „Dlaczego, dlaczego, dlaczego?!”

- Eleanor K. Wade

Wie pan, myślę, że magia i polityka były dla niego prawie tym samym. Transformowanie - trochę na tym to polegało - próba zmieniania rzeczywistości Jak się nad tym zastanowić, iluzjoniści i politycy mają w gruncie rzeczy fiola na punkcie władzy. (Śmiech) Coś niecoś o tym wiem, no nie?

- Anthony L. (Tony) Carbo

*Umiejętność pozornego robienia rzeczy, które są w oczywisty sposób niemożliwe, da ci wyraźne poczucie własnej mocy i może sprawić, że staniesz się fascynującą, zabawną jednostką.*⁴

- Robert Parrish („The Magician’s Handbook”)

*Dając wyraz uczuciu (Lyndon Johnson) - nieustannie, właściwie we wszystkich ocalałych listach - błagał o jego odwzajemnienie.*⁵

- Robert A. Caro („The Years of Lyndon Johnson”)

*To pewne, że nie istniał dotąd człowiek dla, którego miłość byłaby bardziej problematyczną sprawą niż dla mnie.*⁶

- Woodrow Wilson

Kiedy ojciec umarł, John prawie nie płakał, ale wyglądał, jakby był strasznie wściekły.

Nie mogę go winić. Ja też byłam zła. Chcę powiedzieć, że... no, wie pan... cały czas zadawałam sobie pytanie „Dlaczego?” Nie widziałam w tym sensu. To prawda, że jego ojciec miał problem alkoholowy, ale pod tym kryło się coś innego, jakiś ogromny smutek, którego nigdy nie potrafiłam pojąć. Ten smutek pchał go do picia, a nie odwrotnie. Myślę, że to dlatego poszedł tamtego dnia do garażu... Tak czy owak, John mało płakał. Pamiętam, że

parę razy wpadł we wściekłość. Wrzeszczał i tak dalej. Na pogrzebie też. To były strasznie głośne wrzaski.

- Eleanor K. Wade

Po urazie system samozachowawczy człowieka działa tak, jakby był nieustannie zaalarmowany, jakby niebezpieczeństwo mogło lada moment powrócić. Stan fizjologicznego pobudzenia utrzymuje się, nie tracąc na sile.⁷

- Judith Herman („Trauma and Recovery”)

To niezupełnie była bezsenność. John potrafił zasnąć w oka mgnieniu, ale potem, ni stąd, ni zowąd, budził się po dziesięciu czy dwudziestu minutach. Nie mógł zasnąć na dłużej. Jakby czuwał, jakby na coś w napięciu czekał... Nie wiem, na co.

- Eleanor K. Wade

Czasem trochę mi wstyd za siebie, gdy sobie uświadamiam, jak mało mam przyjaciół wśród rzeszy znajomych. Wiele osób ofiarowuje mi swą przyjaźń, ale niemal zawsze ją odrzucam, po części dlatego, że jestem zamknięty w sobie i nieśmiały, a po części dlatego, że jestem wybredny i nie po katolicku przesiewam przyjaciół przez gęste sito swoich upodobań. Potem rozglądam się ze zdziwieniem i widzę, jak niewielu ludzi przy mnie stoi i zna mnie takim, jakim jestem.⁸

- Woodrow Wilson

Niech mi pan pokaże polityka, a pokażę panu nieszczęśliwe dzieciństwo. To samo z magikami.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Moja matka była święta.⁹

- Richard M. Nixon

Pamiętam, jak Kathy mi opowiadała, że czasem budził się z krzykiem. Wykrzykiwał plugastwa, których nie powtórzę. Szczerze mówiąc, wolałabym w ogóle o tym nie mówić.

- Patricia S. Hood

Pan Wade z jakiegoś powodu wyrzucił ten stary żelazny imbryk do herbaty. Sama go wydobyłam ze śmieci. Był przecież zupełnie dobry.

- Ruth Rasmussen

Ten sukinsyn zrobił jakieś draństwo.

- Vincent R. (Vinny) Pearson

Vinny to teoretyk. Ja patrzę na fakty. Ta sprawa jest otwarta na oścież.¹⁰

- Arthur J. Lux (szeryf, hrabstwo Leśne Jezioro)

Przypisy

¹ Thomas Pynchon, „49 idzie pod młotek*”, przeł. Piotr Siemion. Warszawa 1990, S.17.

² Judith Herman, „Trauma and Recovery” (New York, Basic Books, 1992), S.7

³ J.W. Appel i G.W. Beebe, „Preventive Psychiatry: An Epidemiological Approach”, „Journal of the American Medical Association” 131 (1946), S.1470.

⁴ Robert Parrish, „The Magician’s Handbook” (New York, Thomas Yose-lof, 1944), s. 10.

⁵ Robert A. Caro, The „Years of Lyndon Johnson: The Path to Power” (New York, Alfred A. Knopf. 1982), s. 228.

„Woodrow Wilson, w: Richard Hofstadter, „The American Political Tradition” (1948, reprint, New York, Vintage Books, 1989), s. 310. ‘Herman, „Trauma and Recovery”, s. 35.

⁸ Woodrow Wilson, w: Hofstadter, „The American Tradition”, s. 310-311. „Richard M. Nixon, „The Memoirs of Richard Nixon” (New York, Grosset and Dunlap, 1978), s. 1088.

¹⁰ To prawda, sam też jestem teoretykiem. Biografem, historykiem, medium - możecie mnie nazwać, jak wam się podoba - ale po czterech latach ciężkiej pracy mam w ręku niewiele więcej niż domysły i otwarte możliwości. John Wade był magikiem, zdradził niewiele swoich sztuczek. Poza tym samo życie jest przetykane tajemnicami - motywami ludzkich zachowań, ludzkimi pragnieniami. Nawet to, co może wydawać się w tej opowieści faktem - akcja, słowo, myśl - musi być mimo wszystko traktowane jako sumienna, lecz pozostająca w sferze fantazji wersja wydarzeń. Próbowałem oczywiście zachować wierność wobec materiału dowodowego. Ale dowody nie są prawdą. Są tylko oczywistością. Tak czy inaczej Kathy Wade jest na zawsze zaginiona, a jeśli zależy wam na jakichś rozwiązaniach, musicie ich poszukać poza stronicami tej książki.

VII Istota małżeństwa

Kiedy John Wade był chłopcem, pasjonował się magią. W piwnicy, gdzie ćwiczył przed stojącym lustrem, zmieniał kolory jedwabnych apaszek matki. Ciął nożyczkami najlepszy krawat ojca i na nowo go spajał. Kładł na dłoni jednocentówkę, zaciskał pięść i zamieniał pieniążek w białą myszkę.

To nie była prawdziwa magia, lecz oszukaństwo. Ale John Wade udawał czasem, że jest inaczej - bo był dzieckiem, bo cały smak magii polegał na udawaniu i wreszcie dlatego, że to, co się działo pozornie, stawało się na chwilę wydarzeniem samym w sobie. Był marzycielem. Lubił oglądać swoje dłonie w lustrze i wyobrażać sobie, że pewnego dnia posiadzie sztukę dużo wspanialszej magii: zacznie zamieniać tygrysy w żyrafy, sprawiać, że

piękne dziewczyny - może nagie - będą lewitować jak anioły w żółtych światłach reflektorów pod sufitem, po prostu fruwać bez żadnych drutów czy lin.

Kiedy umarł ojciec, John jako czternastoletni chłopiec robił sztuczki w myślach. Leżał nocą w łóżku i wyobrażał sobie duże, niebieskie drzwi, które po jakimś czasie się otwierają, ukazując ojca. Ojciec zdejmuje kapelusz i siada w bujanym fotelu koło łóżka. „No, wróciłem - mówi - ale nie mów mamie, bo mnie zabije”. Puszczą do niego oko i wyszczerzą zęby w uśmiechu: „Co nowego?”

I rozmawiają przez chwilę po cichu, odrabiając zaległości. Jakby scalali pocięty krawat.

Poznał Kathy jesienią tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. On studiował na ostatnim roku na Uniwersytecie Minnesota, a ona na pierwszym. Sztuczka polegała tym razem na tym, żeby ją w sobie rozkochać na zawsze.

Zależało mu na czasie głównie ze strachu. Nie chciał jej stracić. Czasem budził się nagle w nocy, bo miał sen, że go rzuciła, ale kiedy próbował jej to wyjaśnić, wyśmiewała go. Mówiła, żeby przestał, że ona nigdy nie odejdzie, a w ogóle takie myślenie jest destrukcyjne, negatywne i niezdrowe.

- Jestem tu - powiedziała - i nigdzie się nie wybieram.

John rozmyślał nad tym przez kilka dni.

- W porządku - powiedział - ale mimo wszystko nie daje mi to spokoju. Różne rzeczy potrafią się zepsuć. Nic nie trwa wiecznie.

- My nie jesteśmy rzeczami - odparła Kathy.

- Ale przypadki się zdarzają.

- Nie nam.

John wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Wyobraził sobie wielki biały hełm ojca.

- Może - powiedział - ale skąd pewność? Ludzie tracą się nawzajem.

Na początku listopada zaczął ją śledzić. Początkowo czuł się trochę winny, co mu przeszkadzało, ale mimo to miał satysfakcję. To jest jak magia, myślał - błyskawiczna, potężna fala. Wie o tym, o czym nie powinien wiedzieć. Zna intymne, drobne szczegóły: co ona jada na śniadanie, że popala papierosy. Finezja i zwodniczość były jego specjalnością, więc szpiegowanie przychodziło mu z łatwością. Wieczorami stawał pod akademikiem i wpatrywał się w światło w jej pokoju. Kiedy gasło, szedł za nią do klubu studenckiego, do biblioteki albo gdzie indziej. To nie była kwestia zaufania lub jego braku. Cały świat funkcjonuje dzięki podstępom i woli wiary. Czasem umawiał się z nią, a potem odwoływał spotkanie, żeby sprawdzić, jak wykorzysta czas. Szukał oznak zdrady: w tym, jak uśmiecha

się do ludzi, w jej zachowaniu wobec innych mężczyzn. W pewnym sensie najbardziej ją kochał szpiegując. Odkrywał wtedy ukryty świat, nowe sposoby patrzenia na nią, nowe perspektywy, nowe powody do podziwu. W czwartki wieczorem szedł na przespiesi na trening kobiecej sekcji koszykarskiej. Podpatrując ją spod ławek na widowni, podziwiał jej energię, entuzjazm i szczupłe, brązowe nogi. Doszedł do wniosku, że w sporcie nie jest najlepsza, ale sprawiały mu frajdę jej pląsy przy każdym rzucie wolnym. Miała wolę współzawodnictwa, która napełniała go dumą. W gimnastycznych spodenkach wyglądała bezkonkurencyjnie.

W głębi duszy John oczywiście zdawał sobie sprawę, że szpiegowanie nie jest rzeczą właściwą, ale nie potrafił się powstrzymać. W pewnej mierze, myślał, Kathy sama się o to prosi - popychała go do tego jej osobowość. Zawzięcie broniła swojej intymności i niezależności. Bywało, że szli razem do kina albo na prywatkę, a ona po prostu zniknęła. Odchodziła po paczkę gumy do żucia i zapominała wrócić. Właściwie nie było to lekceważenie, ale też i nie troskliwość. Kiedy buszowali po jakimś sklepie albo księgarni, oddalała się gdzieś bez powodu i zwykle bez ostrzeżenia, a gdy w chwilę później podnosił wzrok, już jej nie było, jakby ją zmiotło z powierzchni ziemi. Była obok, a potem nagle zniknęła i nie widział jej przez całe godziny, o ile nie odnalazł jej zaszytej w czytelni. Sprawiało mu to bolesną udrękę. Rozumiał jej potrzebę bycia samej, rezerwowania czasu dla siebie, ale zbyt często wpadała w przesadę, co budziło w nim wątpliwości. Szpiegowanie pomagało. Nie dokonywał żadnych wielkich odkryć, ale przynajmniej wiedział, na czym stoi.

Poza tym miał z tego przyjemność. Lubił wyzwania.

Czasem cały dzień spędzał na śledzeniu Kathy. Sztuka polegała na tym, żeby zachować cierpliwość i być stale w pogotowiu. Lubił uczucie musowania w żołądku, które mu towarzyszyło, gdy szedł jej śladem z miejsca na miejsce. Lubił wtapiać się w tłum, czatować w drzwiach, przewidywać jej marszrutę na terenie uczelni. To zajęcie wymagało zręczności fizycznej lub raczej zręczności umysłu. W chłodne jesienne dni niosła go potężna, tajemnicza siła radości ze zdobywania dostępu do czyjegoś prywatnego życia. Takie na przykład batoniki Hersheya - Kathy była od nich uzależniona, nie potrafiła im się oprzeć. Zdobywał informacje o przyjaciółkach i nauczycielach Kathy, o jej drobnych nawykach i zwyczajach. Obserwował ją, gdy wybierała mu prezent na urodziny. Był w aptece, gdy kupowała pierwszy kapturek przeciwciażowy.

- To niesamowite - powiedziała mu raz Kathy - jak ty mnie dobrze znasz.

Ku jego zdumieniu Kathy nadal go kochała, jej miłość nie gasła, i w wiosennym semestrze snuli już plany, że się pobiorą, będą mieć dzieci i pewnego dnia zamieszkają w

wielkim, starym domu w Minneapolis. Dla Johna był to szczęśliwy okres. Prawie zupełnie zarzucił szpiegowanie. Mógł się jej zwierzać ze swoich ambicji i marzeń. Najpierw studia prawnicze, powiedział, potem praca w partii, i wreszcie, kiedy wszystkie elementy układanki trafią na swoje miejsce, coś naprawdę imponującego. Może zastępca gubernatora. Albo senator Stanów Zjednoczonych. Ma wszystko zaplanowane; wie, czego chce. Kathy słuchała uważnie, co jakiś czas kiwając głową. Miała zielone, inteligentne oczy i wnikliwe spojrzenie.

- Fajnie - powiedziała - ale po co to wszystko?

- Po co?

- No, dlaczego?

John zawahał się.

- Bo... no... bo tego chcę.

- To znaczy czego?

- Chyba tego, co wszyscy. Żeby coś się zmieniało. Żeby coś się działo.

Kathy leżała w łóżku na wznak. Był koniec kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Miała dziewiętnaście lat.

- Ciągle czegoś tu nie rozumiem - powiedziała. - Mówisz w taki sposób, jakbyś miał to wykalkulowane. To za zimne. Zaplanowałeś najdrobniejsze szczegóły.

- Czy to źle?

- Nie. To nie jest źle.

- Więc o co chodzi?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To mi się po prostu wydaje jakies dziwne. Wszystko obmyśliłeś, we wszystkich aspektach, oprócz jednego: po co?

- Dla nas - odparł. - Kocham cię, Kath.

- Ale mam wrażenie... nie powinnam tego mówić... że to manipulacja.

John odwrócił się i spojrzał na nią. Ma dziewiętnaście lat, to prawda, ale w jej oczach jest coś kategorycznego i sceptycznego, coś przerażającego. Wytrzymała jego spojrzenie, nie odwracając wzroku. Trudno było ją zwieść. Znow ogarnął go na moment nagły lęk, że ją straci, że spartaczy sprawę, więc poświęcił dłuższą chwilę, żeby spróbować jej wyjaśnić, że się myli. Nie ma w tym nic nieczystego, zapewnił. Opowiedział o uczciwym życiu, o czynieniu dobra na świecie. Ale już w chwili, gdy o tym mówił, poczuł, że to niezupełnie prawda. Polityka jest manipulacją. Ma w sobie coś z magicznego widowiska - niewidoczne sznurki i ukryte zapadnie. Wyobraził sobie, że bierze w dłoń całe miasto, zaciska pięść i przemienia je w szczęśliwszą krainę. Cała przyjemność polegała na manipulacji.

Skończył studia w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Toczyła się wojna, która wykraczała poza zasięg jego manipulacji, i dziewięć miesięcy później znalazł się na dnie rowu irygacyjnego. Muł sięgał mu do pasa. Nie mógł się ruszać. Tym razem sztuka polegała na tym, żeby nie oszaleć.

Jego listy do Kathy były radosne i bogate w informacje, pełne pikantnych szczegółów. Przynosiły mu ulgę jej ploteczki o rodzinie i przyjaciółach. Opowiadała mu śmieszne historie o swojej siostrze Pat, o swoich nauczycielach, współlokatorkach i drużynie koszykówki. Rzadko wspominała o wojnie. Kathy niepokoiła się o jego bezpieczeństwo, ale miała wątpliwości co do motywów, dla których na niej się znalazł.

Mam nadzieję, że to nie jest element twojej gry politycznej, napisała. Ci zmarli nie głosują, Johnie.

Ten list go zranił. Nie rozumiał, jak mogło jej przyjść do głowy coś podobnego. To prawda, iż czasem sobie wyobrażał, że wraca do domu jako bohater, ubrany w nowiuteńki mundur, w którym wygląda bardzo dziarsko, i uśmiecha się do tłumów, a w jego zachowaniu jest stosowna skromność i godność. Było też prawdą, że mundur zwiększa szanse wyborcze. Mimo to poczuł się urażony.

Kocham cię - odpisał - i mam nadzieję, że pewnego dnia we mnie uwierzysz.

John Wade był żołnierzem kiepskim, zaledwie przeciętnym, ale udało mu się przetrwać bez blamażu. Pod ostrzałem pochylał głowę, unikał kłopotów i ufał, że dopisze mu szczęście i przeżyje. Był w zasadzie dość lubiany wśród żołnierzy kompanii

Charliego. Wieczorami, po wykopaniu dołków, pokazywał czasami swoim nowym kumplom karciane sztuczki, przeważnie te najprostsze. Sprawiały mu przyjemność ich szerokie uśmiechy i zmarszczone brwi, gdy przeistaczał asa pik w królową kier, a królową kier w fotografię Ho Chi Minha. Albo połykał swój scyzoryk. Otwierał go, odchyłał głowę do tyłu, pozorował odpowiednie ruchy, a potem wyciągał scyzoryk z czyjejś kieszeni. To robiło na tych facetach wrażenie. Nazwali go Czarodziejem. „Czarodziej to swój chłop”. A dla Johna Wade’a, który zawsze uważał się za samotnika, ten przydomek był jak cenna odznaka klubowa, emblemat świadczący o przynależności do jakiegoś bractwa, coś, z czego można być dumnym. No i jak to wspaniale brzmi - Czarodziej. Była w tym magia, sugerowało pewną władzę, pewne rzadkie umiejętności i uzdolnienia.

Żołnierze z kompanii Charliego zdawali się podzielać ten pogląd.

Pewnego popołudnia w Pinkville, gdy gościowi nazwiskiem Weber przestrzeliło nerkę, Czarodziej ukląkł, przycisnął ręcznik do rany i powiedział to, co zwykle się mówi:

- Leż tu i nie ruszaj się.

Weber skinął głową. Przez chwilę leżał w milczeniu, kołysząc się na boki, a potem nagle zachichotał i spróbował usiąść.

- Ej, bez żartów - powiedział. - Przecież jestem zdrowy, mam zdrówko jak złoto. - Ciągłe się kołysał, nie mógł spokojnie uleżeć. - Złoto, złoto. To nie kit, stary, zdrówko jak złoto. - Zamknął oczy. Prawie się uśmiechał. - No, dalej - powiedział. - Rób swoje czary mary.

W Wietnamie, gdzie królował przesąd, istniała fundamentalna potrzeba wiary - wiary dla samej siebie - więc z czasem koledzy zaczęli wierzyć w moc Czarodzieja. Początkowo tylko w żartach. To było zwykłe gadanie. „Słuchajcie - odzywał się któryś - dziś w nocy jesteśmy niewidzialni”. A inny dorzuczał: „Mamy to jak w banku. Czarodziej weźmie swój magiczny pył, zdrowo nas posypie i zmieni w duchy”. To była gra - pełna ironii, ale budząca nadzieję. Nocą, przed wyruszeniem na akcję, odprawiali rytuał: stawali w szeregu i po kolei dotykali hełmu Czarodzieja. Szli kolejno jak do komunii, ciemne, młode i pełne namaszczenia twarze. Pytali go o rady na przyszłość, opowiadali sobie historie o jego niewiarygodnym szczęściu, jak to nigdy nie został zadraśnięty, ani razu, nawet wtedy w styczniu, gdy seria z moździerza trafiła tuż obok jego dołka. Coś niesamowitego, mówili. Ten chłop ma konszachty ze światem nadprzyrodzonym.

John Wade podsyczał ten mit. Odkrył, że opłaca mu się zachowywać z rezerwą, milczeć przez długi czas. Naciskany, prezentował krótki pokaz swojej mocy. Wykonywał jedną czy dwie sztuczki, posługując się znalezionymi pod ręką przedmiotami codziennego użytku.

Wiele można było zdziałać na przykład za pomocą scyzoryka i własnego ciała. Kiedy indziej przepowiadał przyszłość, prorokował przyszłe wydarzenia. „Co za podłe wibracje - mawiał. - Czeka nas podły dzień”, i zatapiał wzrok w przestrzeni za polami ryżowymi. Nie mógł się pomylić. Podłość była na każdym kroku.

Jestem kompanijnym szarlatanem - napisał do Kathy. - Ci goście mnie słuchają. Oni naprawdę wierzą w te bzdety.

Kathy nie odpisywała przez kilka tygodni. Wreszcie przysłała tylko kartkę: *Dam ci radę. Ostrożnie ze sztuczkami Jeszcze pewnego dnia sprawisz, że ja zniknę. Kathy.*

Żadnych czułych słówek, żadnych zabawnych historyjek.

John w mgnieniu oka poczuł, że odżywają w nim stare lęki, wszystkie najpaskudniejsze obawy. Nie potrafił się od nich odciąć. Nawet w jasnym świetle dnia te obrazy wirowały mu w głowie. Na przykład ciemne sypialnie. Kapturek przeciwciażowy

Kathy. Chciał ją znów szpiegować - niemal za tym tęsknił - ale mógł tylko czekać. W

nocy musowała w nim krew. Nie mógł się pozbyć wątpliwości. W trzecim tygodniu lutego, kiedy nareszcie przyszedł list, odkrył w jego tonie nowy chłód, nową rezerwę i sztywność. Pisała o filmie, który widziała, o galerii sztuki, którą zwiedziła, i o fantastycznym hiszpańskim piwie, które odkryła. Jego wyobrażenia wypełniła się szczegółami.

Luty był podłym miesiącem. Kathy stanowiła jeden problem, a wojna drugi. Dwóch ludzi wyleciało w powietrze na minach. Trzeci dostał postrzał w szyję. Weber zmarł, bo mu rozwalilo wątrobę. Morale spadło. Brnąc od wsi do wsi, ludzie zaczęli po cichu mówić, że magia osłabła, że Czarodziej stracił kontakt ze światem nadprzyrodzonym. Miał wrażenie, że go obwiniają. Żadnych bezpośrednich zarzutów, po prostu ogólna rezerwa. Nie padały już prośby o sztuczki. Nie było przekomarzania się ani żartów. Mijały dni, a John Wade czuł się coraz bardziej odcięty od kolegów, od Kathy i od własnej przyszłości. Czuł, że jest na lodzie - totalnie zagubiony. Czasem powątpiewał we własne zdrowie psychiczne. Jego wnętrze zamgliło się, nie wiedział, czego się trzymać.

Coś się dzieje - napisał do Kathy. - Nie rób mi tego. Nie jestem ślepy - Czarodziej widzi

Odpisała natychmiast: *Przerażasz mnie.*

Potem przez wiele dni nie dostawał żadnych listów, nawet kartek, a wojna coraz bardziej go przytłaczała. Ogarnęło go poczucie klęski, które nie ustępowało.

W drugim tygodniu lutego został zastrzelony przez snajpera sierżant Reinhart. Jadł właśnie batonik mars. Ugryzł kawałek, roześmiał się i zaczął coś opowiadać, a potem upadł w trawę pod łysawą starą palmą. Usta miał ciemne od czekolady, a mózg szary i płynny. Było ładne tropikalne popołudnie. Jasne, kojące i bardzo ciepłe, ale John Wade poczuł, że drży. Zimno ogarniało go od wewnątrz. Jaki ostry mróz, pomyślał, a potem poczuł coś, czego nie czuł nigdy przedtem - siłę tak ogromną, że miał wrażenie, iż unosi go do góry za ramiona. Po części była to wściekłość, ale także choroba, smutek i zło, wszystkiego po trochu.

Przez parę sekund obejmował się ramionami, chcąc odpędzić zimno, a potem ruszył.

Właściwie nie podjął decyzji. Stracił kontakt z własną wolą, z własnymi ramionami i nogami. Przez następne godziny będzie pamiętał wrażenie płynięcia w kierunku pozycji przeciwnika - nie biegu, lecz szybkiego, uskrzydłonego, abstrakcyjnego płynięcia. W ogóle się nie zastanawiając, zaszedł przeciwnika od tyłu, przemykając nisko w gęstwinie zarośli. Dał się ponieść płynięciu aż do miejsca, gdzie stał mały człowieczek w czarnych spodniach i czarnej koszuli.

Zapamiętał moment, gdy tamten się odwrócił. Zapamiętał, że ich spojrzenia się zderzyły.

Wszystko inne będzie pamiętał jak przez mgłę. Że jakaś siła pchała go do przodu. Że miał wrażenie, jakby jego płuca były wypełnione popiołem, i że w pewnej chwili wylot lufy jego karabinu trafił na kość policzkową małego człowieczka. Zapamięta uczucie ogromnego napięcia w żołądku. Zapamięta surowe spojrzenie oczu Kathy, pełnych wyrzutu za wiele rzeczy, które zrobił i których nie zrobił.

Nie rozległ się żaden dźwięk, a przynajmniej Czarodziej tego nie zapamiętał. Kość policzkowa małego człowieczka zniknęła.

Chłopcy z kompanii Charliego nie mogli się potem nagadać o nowej sztuczce Czarodzieja.

Opowiadali o tym i opowiadali.

- Trach! - odzywał się któryś. - Słowo honoru, po prostu nagle - trach!

O zmierzchu zaciągnęli ciało snajpera do pobliskiej wioski. Pod lufami karabinów zebrano jej mieszkańców. Do stóp zabitego mężczyzny przywiązano linę, drugą do nadgarstków, i tuż przed zapadnięciem ciemności Czarodziej i jego pomocnicy zademonstrowali akt lewitacji, wciągając ciało wysoko między korony drzew, w mrok, gdzie zaczęło się bujać na tle uroczonego, czerwonego księżycy.

John Wade wrócił do domu w listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Z lotniska w Seattle zadzwonił przez kierunkowy do Kathy, ale nagle zachichotał i po drugim sygnale odwiesił słuchawkę.

Podczas lotu do Minneapolis stracił sporo czasu. Może i samolot się włókł, ale chodziło jeszcze o coś innego. Czuł się zagrożony. Kiedy lecieli przez szary nieboskłon Dakoty Północnej, poszedł do ubikacji, gdzie zdjął mundur i włożył sweter oraz spodnie, po czym uważnie ocenił swój wygląd w lustrze. Jego oczy wyglądały niezdrowo. Były trochę zmęczone, trochę zaczerwienione. Po chwili puścił do siebie oko.

- Hej, Czarodzieju - mruknął. - Jak tam twoje sztuczki?

Tego samego wieczora, już w Minneapolis, pojechał autobusem na uniwersytet. Trzymając w ręku worek z osobistymi rzeczami, poszedł na plac przed akademikiem Kathy, usiadł na betonowej ławeczce i zaczął czekać. Właśnie minęła dziewiąta. Jej okno było ciemne, co uznał za normalne. Przez kilka godzin tworzył w duchu listę różnych miejsc, w których Kathy może być, i rzeczy, które może robić. Nic budującego nie przychodziło mu do głowy. Potem jego myśli zaczęły się obracać wokół tematów, które poruszy przy odpowiedniej okazji. Na przykład lojalność. Stałość, miłość, wierność, zaufanie i wszystkie kwestie związane z uczuciem łączącym dwoje ludzi.

Było już późno, prawie północ, kiedy Kathy pojawiła się na chodniku prowadzącym

do akademika.

Na ramieniu niosła torbę na płótna malarskie, a pod prawą pachą stertę książek. Zeszczupiała trochę, głównie w biodrach, i odniósł w ciemności wrażenie, że porusza się szybszym, bardziej sprężystym, energiczniejszym krokiem. To go zaniepokoiło. Kiedy weszła do środka, siedział jeszcze przez chwilę, niezupełnie obecny tu i teraz, niezupełnie gdzieś indziej. Potem wziął swój worek i poszedł do znajdującego się siedem przecznic dalej hotelu.

Wciąż płynął.

To wrażenie oszołomienia, braku powiązania z rzeczywistością, towarzyszyło mu przez całą noc. We krwi pulsowały mu egzotyczne, gorączkowe nurty. Przerastało go tempo własnych snów. Dwa razy się obudził i wszedł pod prysznic, puszczając sobie na ramiona wodny grad, ale nawet wtedy szpulki snu nadal się rozwijały. Same zwariowane obrazy. Kathy odgarniająca deszcz z chodnika. Kathy machająca do niego ze skrzydła samolotu. W pewnej chwili, przed samym świtem, zorientował się, że leży zwinięty w kłębek na podłodze, zupełnie przebudzony, i rozmawia z ciemnością. Prosi ojca, żeby przestał umierać. Bez przerwy powtarzał „proszę”, ale ojciec go nie słuchał i nadal umierał. „Boże, jak ja cię kocham”, powiedział John i zwinął się w ciaśniejszy kłębek. Utkwił wzrok w ciemności i znalazł się na pogrzebie ojca - w wieku czternastu lat, z uwierającym supłem nowego, czarnego krawata na szyi - tylko że pogrzeb odbywał się w jaskrawym słońcu, nad rowem irygacyjnym w Thuan Yen... żałobnicy kucali, jęcząc i rozdrapując paznokciami własne oczy... matka Johna i wiele innych matek... jakiś pastor krzyczał: „To grzech!”... organistka coś grała... a John miał ochotę zabić wszystkich, którzy łkają i nie łkają, wszystkich - pastora, żałobników i chuderlawą starszą panią przy organach... miał ochotę złapać młotek, wleźć do rowu i zabić ojca za to, że umarł.

- Ejże, ja cię kocham! - wrzasnął. - Kocham.

Kiedy wstał świt, powłókł się do akademika Kathy i usiadł na betonowej ławce na zewnątrz.

Nie był pewien, czego chce.

Późnym rankiem Kathy wyszła i ruszyła w kierunku budynków uczelni. Program dnia nie uległ zmianie. Poszedł za nią do laboratorium biologicznego, stamtąd do klubu studenckiego, a potem na pocztę, do banku i do sali gimnastycznej. Ze swojego starego miejsca pod ławkami dla widzów patrzył, jak ćwiczy drybling i rzuty wolne, które zdecydowanie się poprawiły, a po obiedzie spędził monotonne trzy godziny w bibliotece, gdzie siedziała pochylona nad grubym, szarym podręcznikiem psychologii. Nie zdarzyło się nic niezwykłego. Parę razy nawet mało brakowało, żeby skończył tę obserwację, chwycił ją

mocno w ramiona i już nigdy nie wypuścił. Ale kiedy zaczęło się ściemniać i zamknęła książkę, nie mógł się oprzeć pokusie, żeby pójść za nią przez teren uniwersytetu do obleganego kiosku, gdzie kupiła jakieś pismo, i do pizzerii na University Avenue, gdzie zamówiła taba i małą pizzę pepperoni.

Zajął stanowisko na zewnątrz, koło przystanku autobusowego. Bolały go oczy, serce też, i w ogóle wszystko. Do tego czuł skurcz niezdecydowania. Co jakiś czas nawiedzało go silne pragnienie, by uwierzyć, że podejrzenia są tylko jego szalonym wymysłem. To znów pragnął uwierzyć w najgorsze. Nie wiedział, dlaczego. Miał poczucie, że coś w jego wnętrzu, geny albo szpik kostny, domaga się pewności w postaci dowiedzionej zdrady: dostrzeżonego pocałunku, dostrzeżonego uścisku. Takie fakty byłyby bezsporne. W pewien niejasny sposób, niezupełnie się do tego przyznając, John zdawał sobie sprawę, że alternatywa polegałaby po prostu na tym, żeby ją kochać, nadal kochać, ale niejasność sytuacji była dla niego nie do zniesienia. Nawet jeśli będzie szpiegował bez końca, nic nie może być pewne, bo zawsze istnieje niebezpieczeństwo jutrzejszej zdrady albo przyszlórocznej zdrady, albo zdrady ukrytej we wszystkich kolejnych jutrach.

Poza tym lubił szpiegować. Był Czarodziejem. Miał talent, miał ten dryg.

Było zupełnie ciemno, kiedy Kathy wyszła na zewnątrz. Minęła go od tyłu, tak blisko, że poczuł zapach perfumowanego mydła na jej skórze. Wstrząsnęło nim przedziwne poczucie winy, niemal wstydu, lecz mimo to przez kolejne dziesięć minut szedł jej śladem na uczelnię. Zauważył, że przystaje, żeby się przyjrzeć wystawom sklepowym i dekoracjom z okazji Święta Dziękczynienia. Na rogu University i Oak zatelefonowała z ulicznego automatu - głównie słuchała i tylko raz się roześmiała - a potem ruszyła dalej w stronę szkoły. Wieczór miał świeży, liściasty zapach. Chłodny piątek w środku jesieni, pogoda w sam raz na futbol. Na ulicach było pełno studentów, dzieci-kwiatów i spacerujących za rękę kochanków. Nikt nie wiedział. Ich świat był bezpieczny. Wszystkie obietnice obowiązywały w nieskończoność, wszystko trwało bez zmian, a wątpliwość była uczuciem z innej planety.

Z Neptuna, pomyślał. Zastanowiło go to. Kiedy podniósł oczy, Kathy już nie było.

Przez kilka chwil miał trudności ze skupieniem wzroku. Zlustrował chodniki, zamknął na moment oczy, po czym odwrócił się i poszedł z powrotem w kierunku jej akademika. Czekał całą noc. Doczekał do świtu.

Wtedy już wiedział.

Była to wiedza bezsporna. Dozgonna, czysta świadomość przenikała go do szpiku kości, ale mimo to czekał. Wciąż tam był, gdy nadeszła koło południa. Stał na schodach z założonymi rękami, emanując siłą, i patrzył, jak się do niego zbliża.

- Nie było mnie - powiedziała Kathy.

Czarodziej uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym, ukradkowym uśmiechem.

- Aha - odparł. - Nie było cię.

Mimo to pobrali się.

Ceremonia odbyła się na świeżym powietrzu, w dyskretnie rozplanowanym ogrodzie jej rodzinnego domu na zachodnich przedmieściach Minneapolis. Do drzew i krzewów przywiązano balony, a patio udekorowano japońskimi lampionami, czerwonymi goździkami i krepiną. W sumie wszystko poszło gładko. Pastor mówił o tarczy bożej miłości, która odwraca niezgodę, a potem wyrecytował - zdaniem Johna zbyt teatralnie - krótki fragment z pierwszego listu świętego Pawła do Koryntian. Co dziwne, nie był to tak uroczysty moment, jak sobie John kiedyś wyobrażał. W pewnej chwili zerknął na Kathy i uśmiechnął się. „Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę...” - Jej oczy były zielone i błyszczące. Zmarszczyła nos i odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. „...I wszelką wiarę, tak iżbym góry przenosił...” Kilka domów dalej warczała kosiarka do trawy. Przez ogród przefrunął lekki powiew wiatru, ostrza rozrzedzonych promieni słonecznych roziskrzyły drzewa, a różowe i białe balony zatańczyły na swych sznureczkach. „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno, wtedy zaś twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany”.¹

¹ Biblia Tysiąclecia, 1 Kor. 13.

Pastor odmówił modlitwę.

Przyrzekli sobie uczciwość. Przyrzekli sobie także Inne rzeczy, wymienili obrączki, a potem siostra Kathy otworzyła barek. Od jej matki dostali pościel. Ojciec wręczył im klucze do mieszkania w Minneapolis.

- To straszne - powiedziała Kathy - jak bardzo cię kocham.

Pojechali pożyczonym chevroletem do St Paul Ramada, gdzie przez kilka dni świętowali miesiąc miodowy. Tajemnice zachował dla siebie. Nigdy ich nie wyda. Drugiego dnia Kathy zapytała, czy nie ma jakichś obaw albo czy się nie rozmyślił, ale John potrząsnął głową i odparł, że nie. Był w końcu Czarodziejem, a czymże jest miłość bez odrobiny tajemnicy?

Przeprowadzili się do mieszkania tuż po Wielkanocy.

- Będziemy szczęśliwi - orzekła Kathy. - Wiem o tym.

Czarodziej roześmiał się i wniósł ją do środka.

Teraz sztuka polegała na tym, żeby zachować czujność. Umocni swoją przewagę. Tajemnice pozostaną tajemnicami - to, co widział, i to, co robił. Naprawi, co się da, i wytrwa,

będzie żył z roku na rok, nie wyjawiając istnienia swoich sztuczek.

VIII O tym, jak minęła noc

Tej nocy John Wade dwukrotnie obudził się zlany potem. Za pierwszym razem, koło dwunastej, odwrócił się i przytulił do Kathy, nieprzytomny, z lekką gorączką, połączony przewodem myśli z nocnym pomrukiem jeziora i lasu.

Chwilę potem kopnięciem zrzucił pościel i powiedział: „Śmierć Jezusowi”. To było wyzwanie, prowokacja.

Zamknął oczy, czekając, że coś się stanie, niemal tego pragnąc, a kiedy nic się nie wydarzyło, powtórzył to samo rozkazującym tonem. Nasłuchiwał odpowiedzi. Na próżno.

- Pierdolę to - powiedział. - Śmierć Jezusowi.

Potem John Wade po cichu wysunął się z łóżka. Poszedł korytarzem do kuchni, nalał wody do starego żelaznego imbryka i postawił go na gazie. Był nagi. Miał spalone słońcem ramiona i błyszczącą od potu twarz. Przez kilka chwil stał w bezruchu, wyobrażając sobie, że kopie i drapie. Rzuci mu się do oczu. Tak, do oczu. Wyszarpie temu sukinsynowi gałki oczne - pięściami i paznokciami - będzie walić, drapać, bić i gryźć. Boga też. Miał nadzieję, że istnieje jakiś bóg, którego mógłby zabić.

Ta myśl go zainspirowała. Spojrzał na sufit w kuchni i zwierzył się ze swoich planów pustce, wnosząc zamiast modlitwy swoje poniżenie i smutek.

Imbryk wydał cichy, parkoczący dźwięk.

- Tobie też - powiedział.

Wzruszył ramionami, wyjął torebki z herbatą i położył się na podłodze w kuchni. Czekał. W tej chwili już nie myślał, tylko rejestrował pojawiające się liczby. Oczami wyobraźni wyraźnie widział, jak staje się to, co się stało. W Minneapolis klęska. To samo z przedmieściami, z portami. I z miastami rolniczymi na południowym zachodzie - Pipestone, Marshall, Windom, Jackson, Luveme. Czysta, schludna robota. St Paul było stracone już wcześniej. W Duluth został pokonany cztery do jednego. Przegrał w związkach zawodowych, u Niemieckich Katolików i u zwykłych zer. Liczby były nieubłagane. Na świecie nie ma litości. Jest tylko arytmetyka. Był zwycięzcą, jasne, dopóki nie został pokonany. A stało się to błyskawicznie. Przed chwilą prezydencki budulec, teraz momentalnie ścięty piłą łańcuchową. Podręcznikowa obsuwa. Hańba i wstyd. Pewne tajemnice ujrzały światło dzienne - polityka zasadzek, według określenia Tony'ego Carbo - więc sondaże się popsęły, a w prasie pojawiły się kąśliwe kawałki o sile charakteru i uczciwości. I fotografie na pierwszych stronach gazet. Nieżywi ludzie w dziwnych pozach. Pod koniec sierpnia całe przedsięwzięcie było już w

rozsypce, puste kiesy, asekuranctwo i rzednące tłumy na wiecach, starzy przyjaciele z nowymi, lichymi wykrętami, aż wreszcie we wtorek w drugim tygodniu września został pokonany różnicą ponad stu pięciu tysięcy głosów.

John Wade widział rzeczy takimi, jakimi były.

Nie mógł już na nic liczyć.

Może był zbyt ambitny. Może mierzył za wysoko albo piął się do góry zbyt szybko. Ale do tego dążył. Był człowiekiem wiary. Dyscyplina i wytrwałość. Wierzył w te cnoty, a także w fundamentalną sprawiedliwość - coś w rodzaju elementarnej uczciwości. Wierzył, że jeśli ktoś zapieprzą jak wariat, jeśli wytrwa i się nie załamie, to prędzej czy później nadejdzie dzień wypłaty. A polityka była zawsze jego marzeniem.

Trzy lata na stanowisku przedstawiciela gubernatora do spraw stosunków ze Zgromadzeniem Ustawodawczym, sześć lat w senacie stanowym, cztery nudne lata na stanowisku zastępcy gubernatora. Grał zgodnie z zasadami. Przygotował dobrą, rzetelną kampanię, urabiał różne kliki, zabiegał o poparcie gdzie się dało osiemnaście godzin na dobę, do późna w nocy, przeszedł przez obłąkańczy kołowrót wizyt w motelach i na lokalnych jarmarkach, żywiąc się daniami z kurczaka za dziesięć dolarów. O niczym nie zapomniał.

Imbryk wydał energiczny gwizd, ale John Wade nie mógł się zdobyć na najmniejszy ruch.

Polityka zasadzek. Polityka podtruwania.

To nie było sprawiedliwe.

Tak wygląda ostateczna prawda: po prostu wielka niesprawiedliwość. Wade nie był człowiekiem wierzącym, ale teraz przyłapał się na tym, że mówi do Boga, że wyjaśnia Mu, jak bardzo Go nienawidzi. Tylko częściowo chodziło o wybory. Były jeszcze te lustra w jego głowie. Buczenie prądu, chemia w jego wnętrzu, pomruk jeziora i lasu. Poczł w sobie skurcz nieprawości.

Kiedy woda zawrzała, John Wade dźwignął się na nogi i podszedł do kuchenki.

Przez ręcznik chwycił żelazny imbryk.

To idiotyczne, ale się uśmiechał. Był to nic nie znaczący uśmiech. Nie będzie go później pamiętał. Zapamięta tylko parę, gorąco i napięcie w pięściach i przedramionach.

- Śmierć Jezusowi - powiedział, co dodało mu odwagi. Zaniósł imbryk do salonu, zapalił lampę i polał wrzącą wodą duże kwitnące geranium koło kominka. - Jezusowi, Jezusowi - powtarzał. Rozległ się syczący dźwięk. Odniosł wrażenie, że geranium na moment zdrząło i zakolysało się na boki, jakby pochwyciło podmuch wiatru. Patrzył, jak dolne liście bledną i podwijają się na brzegach do spodu. W pokoju rozniósł się duszny, egzotyczny odór.

Wade zanucił pod nosem.

- No - powiedział i pokiwał z zadowoleniem głową. Dobiegł go własny chichot.

- A niech mnie - powiedział.

Przeszedł na drugi koniec salonu, zaparł się w miejscu i sparzył nieduży dwulistnik. To nie była wściekłość, to była konieczność. Opróżnił imbryk nad karłowatym kaktusem, filodendronem, kaladium i kilkoma innymi roślinami, których nie potrafił nazwać. Następnie wrócił do kuchni. Znow napełnił imbryk, zaczekał, aż woda zacznie wrzeć, uśmiechnął się, wyprostował ramiona i poszedł korytarzem do sypialni.

Czuł na twarzy szczypiący żar. Imbryk posyłał w noc swój parkoczący dźwięk.

Na chwilę dał się ponieść płynięciu. Wstęga czasu rozwijała się, ale nie będzie tego pamiętał. Po chwili zdał sobie sprawę, że kuca przy łóżku. Huśtał się na piętach, obserwując śpiącą Kathy.

To dziwne, pomyślał. To odrętwienie, które czuje w środku. Ten brak sensownego połączenia między dłońmi i nadgarstkami.

Trwał tak przez jakiś czas, z zachwytem patrząc na szyję i ramiona Kathy, na zmarszczki wokół jej oczu. W słabym świetle, z kciukiem przytkniętym do nosa, wyglądała, jakby się do czegoś uśmiechała albo prawie uśmiechała. Przyszło mu do głowy, że powinien ją obudzić. Tak, pocałować, a potem przyznać się do wstydu, który go dręczy, przyznać się, że krwawy jad porażki przeniknął go do szpiku kości i że szaleje z bólu. Powinien był tak zrobić. Powinien był jej opowiedzieć o lustrach, które ma w głowie. Powinien był porozmawiać o niesłychanym ciężarze nikczemności, o duchach Thuan Yen, o wycieńczających snach. A potem powinien był wsunąć się pod przykrycie, wziąć Kathy w ramiona i wytłumaczyć, że kochają najbardziej na świecie, że kocha ją miłością silną, wygłodniałą, trwałą i szczerą, i że przy niej wszystko inne jest błahe i głupie. Jak polityka, powinien był powiedzieć. Powinien był porozmawiać o walce i wytrwałości, powtórzyć wszystkie frazesy - że to nie koniec świata, że mają jeszcze siebie, swoje małżeństwo i życie przed sobą.

John Wade będzie później pamiętał wszystko, co powinien był zrobić.

Dotknął jej ramienia.

To zdumiewające, pomyślał, do czego zdolna jest miłość.

Usłyszał w ciemności, że coś drga i trzepocze, jakby skrzydła, a potem niskie, natarczywe brzęczenie. Ścisnął uchwyt Imbryka. Poczł dziwny ciężar w ramionach i nadgarstkach. Przez nieokreślony czas znow miał wrażenie, że noc rozwiewa się wokół niego, że znalazł się gdzieś na zewnątrz siebie i zalewa go fala rozpaczy, że lustra w jego głowie

migoczą od absolutnie nieprawdopodobnych obrazów: imbryka, drewnianej motyki, znikającej wioski, starszego szeregowca Weatherby'ego i gorącej, białej pary.

Będzie pamiętał, że odgarnął jej włosy do tyłu.

Będzie pamiętał, że podciągnął jej koc pod brodę i wrócił do salonu, gdzie na dłuższą chwilę stracił poczucie tego, co się z nim dzieje. Wszystko dokoła przeistoczyło się we wściekle, hałaśliwe brzęczenie. Jedność czasu i przestrzeni rozpadła się. Pojawiły się rozliczne niejasności. Przez następne dni i tygodnie pamięć będzie mu płatać szatańskie figle. Lustra się wykrzywią, powstaną na nich dziwne fałdy i bruzdy. Jasność widzenia stanie się poszukiwanym towarem.

Był tej nocy taki moment, że stał po pas w wodzie jeziora.

W innej chwili zorientował się, że jest całkowicie zanurzony, płuca majak z kamienia i czuje napór wody w uszach.

Jeszcze później siedział cicho w rozpasanej od gwiazd ciemności na skraju pomostu. Był nagi. Był sam i patrzył na jezioro.

Potem obudził się w łóżku. Na zasłonach migotało delikatne, różowawe światło.

Przez parę sekund obserwował fenomen świtu, blade falowania i błyski. W nocy dręczył go niesamowity koszmar. Węgorze elektryczne. Wrząca, czerwona woda.

John Wade wyciągnął dłoń, by dotknąć Kathy, ale jej nie było. Przytulił swoją poduszkę i zagłębił się w sen.

IX Hipoteza

Może to była prosta sprawa.

Może Kathy obudziła się tamtej nocy przestraszona. Może wpadła w panikę i po prostu odeszła.

To tylko domysł - może to, może tamto - ale nie mamy nic oprócz domysłów.

A więc prosta sprawa:

Wykrzykiwał w ciemności różne okropieństwa i musiała go usłyszeć. Może później wyczuła parę i zapach mokrej ziemi. Niemal na pewno wyśliznęła się z łóżka. Przeszła korytarzem do salonu, przystanąła i zobaczyła, że on wylewa wodę z imbryka na geranium, filodendron i mały młody dwulistnik. Powtarzał „śmierć Jezusowi”, co przypuszczalnie skłoniło ją do wycofania się.

Resztę czynności wykonała zapewne odruchowo. Odwróciła się, skierowała w stronę drzwi kuchennych i wyszła w noc.

Dlaczego? - pytała sama siebie.

Śmierć Jezusowi. I ten dziki głos. Jak nie jego.

Potem stała przez dłuższą chwilę na zewnątrz w wietrznym mroku, bojąc się poruszyć i bojąc się nie poruszyć. Była boso. Miała na sobie figi, koszulę nocną i nic więcej.

To dobry człowiek. Więc dlaczego?

Obejmując się ramionami i kuląc z zimna, Kathy zobaczyła, jak John wchodzi do kuchni, napełnia imbryk i stawia go na gazie. Jego ruchy wydawały się sztywne i mechaniczne. Jak u lunatyka, pomyślała. Przyszło jej do głowy, że powinna wejść z powrotem do środka i nim potrząsnąć. To przecież jej mąż. I kocha go. Była to prawda podstawowa. Przeżyli razem tyle czasu, tyle lat. Nie ma się czego bać.

Tylko że coś jest nie w porządku. Z nim. Jego twarz wydawała się przez osiatkowane drzwi zniszczona i posiniaczona, z głębokimi bruzdami na skórze, jakby ktoś ją pociął nożem. Schudł i trochę wyłysiał. Garbił się jak starzec. Po chwili położył się przy kuchence, opalony i nagi, i zaczął coś mówić do kuchennego sufitu. To nie był mężczyzna, którego знаła, czy raczej sądziła, że zna. Kochała go miłością rozrzućną - jak tego zawsze pragnęła - ale miała coraz silniejsze wrażenie, że żyje z kimś obcym. Za wiele tajemnic. Za dużo ukrywanej przeszłości. A teraz ta wściekłość na jego twarzy. Nawet przez siatkę dostrzegła w jego oczach jakiś nieznany mrok.

- Pewno - powtarzał. - Różną Jezusa. - Po chwili dorzucił: - Ciebie!

Zachichotał. Zaczął się rzucać na wszystkie strony i rozdrapywać twarz obiema rękami. Orał skórę głęboko, rył w niej paznokciami. Potem znów się roześmiał i coś wymamrotał.

Chwilę później powiedział:

- Pięknie.

Kathy znów poczuła skurecz paniki. Odwróciła się i spojrzała na wąską, leśną dróżkę. Domek Rasmussena był oddalony zaledwie o półtora kilometra. Spacerem dwadzieścia minut. Może poszuka lekarza. Trzeba go jakoś uspokoić. Pokręciła głową. Lepiej poczekać i zobaczyć, co się stanie.

Przeważało w niej teraz coś w rodzaju litości. Wszystko, co miało dla niego wartość, runęło w gruzy. Kariera, reputacja, szacunek do samego siebie. Wśród znanych jej ludzi nie było drugiego, który tak bardzo jak John potrzebowałby ostentacyjnych dowodów miłości - absolutnej i bezwarunkowej. Miłości bez granic. To jest jak głód, pomyślała. Odnosiła wrażenie, że jego siłą napędową jest jakaś bezbrzeżna pustka, pragnienie ciepła i pewności. Polityka to tylko termometr miłości. Sondaże zmierzyły jej poziom, a wybory usankcjonowały wynik.

Tylko że jego nigdy nic nie satysfakcjonowało. A już na pewno nie stanowisko publiczne. Małżeństwo zresztą też.

Kathy stała przez chwilę, wpatrując się w nocne niebo. Ze zdziwieniem zauważyła, że księżyc jest prawie w pełni. Gromada chmur sunęła szybko na północ. Usiłowała sprecyzować, co ją gniecie w żołądku. Nie tylko litość. Także rozczarowanie. Zmęczenie klęską. Miała wrażenie, że wybory wydarzyły się w innym stuleciu, tak mgliste zachowała wspomnienie ostatnich, żalonych tygodni na trasie. Przez cały sierpień i początek września, kiedy prasa już wszystko rozbębniła, czekali tylko na koniec - dokładnie taki, jaki musiał nadejść. Żadnej nadziei. Nawet jej pozoru. Przez ostatni tydzień objechali ciąg miast portowych, powtarzając te same gesty, machając do tłumów, które przestały być tłumami. I te oskarżające spojrzenia, te niedbałe oklaski. Szczególne widowisko. W dzień prawyborów polecili na krótko do Minneapolis. Dotarli tam tuż przez zmierzchem i nawet teraz wspomnienie tamtej chwili przywodziło jej na myśl ponury scenariusz hollywoodzki - uporczywy deszcz i przeredzona grupka osób stojących pod parasolami na lotnisku. Zapamiętała, że John ruszył wzdłuż łańcuchowej barierki, żeby uścisnąć im ręce. W szarej mżawce jego twarz wydawała się zacięta. W pewnym momencie, gdy odsunął się do tyłu, z tłumy wzbął się samotny głos - głos kobiety - niezbyt donośny, ale niezwykle klarowny i wyraźny, niczym dźwięk starannie wykonanego dzwoneczka. „To nieprawda!” - zawołała kobieta i na chwilę rysy twarzy Johna jakby złagodniały. Nie odezwał się. Nie zaprzeczył ani nie potwierdził.

Zapanowało krótkie milczenie. Po chwili spojrzał na chmury i uśmiechnął się. Z jego oczu ulotniło się to nieprzytomne spojrzenie, a zapłonęło w nich coś na kształt ekstazy. „To nieprawda!” - zawołała znów kobieta i tym razem John uniósł ramiona w geście prośby albo skruchy, na tyle nieokreślonym, by mógł się go wyprzeć, i na tyle wymownym, by niósł ukryte znaczenie.

Tego wieczora, w hotelu, znalazła w sobie dość odwagi, by go o to zapytać. Napływały już pierwsze fatalne dane, i zapamiętała, że John z napięciem wpatrywał się w telewizor.

- Czy co jest prawdą?

- Te historie, które opowiadają. O tobie.

- Jakie historie?

- Przecież wiesz.

Zmieniał kanały pilotem, aż wreszcie założył ręce za głowę. Nawet wtedy na nią nie spojrzał.

- To wszystko prawda. To wszystko nieprawda.

- Jestem twoją żoną.

- Owszem - powiedział.

- Więc?

- Więc nic. - Mówił cicho, monotonicznie. Zwiększył siłę głosu w telewizorze. - To już przeszłość, Kath. Jeśli zamierzasz wziąć na ząb te przedpotopowe dzieje, to lepiej porozmawiajmy o twoim dentyście.

Zapamiętała, że spuściła wzrok na pilota.

- Mam rację? - zapytał.

Skinęła głową.

- Mam rację - powiedział. - To świetnie.

Chwilę później zadzwonił telefon. John podniósł słuchawkę i uśmiechnął się do Kathy. Potem, w sali balowej, wygłosił dowcipne przemówienie kapitulacyjne. Potem wzięli się za ręce i machali do zebranych, udając, że nie wiedzą o tym, o czym wiedzieli.

Tyle udawania, pomyślała.

Imbryk wydał ostry gwizd. Zobaczyła, że John dźwiga się na nogi, zdejmując czajnik z gazu i idzie korytarzem w kierunku sypialni. Sekundę później pchnęła łokciem osiatkowane drzwi i weszła do środka. Do gardła podeszły jej spienione wymioty. Spojrzała na kuchenny blat, gdzie powinien być telefon. Przez chwilę stała w bezruchu, zastanawiając się, co zrobić.

Gaz był wciąż zapalony. Wyłączyła go i przeszła do salonu. W tym momencie coś ją tknęło. Może to była kwestia zapachu. Martwych roślin, kałuży wody rozlanej na podłodze.

Może to właśnie wtedy odeszła w noc.

A może nie.

Może przeszła korytarzem do sypialni, po trosze z ciekawości, po trosze z innego powodu. Przystanęła na chwilę w drzwiach, niepewna kształtów, które ma przed oczami - pary, ciemności, Johna kucającego przy łóżku, jakby pielęgnował mały ogródek. Nie odwrócił się ani nie podniósł wzroku. Miało się wrażenie, że błądzi po innych krainach. Cicho, jakby pytająco, Kathy wypowiedziała jego imię. Zobaczyła, że pochyla się nad łóżkiem i unosi imbryk. Rozszedł się zapach wilgotnej wełny. Dobiegł ją syczący dźwięk. Chichotał sam do siebie, powtarzając: „No, no”. Musiała zdać sobie w tym momencie sprawę, że zdobycie lekarstwa przekracza jej możliwości i że zawsze tak było.

Reszta potoczyła się pewnie automatycznie.

Odwróciła się szybko. Już się nie bała. Myślała tylko o jego chorobie. Złapała sweter i dzinsy, pobiegła do kuchni, zasznurowała tenisówki i ruszyła leśną drogą do posiadłości

Rasmussena. Od tej chwili liczba ewentualnych wersji wydarzeń jest nieskończona. Może skręciła w złym miejscu. Może zwichnęła albo złamała nogę.

Może się zgubiła.

Może ciągle tam jest.

X Istota miłości

Pewnego razu byli na eleganckim przyjęciu, jednej z imprez politycznych. Po paru drinkach John Wade wziął Kathy za rękę i powiedział:

- Chodź ze mną.

Zaprowadził ją do samochodu, zawiózł do domu, wniósł do kuchni i kochali się oparci o lodówkę. Potem wrócili na przyjęcie. John wygłosił krótkie, zabawne przemówienie. Zakończył kilkoma magicznymi sztuczkami. Zebrani śmiali się i mocno go oklaskiwali, a kiedy zszedł z mównicy, Kathy wzięła go za rękę i powiedziała:

- Chodź ze mną.

- Dokąd? - zapytał John.

- Na dwór. Tu jest ogród.

- Mamy grudzień.

Kathy wzruszyła ramionami. Byli małżeństwem od sześciu lat, właściwie prawie siedmiu. Jeszcze nie wygasła między nimi namiętność.

To, że John Wade poszedł na wojnę, wynikało z istoty miłości. Nie zrobił tego po to, żeby zadawać rany albo samemu je odnosić, ani żeby być dobrym obywatelem, bohaterem lub człowiekiem zasad. Tylko dla miłości. Tylko po to, żeby być kochanym. Wyobrażał sobie, że jego ojciec, który nie żyje, mówi mu: „No! Dokonałeś tego, wytrwałeś, jestem taki dumny, po prostu dumny jak cholera”. Wyobrażał sobie, że matka prasuje mu mundur i wieszka go w garderobie w przezroczystej plastikowej osłonie. Może po to, żeby od czasu do czasu na niego popatrzeć albo żeby go dotknąć. Niekiedy John wyobrażał sobie również, że kocha samego siebie. I że nie istnieje ryzyko, iż utraci tę miłość. I że zdobywa dozgonną miłość jakiejś tajemniczej, niewidzialnej widowni - ludzi, których może kiedyś poznać albo których już zna. Czasami robił złe rzeczy tylko po to, żeby być kochanym, a czasami nienawidził się za to, że tak bardzo potrzebuje miłości.

Na studiach John i Kathy chodzili tańczyć do „Zakrętki” na Hennepin Avenue. Obejmowali się mocno nawet przy szybkich piosenkach, tańczyli, dopóki starczało im sił, a potem siadali w jednym z wydzielonych ciemnych zakątków i grali w grę o nazwie „Tylko spróbuj”. Polegała na zdawaniu się na łut szczęścia. „Tylko spróbuj - mówiła Kathy - zdjąć

mi pończochy”, a John obmyślał technikę z uwzględnieniem oporu i kątów przyłożenia siły, kiwał głową na znak zgody i wsuwał dłoń pod stół. W ten sposób poznawali się nawzajem, odkrywali możliwości swojego związku.

Pewnego wieczora rzucił jej wyzwanie, by ukradła z baru butelkę scotcha.

- Żaden problem - odparła Kathy. - To zdecydowanie za proste.

Obciągnęła spódnicę, wstała, powiedziała parę słów do barmana, który poszedł na zaplecze, po czym swobodnym krokiem okrążyła barek i stanęła z drugiej strony, lustrując wzrokiem asortyment. Wydawało się, że trwa to wieki. Wreszcie wzruszyła niedbale ramionami. Wsadziła sobie pod żakiet jedną z butelek, wróciła do ich zakątka, uśmiechnęła się i zaproponowała Johnowi, żeby spróbował teraz zamówić dwa kieliszki.

Kochał Kathy do szaleństwa. Zdjął jej kiedyś jedną białą tenisówkę. Na wewnętrznej stronie podeszwy napisał długopisem:

„JOHN + KATHY”. Obwiódł te słowa serduszkciem i zasznurował jej but na stopie.

Kathy rozśmieszył jego sentymentalizm.

- Pobierzmy się - powiedział.

Ale najpierw był Wietnam, gdzie John Wade zabijał ludzi i gdzie pisał długie listy pełne spostrzeżeń na temat istoty ich miłości. Nie wspominał o zabijaniu. Opowiadał jej, jaki jest samotny i że niczego tak nie pragnie jak zasnąć z dłonią na jej biodrze. Pisał, że bez niej jest zagubiony. Pisał, że ona jest jego kompasem. Pisał, że jest jego słońcem i gwiazdami. Porównał ich miłość do dwóch węży, które widział przy ścieżce koło Pinkville. Węże zjadały nawzajem swoje ogony, tworząc osobliwe koło głodu. Ich głowy coraz bardziej zbliżały się do siebie, aż wreszcie ktoś z kompanii Charliego położył temu kres za pomocą maczety. *Taka jest nasza miłość - pisał John. - Pożeramy się nawzajem, ale w pozytywnym, super-ekstra-bombowym sensie. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu i sprawdzę, co by było, gdyby te kopnięte węże w końcu zjadły swoje głowy. Tylko pomyśl. Matematyka tworzy dziwolągi* W innych listach opowiadał o pięknie krajobrazu, o polach ryżowych, o górach i o dżungli. Opowiadał o wioskach, które znikają na jego oczach. Napisał też o swoim nowym przezwisku. *Chłopaki mówią na mnie Czarodziej - pisał - i chyba mi się to podoba To mnie nakręca, ładuje mi baterie, czuję się, jakbym miał wyjątkową moc, jakbym naprawdę nad wszystkim panował. W każdym razie nie jest tu najgorzej, przynajmniej na razie. I kocham Cię, Kath. To jak z tymi szurniętymi węzami - jeden plus jeden równa się zero!*

Kiedy John Wade był mały i miał może dziewięć, może dziesięć lat, kładł się na łóżku ze swymi magicznymi katalogami i robił listy upragnionych sztuczek - fruujące szklane kule, kolorowe atrapy i rurki, wybuchające balony z kwiatami w środku. Zapisywał ceny w

małym notesie, wykreślając rekwizyty, na które nie mógł sobie pozwolić, a w soboty wstawał wcześniej rano i jechał autobusem przez całe miasto do Magicznego Studia Karry w St Paul, sam jeden. Podróż trwała czterdzieści minut. Stawał na chodniku przed sklepem i przez chwilę zbierał się na odwagę. To nie było proste. Bał się tego miejsca. Kilka razy zaglądał przez szybę z nonszalancją, a przynajmniej siląc się na nią, po czym odchodził. W końcu brał głęboki oddech i mówił sobie w duchu: „Naprzód, teraz, naprzód!”, po czym szybko wchodził do środka, przemykając obok szklanych gablot i napawając się widokiem efektownych rekwizytów, które znał na pamięć ze swych katalogów - Deszczu Monet, Rogu Obfitości, Chińskich Obręczy i Ducha Ciemności. Były tam profesjonalne uchwyty, kule z gąbki i schowki - cała półka wypełniona magicznymi jedwabiami - ale w gruncie rzeczy nie zauważał żadnego z tych przedmiotów.

Młoda ruda kobieta za ladą witała go energicznym poruszeniem brwi.

- To ty! - wołała.

Na widok tej kobiety cierpła mu skóra. Częściowo sprawiał to jej ochryply od papierosów głos. A częściowo ostry, marchewkowy kolor włosów.

- To ty! - wołała albo wybuchała śmiechem i krzyczała: „Hokus-pokus!”, ale John był już wtedy za drzwiami. Ta mroczna wyprawa przerażała go. A zwłaszcza Marchewkowa Dama. Jej jaskrawe, pomarańczowe włosy. Sposób, w jaki się śmiała, poruszała brwiami i wołała: „To ty!” - głośno, jakby była wtajemniczona.

Jazda do domu była zawsze ponura.

Kiedy wchodził do kuchni, ojciec podnosił wzrok i mówił: „Mały Merlin”, a matka robiła niezadowoloną minę, kładła na stole kanapkę i zajmowała się czymś przy kuchence. Atmosfera robiła się napięta. Ojciec patrzył przez chwilę w okno, po czym chrząkał i pytał: „No i co tam słychać w krainie magii? Masz w zanadrzu jakieś wspaniałe sztuczki?”, a John odpowiadał: „Jasne, można tak powiedzieć. Nie za bardzo”.

Zamglone spojrzenie niebieskich oczu ojca wędrowało z powrotem do okna, rozkojarzone i wyczekujące, jakby liczył, że zmaterializuje się tam jakiś niecodzienny przedmiot. Czasem potrzasał głową. Kiedy indziej chichotał albo pstrykał palcami.

- Tak to jest być z Minnesoty - mówił. - Tu wszyscy mają kota na punkcie koszykówki, nie? Skoczmy jutro na mecz, stary. - Wyszczerał zęby. - Stoi?

- Może - odpowiadał John.

- Tylko może?

- Jestem zajęty.

Wtedy oczy ojca powoli kierowały się z powrotem w stronę okna, wciąż czegoś tam

szukając. W kuchni było bardzo cicho.

- Jasne, jak chcesz - odpowiadał ojciec. - Idę na to, mały. Starczy mi twoje „może”.

Coś było nie tak. Może światło słoneczne albo poranne powietrze. Johna otaczał zewsząd ogień karabinów maszynowych, karabinowy wiatr, który zdawał się unosić go i przerzucać z miejsca na miejsce. Znalazł pokiereszowaną młodą kobietę bez klatki piersiowej i bez płuc. Znalazł martwe bydło. Widział też pożary. Paliły się drzewa, chaty i chmury. Czarodziej nie wiedział, gdzie ma strzelać. Nie wiedział, do czego strzelać. Strzelał więc do płonących drzew i płonących chat. Strzelał do ogrodzeń. Strzelał w dym, który odpowiadał ogniem. Wreszcie schronił się za stertę kamieni. Jeśli coś się poruszyło, strzelał w to miejsce. Jeśli coś się nie poruszyło, też strzelał. Nie było wroga, którego mógłby zabijać, i nic nie widział, strzelał więc bez celu. Pragnął tylko jednego - żeby ten straszliwy poranek wreszcie upłynął.

Kiedy to się stało, odkrył, że siedzi w szlamie na dnie rowu irygacyjnego. Starszy szeregowiec Weatherby spojrzał na niego z góry.

- Hej, Czarodzieju - powiedział. Zaczął się uśmiechać, ale Czarodziej go zastrzelił.

John Wade został wybrany do senatu stanu Minnesota dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Szarpnęli się z Kathy na drogi hotelowy apartament w St Paul, gdzie uczcili jego sukces z kilkunastoma przyjaciółmi. Grubo po północy, kiedy przyjęcie się skończyło, zamówili do apartamentu steki i szampana. Kathy tytułowała go „panie mężu senatorze”, ale John wyjaśnił jej, że to niekonieczne i że może mu mówić „szanowny panie”. Następnie chwycił zamiast mikrofonu butelkę szampana i zaczął płynąć po pokoju, ściągając spodnie i śpiewając „Żal paru rzeczy mi”. Kathy pisnęła, rzuciła się na łóżko, złapała się za kostki i, turlając się ze śmiechem po kapie, zawołała: „szanowny panie senatorze!”, więc John zdjął koszulę i, naśladując ugrzecznione ruchy Sinatry, zaśpiewał: „Ciosy nie ominęły mnie”. Zielone oczy Kathy zwilgotniały, rozjaśnione szczęściem i światłem, które było tylko w niej i w nikim innym.

Pewnego wieczora kompania Charliego trafiła do cichej wioski rybackiej nad Morzem Południowochińskim. Rozbili na białym piasku obóz i, okopawszy się dobrze na noc, poszli popływać. Przed świtem zostali zaatakowani ogniem moździerzowym. Serie przelatywały nad ich głowami i trafiały w morze - napędziły im strachu, chociaż nikt nie został ranny - a kiedy ustały, Czarodziej poprowadził patrol do wioski. Prawie godzinę trwało, zanim wszystkich wyłapali - jakieś sto kobiet, dzieci i starców. Trajkoczących wieśniaków zaprowadzono ku ich konsternacji na plażę, gdzie odbył się pokaz iluzjonistyczny. Plecami do Morza Południowochińskiego Czarodziej prezentował sztuczki z kartami i ze sznurkami. Wyciągnął

sobie z ucha zapalone cygaro. Przemienił gruszkę w pomarańczę. Pokazał zwykłą wojskową radiostację, szepnął parę słów i wioska zniknęła. Dopomógł sobie dodatkową sztuczką z użyciem artylerii i białego fosforu, ale końcowy efekt był imponujący.

Był ładny, słoneczny ranek. Wszyscy siedzieli na plaży, wznosząc „ochy” i „achy” nad znikającą wioską.

- Pieprzony Houdini - powiedział jeden z chłopaków.

Jako chłopiec John Wade spędzał całe godziny, ćwicząc przed starym stojącym lustrem w piwnicy. Obserwował, jak jedwabne apaszki matki zmieniają kolory, a miedziane centy przeistaczają się w białe myszki. W lustrze, tam, gdzie działy się cuda, John nie był już samotnym małym dzieckiem. Miał władzę nad światem. Jego szybkie i zwinne dłonie robiły rzeczy, których nie potrafiły wykonać zwykłe ręce - ukryć zapalniczkę, ruchem kciuka przełożyć talię kart. Wszystko było możliwe, nawet szczęście.

W lustrze, gdzie spędzał większą część życia, John Wade potrafił czytać w myślach ojca. Na przykład zwykłą miłość. „Kocham cię, kowboju”, myślał ojciec. Albo co innego: „E tam, cenzurki to nie wszystko”.

To była zasługa lustra, więc John czasem nosił je ze sobą do szkoły albo na mecze baseballu, albo brał na noc do łóżka. Na tym polegała kolejna sztuczka - potajemnie dźwigać w głowie stare stojące lustro. Było to rzecz jasna udawanie - miał tego świadomość - ale czuł się spokojnie i bezpiecznie, gdy wielkie lustro stało po wewnętrznej stronie jego oczu i gdy mógł się za nie wśliznąć, by zmieniać złe rzeczy w dobre i po prostu być szczęśliwym.

Dzięki lustru świat był lepszy.

Dzięki lustru ojciec cały czas się uśmiechał. Dzięki lustru butelki wódki zniknęły ze skrytki w garażu, a chwile ciężkiej, pełnej wściekłości ciszy przy obiedzie stawały się łatwiejsze do zniesienia. „Jak ci leci w szkole?” - pytał ojciec w lustrze, co pozwalało Johnowi pogadać sobie o własnych problemach, o różnych błahych sprawach, o szkole, a ojciec odpowiadał w lustrze: „Nie przejmuj się, takie jest życie, to normalne. Poza tym jesteś moim najlepszym kumplem”. Po obiedzie John patrzył, jak ojciec wykrada się do garażu. To było najgorsze - potajemne picie, które wcale nie jest potajemne. Ale w lustrze John siedł razem z nim, stawali obok siebie w przyćmionym świetle, otoczeni grabiami, gumowymi wężami i zapachami garażu, a ojciec wyjaśniał mu dokładnie, co się dzieje i dlaczego. „Jeden szybki - mówił ojciec - a potem rozwalimy te cholerne butelki”. „Na drobne kawałki” - mówił John, a ojciec potwierdzał: „Tak jest, na drobne kawałki”.

Pod wieloma względami ojciec był wspaniałym facetem, nawet bez lustra. Inteligentny i dowcipny. Ludzie lubili jego towarzystwo, John też, a dzieciaki z sąsiedztwa

zawsze przystawały, żeby poodbijać z nim piłkę albo posłuchać jego opowieści, rad i dowcipów. Pewnego dnia, gdy John był w szóstej klasie, nauczycielka kazała klasie wstać i wygłosić pięciominutowe przemówienie na dowolny temat. Chłopak nazwiskiem Tommy Winn mówił wtedy o ojcu Johna, jaki to z niego równy facet, zawsze życzliwy, pełen życia i chętny do pogawędki. Na koniec przemówienia Tommy Winn rzucił Johnowi smutne, oskarżycielskie spojrzenie, które trwało zdecydowanie zbyt długo. „Najbardziej bym chciał - powiedział Tommy - bym chciał, żeby był moim ojcem”.

Tylko że Tommy Winn nie wiedział pewnych rzeczy.

Nie wiedział, że w czwartej klasie, kiedy John zrobił się lekko puciołowaty, ojciec nazywał go Johnem Trzęsibrzuchem. To miało niby być zabawne. Miało zniechęcić Johna do jedzenia.

Przy obiedzie, o ile nie zapadało milczenie, ojciec mlaskał językiem i mówił: „Chryste Panie, zobacz, jak ten dzieciak się obżera, mały John Trzęsibrzuch” i spoglądał na matkę, która oponowała: „Przestań, on wcale nie jest gruby, tylko krępy”, na co ojciec wybuchał śmiechem i mówił: „Krępy jak moja dupa”.

Czasami na tym się kończyło.

Kiedy indziej ojciec wycelowywał kciuk w drzwi do piwnicy. „Wszystko przez te główniane czary-mary. Dlaczego nie może pograć w baseball albo trochę się poruszać jak normalny człowiek? - Kręcił głową. - Rozmazany lalusz”.

Późnym wieczorem, tuż przed pójściem spać, John i Kathy często chodzili na spacer po okolicy, trzymając się za ręce, oglądając domy i dyskutując o tym, który z nich będą kiedyś mieć na własność. Kathy zakochała się w starej niebieskiej rezydencji w stylu wiktoriańskim po drugiej stronie Parku Edgewood. W białych żaluzjach, w białym drewnianym płotku, w werandzie, przylegającej do budynku z trzech stron, w ogrodzie pełnym paproci, klombów i krzewów azalii. Czasami przystawała na chodniku i spoglądała na dom, poruszając ustami, jakby chciała zapamiętać wszystkie szczegóły. W takich chwilach w Johnie budziła się niemal erotyczna świadomość własnego szczęścia, rwąca niespokojnym strumieniem przez komory jego serca. Chciał przyspieszyć bieg wydarzeń. Chciał znaleźć sztuczkę, która sprawi, że niebieski dom w stylu wiktoriańskim zaistnieje w ich życiu.

Po chwili Kathy wzdychała i rzucała mu długie, trzeźwe spojrzenie. „Tylko spróbuj obrabować bank” - mówiła, co miało znaczyć tyle, że domy mogą poczekać, że miłość im wystarczy, że nic innego naprawdę się nie liczy.

Uśmiechali się do tej myśli i parę razy obchodzili park dookoła, a potem wracali do mieszkania.

Czarodziej sądził, że morderstwo mu się upiecze. Wierzył w to. Po zastrzeleniu starszego szeregowca Weatherby'ego - a był to wypadek, czysty odruch - wmówił sobie, że to, co się stało, wcale się nie stało. Udawał, że nie on jest za to odpowiedzialny. Udawał, że nie byłby w stanie tego zrobić, i wobec tego nie zrobił. Udawał, że to nie ma większego znaczenia. Udawał, że zachowując w sobie tę tajemnicę obok całej reszty innych tajemnic, zdoła okpić świat i siebie.

Był przekonujący. Miał w oczach łzy, bo jego uczucie płynęło z głębi serca. Kochał starszego szeregowca Weatherby'ego jak brata.

- Pierdolone komuchy - powiedział, gdy helikopter zabrał Weatherby'ego. - Pierdolone bydło.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, w wieku trzydziestu siedmiu lat, John Wade został wybrany na zastępcę gubernatora. On i Kathy mieli oczywiście problemy, ale wierzyli w swoje szczęście i w swoją moc sprowadzania szczęścia. Był dumny, gdy kładł rękę na Biblii, patrzył Kathy w oczy i składał oficjalną przysięgę, choć jednocześnie składał też swoją prywatną. Będzie jej poświęcać więcej czasu. Zorientuje się, jaka jest sytuacja na rynku, jeśli chodzi o niebieskie domy w stylu wiktoriańskim. Zmieni pewne rzeczy.

Na balu inauguracyjnym, gdy skończyły się toasty i przemówienia, zaprowadził Kathy na parkiet i spojrzał jej prosto w oczy, jakby to robił pierwszy raz w życiu. Miała na sobie krótką czarną sukienkę i kolczyki ze szklanymi paciorkami. Nikt poza nią nie miał takich oczu.

- Och, Kath - powiedział. Tylko to przychodziło mu na myśl, nic więcej, tylko: - Och, Kath.

Gdy John miał jedenaście lat, pewnego dnia koło Bożego Narodzenia ojciec zawiózł go do Magicznego Studia Karry, żeby wybrał sobie prezent.

- Co tylko chcesz - powiedział ojciec. - Nie krępuj się, stary. Rób skok na kasę.

Sklep zupełnie się nie zmienił. Te same gabloty, ta sama kobieta o marchewkowych włosach za ladą. Jak tylko weszli, zawołała: „To ty!” i poruszyła brwiami. Była ubrana na czarno, jeśli nie liczyć pary miedzianych bransoletek, bursztynowego naszyjnika i dwóch skrzących, zielonych gwiazd, przyklejonych do policzków. „Mały magik” - powiedziała, a ojciec Johna roześmiał się i dorzucił: „Mały Merlin”, po czym ucieli sobie długą pogawędkę niczym starzy przyjaciele. W końcu John wydał z siebie dźwięk.

- Chodź - powiedział - bo spóźnimy się na Gwiazdkę. - Wskazał jedną z gablot. - To jest tam.

- Co? - zapytał ojciec.

- To. Chcę to.

Ojciec pochylił się, żeby lepiej widzieć. - Tam - powiedział John. - Gilotyna Śmierci.

Był to rekwizyt okazałych rozmiarów. Ważył około siedmiu kilogramów i mierzył prawie sześćdziesiąt centymetrów. Widział go setki razy w swoich katalogach - prawdę mówiąc, znał jego sekret, który był prosty - ale gdy Marchewkowa Dama podniosła urządzenie i postawiła je na ladzie, poczuł w żołądku pulsujące podniecenie. Gilotyna była pomalowana lśniąca czarną farbą, miała czerwone ornamenty z emalii i błyszczące chromowe ostrze.

Marchewkowa Dama pokiwała głową niemal z czułością:

- Moja ulubiona - powiedziała. - Moja ulubiona.

Odwróciła się i poszła do magazynu, skąd wróciła z dużym ogórkiem. Pułapka na frajerów, pomyślał John. Chce udowodnić, że ostrze jest ostre i prawdziwe. Kobieta włożyła ogórek w drewniany uchwyt gilotyny, zasunęła zamek, cofnęła się, podciągnęła chromowe ostrze do góry i spuściła. Ogórek spadł na ladę w dwóch równo odciętych częściach.

- Może być - orzekła Marchewkowa Dama. Zerknęła na ojca Johna. - A teraz przydałaby się nam ręka.

- Słucham?

- Proszę podać rękę - powiedziała.

Ojciec zachichotał.

- Nie ma mowy.

- Niech pan zdejmie marynarkę.

Ojciec próbował się uśmiechać. Był wysokim, masywnie zbudowanym mężczyzną o kędzierzawych czarnych włosach, niebieskich oczach i barach atlety. Ściąganie marynarki zajęło mu sporo czasu.

- Gilotyna Śmierci - mruknął. - Niezwykłe.

- Proszę wsunąć tu dłoń. I bez gwałtownych ruchów.

- O Chryste - szepnął.

- Co za odwaga - powiedziała.

W oczach Marchewkowej Damy widać było rozbawienie. Podciągnęła ostrze do góry. Utrzymała je w takiej pozycji przez kilka sekund i dała Johnowi znak ręką, by wszedł za ladę.

- Znasz tę sztuczkę? - zapytała.

Ojciec Johna uciekł wzrokiem w bok.

- O, cholera, tylko nie to. On się na tym nie zna.

- Owszem, znam się - rzekł John. - To łatwe.

- Aha, gówno prawda. Ten dzieciak nie ma zielonego...

- To proste - odparł John.

Ojciec zmarszczył brwi, zacisnął dłoń i jeszcze raz zmarszczył brwi. W uchwycie gilotyny jego przedramię wydawało się olbrzymie i mięsiste.

- Zaraz, zaraz, a instrukcja obsługi? - zapytał. - Takie zabawki mają instrukcję obsługi, prawda? Pytam serio. Jest drukowana instrukcja?

- Ojej, na litość boską - powiedział John. - Przecież ci powiedziała, żebyś się wyluzował.

Chwycił rączkę ostrza. Władza: w magii właśnie to się liczyło. Marchewkowa Dama założyła ręce. Zielone gwiazdy na jej policzkach jak gdyby zamigotały z pragnienia.

- Śmiało - powiedziała. - Daj mu nauczkę.

Bywały takie chwile, że John miał ochotę otworzyć brzuch Kathy, wśliznąć się do środka i schować tam na zawsze. Pragnął pływać w jej krwi, wędrować w górę i w dół po jej kręgosłupie, pić z jej jajników i przywierać dziąsłami do jej silnego, czerwonego mięśnia sercowego. Chciał sprząc ich życia ze sobą.

Wynikało to głównie z przerażenia. Bał się, że ją straci. On miał swoje sekrety, ona swoje.

Toteż od czasu do czasu uciekał się do sztuczek szpiegowskich. W soboty rano szedł za Kathy do pralni chemicznej na Okabena Avenue, a stamtąd do apteki i na pocztę. Później przechodził przez jezdnię i szedł do supermarketu, gdzie patrzył, jak Kathy pcha wózek wzdłuż rzędów półek. Potem pędził z powrotem do domu i czekał, aż wróci.

- Co jest na obiad? - pytał, a Kathy rzuciła mu krótkie spojrzenie i mówiła:

- Zgadnij.

Kiedy odkładała zakupy, jej wzrok na moment pochmurniał, a w oczach pojawiały się ciemne plamki szarości. Co za oczy, myślał. Miał ochotę wysać je z oczodołów. Pragnął czuć ich ciężar na języku, delektować się smakiem białek, obracać je w ustach jak cytrynowe dropsy.

Tymczasem patrzył tylko, jak Kathy składa torby po zakupach.

- Wiesz, może to idiotyczne - powiedziała - ale czasami aż cierpię mi skóra. Mam wrażenie, że zawsze przy mnie jesteś. Że ciągle wkradasz się do mojego wnętrza.

John uśmiechnął się swym wyborczym uśmiechem.

- Święta prawda. Z tą różnicą, że nie chodzi o wkradanie się, lecz o wkładanie.

- Nie wychodziłeś dzisiaj?

- Niby dokąd?

- Nie wiem. Jakoś mi się...

Przyparł ją mocno do lodówki i przesunął dłonią po jej udzie. Wyszeptał do ucha:

- Boże. Jak ja cię kocham. O mój Boże.

- Więc nie wychodziłeś?

- Bądźmy jak kobry, Ty i ja. Pożryjmy się.

Czarodziej był w swoim żywiole. Znajdował się w miejscu pełnym zapadni, tuneli i podziemnych komnat zamieszkałych przez różne duchy i chochliki, w miejscu, gdzie wszyscy pasjonują się magią i gdzie wymyślne rekwizyty są zawsze pod ręką - wybuchające pudełka, tajemnicze substancje chemiczne i przyrządy służące do lewitacji - można tu fruwać samemu albo sprawić, że polecą inni - w miejscu, gdzie powietrze jest jednocześnie realnością i iluzją, gdzie wszystko może w jednej chwili stać się czymś innym. W tym miejscu przyzwoitość niezauważalnie zlewała się z bestialstwem, zęby mogły na skinienie dłoni zmienić się w pastę do zębów, a cywilizacja w śmietnik; wystarczyło rzucić kilka sylab przez radiostację i usiąść, żeby obejrzeć przedstawienie - zupełną zagadkę, istny cud - tu każdy przedmiot, każda myśl i każda godzina zdawały się nieść ze sobą wszystkie najstraszniejsze tajemnice ludzkiej historii. Dżungla była mroczna i nieprzystępna. Ciało ziały dziurami. Wojna jako taka stanowiła zagadkę. Nikt nie wiedział, o co w niej chodzi, kto ją rozpoczął, kto wygrywa, dlaczego są właśnie tutaj ani też, jak to może się skończyć. Wszędzie czaiły się tajemnice - pułapki minowe w żywoptach, Elki-Podfruwajki ¹ w czerwonej

¹ Miny wyskakujące (przyp. tłum.). gliniastej glebie. I ludzie. Milczący dziadkowie, dzieci z zapadłymi oczami i trajkoczące stare kobiety. Czego chcą ci ludzie? Co czują? Kto należy do Vietkongu, kto jest przyjacielem, a komu wszystko jedno? To były zagadki. Historia była zagadką. Ta ziemia była zagadką. Obfitowała w tajne kryjówki, tajne szlaki, tajne szyfry, tajne misje, ukryte lęki, pragnienia, tęsknoty i żale. Tajemnica była tu wszechobecna. Tajemnica była tożsama z wojną. Gdy któryś chłopak zrobił coś odważnego - powiedzmy, zaatakował bunkier albo wstał mimo ostrzału - wszyscy odwracali wzrok i przez chwilę milczeli, a potem ktoś pytał: „Jak tyś to, kurwa, zrobił?” Wtedy ten odważny chłopak „mrugał oczami i kręcił głową, bo nie wiedział, bo to była jedna z tych nieprawdopodobnych tajemnic, które w sobie nosił.

Czarodziej miał własne tajemnice.

Starszy szeregowiec Weatherby to jedna. Druga, że bardzo kochał to miejsce - Wietnam - i czuł się tu jak u siebie w domu. I wreszcie tajemnica najgłębsza, tajemnica Thuan Yen, tak wielka, że czasem ukrywał ją sam przed sobą.

John Wade wiedział, że jest chory, i pewnego wieczora postanowił o tym porozmawiać z Kathy. Chciał zrzucić ciężar lęku, który gnieździł się w jego żołądku.

- To trudno wytłumaczyć - powiedział - ale czasami nie czuję się rzeczywisty. Jakby mnie tu nie było.

Byli w mieszkaniu, szykowali kolację. Całe pomieszczenie pachniało cebulą i smażonymi hamburgerami.

- Dla mnie jesteś rzeczywisty - odparła Kathy. - Bardzo rzeczywisty i bardzo dobry.

- Mam nadzieję. Tylko że czasem boję się na siebie patrzeć. Dosłownie. Nie mogę nawet spojrzeć sobie w oczy w lustrze, a przynajmniej niezbyt długo. Boję się, że mnie tam nie będzie.

Kathy podniosła wzrok znad cebuli, którą siekała.

- Cóż, ja uwielbiam na ciebie patrzeć - powiedziała. - To moje drugie ulubione zajęcie.

- Świetnie. Ale mnie to dręczy.

John położył hamburgery na tacy. Kathy wyżywała się na cebuli. Wydawała się podenerwowana, jakby była świadoma pewnych prawd, lecz nie mogła znieść wiedzy o tej świadomości. To należało do istoty ich miłości.

- Jeśli chcesz - powiedziała - zrezygnujemy z kolacji. I poświęcimy się mojemu ulubionemu zajęciu.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

- Kath, posłuchaj, muszę ci o tym powiedzieć. Coś jest nie tak, ja robiłem różne rzeczy.

- To nie ma znaczenia.

- Owszem, ma.

Uśmiechnęła się promiennie do jakiegoś punktu za jego ramieniem.

- Możemy włączyć sobie film.

- To było coś ohydneho.

- Dobry film nie zaszkodzi.

- Chryste, przecież ty nie...

Wzięła tacę z hamburgerami.

- Ułóż się nam. Wszystko będzie dobrze.

- Pewnie - rzekł.

- Poczekaj, a sam się przekonasz.

- Pewnie.

Przez chwilę nic nie mówili. On patrzył na nią, ona patrzyła na niego. Wszystko było możliwe.

Czarodziej nie wspominał słowem o starszym szeregowcu Weatherbym. To była przecież kwestia odruchu. Ale przez wiele dni czuł dziwny dyskomfort. Bywały chwile, gdy prawie kręciło mu się w głowie, a kiedy indziej był prawie smutny. Stojąc w nocy na warcie i wpatrując się w ciemność, Czarodziej widział starszego szeregowca Weatherby'ego, który zaczyna się uśmiechać, pada na plecy i wykonuje zabawny, kurczowy ruch ręką.

Jak autostopowicz, pomyślał Czarodziej. Biedny włóczęga, któremu nie udało się złapać okazji.

Tego popołudnia, kiedy ojciec został pochowany, John Wade zszedł do piwnicy i ćwiczył przed swoim stojącym lustrem magiczne sztuczki. Robił różne triki. Rozmawiał z ojcem. „Nie byłem tłusty - mówił - byłem normalny”. Zmienił garść miedzianych centówek w cztery białe myszki. „I nie trząsał mi się brzuch. Ani razu. Nie i już”.

To wypływało z istoty ich miłości, że Kathy nie należała, by poszedł do psychiatry, a John nie czuł potrzeby zwrócenia się o pomoc. Z reguły potrafił zapobiec mdłościom w żołądku. Uparcie brnął naprzód po powierzchni życia. Dbał o swoje małżeństwo i karierę. Wykonywał odpowiednie sztuczki, śnił odpowiednie sny. Od czasu do czasu zdarzało mu się jednak krzyknąć przez sen - głośno, rozpaczliwie, sprośnie - a wtedy Kathy dotykała go i pytała, co się stało. Jej wzrok zdradzał wyraźny lęk. „To nie był twój głos - mówiła. - To nie byłeś ty”.

John zmuszał się do śmiechu. Jego pamięć nie sięgała w ciemność.

„Miałem zły sen” - odpowiadał, wierząc, że mówi prawdę, choć nie brzmiało to prawdopodobnie nawet dla niego samego. Obejmował ją potem i leżał w milczeniu z szeroko otwartymi oczami, biorąc z jej skóry to, czego mu było potrzeba.

A później, niekiedy przez całe godziny, Czarodziej patrzył, jak żona śpi.

Czasem się odzywał.

„Kath - mówił, spoglądając na nią z góry - Kath, moja Kath”, i zbliżał dłoń do jej ust, jakby chciał zapanować nad tym cudem, jakim był jej oddech. Od czasu do czasu widział w ciemności znikającą wioskę. Widział starszego szeregowca Weatherby'ego, biały hełm ojca i małego chłopca, który próbuje manipulować światem. Kiedy indziej widział samego siebie, wykonującego końcowy numer zniknięcia. Wielki finał przed zapadnięciem kurtyny. Nie opanował jeszcze techniki czy też zasad działania ukrytego mechanizmu, ale widział w wyobraźni mężczyznę i kobietę, pożerających się nawzajem jak para węży przy ścieżce koło Pinkville, najpierw ogony, a potem głowy, aż wreszcie oba znikają na zawsze w swoich

wnętrznosciach. Bez śladu, bez najmniejszego tropu. Po prostu zniknąć - to sztuczka jego życia. Zostanie zdjęty ciężar tajemnicy. Pamięć wyparuje. Będą żyć w absolutnej wiedzy, wszystko stanie się widzialne, wszystko stanie się niewidzialne, znikną druty i sznurki, i zostanie tylko wielki, mroczny świat, gdzie jeden i jeden zawsze równa się zero.

Nocą leżał i patrzył na nią.

„Kath, słodka Kath” - mówił cicho, jakby przywoływał jej ducha. Czuł na dłoni przyływ i odpływ jej oddechu.

XI O tym, co zrobił potem

Następnego dnia John Wade obudził się późno z nerwowego, gorączkowego snu. Zanim wziął prysznic i poszedł do kuchni, było już prawie południe. Jeszcze półprzytomny, zaparzył w imbryku kawę, usmażył jajecznicę z trzech jajek i wyniósł śniadanie na werandę. Był kolejny piękny dzień: do jasnego, błękitnego nieba przyklejone alabastrowe obłoki. Siedział na schodkach i jadł jajecznicę. Po głowie snuły mu się pasemka snu - syczące dźwięki, odgłosy łopotania.

W pewnym momencie obejrzał się za siebie z przestachem.

- Ej, Kath - powiedział.

Nasłuchiwał.

- Kath! - wrzasnął.

Poczekał chwilę i zawołał:

- Kath, chodź tu na sekundę!

Wszedł do domu, opłukał naczynia i nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Pojawi się za jakieś pół godziny, pomyślał. Pewnie poszła na przechadzkę po okolicy. Rano przeważnie spacerowała nad brzegiem albo szła którąś ścieżką w kierunku wieży obserwacyjnej.

Jeszcze pół godziny. Najwyżej godzina.

A teraz, postanowił, czas na większe sprzątanie. W powietrzu unosi się nieprzyjemny smród roślin, więc na początek wyrzuci szczątki z nocy. Zrobi porządek w domku, a potem zabierze się do swojego życia. Wade skondensował tę myśl w mocne postanowienie. Odtąd będzie wstawać wcześniej. Przed śniadaniem przebiegnie parę kilometrów, żeby wytrząsnąć z siebie powyborecze rozmamłanie. A później uprzątnie grubszy bałagan. Może wymyśli sobie jakąś przyszłość. Po południu siądą z Kathy i spróbują obgadać parę spraw. Podstawowy priorytet to książeczka czekowa, jakaś praca. Trzeba wykonać kilka telefonów i zobaczyć, co się da osiągnąć dzięki współczuciu.

Pokaż, co potrafisz, pomyślał. Zaczynij od zaraz.

Wade energicznie wstał, wygrzebał plastikową torbę na śmieci, pomaszerował do salonu i zebrał martwe rośliny. Wyniósł torbę na dwór i wrzucił ją do pojemnika na śmieci za domkiem. Bez wątpienia Kathy odkryła rano te odpadki, a przynajmniej poczuła ich zapach, i niebawem nadejdzie chwila, gdy będzie zmuszony przedstawić zgrabną linię obrony. Powoła się na okoliczności łagodzące. Istnieją naprawdę. Miał fatalną noc, nic więcej. Przeprosi ją, a następnie udowodni, że odzyskał panowanie nad sobą. Jest znów godnym zaufania obywatelem. Uczciwym i prawym.

Ta myśl dodała mu energii.

Nastawił pranie, wytarł zmywakiem podłogę w kuchni. Od razu poczuł się lepiej. To kwestia siły woli. Ponad godzinę przekopywał się przez stertę korespondencji, odkładając nieliczne koperty, a resztę wyrzucając. Porządek jest najważniejszy. Przejrzał wyciągi bankowe, dwadzieścia razy przeszedł do siadu z leżenia, nastawił następne pranie i spędził kilka minut, wążając się bez celu z pokoju do pokoju. Dom wydawał się dziwnie pusty. W sypialni, przy nogach łóżka, stały pantofle Kathy, a jej niebieski szlafrok wisiał na haczyku koło drzwi. W powietrzu unosił się słaby zapach amoniaku. Po cichu, jakby bał się naruszyć stan rzeczy, poszedł korytarzem do łazienki, gdzie w starym słoiku po dżemie stała włosiem do góry szczoteczka do zębów Kathy. Z kranu kapła woda. Zakręcił go. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem wrócił do kuchni.

Było kilka minut po wpół do drugiej. Do cienia już się wkradały załążki popołudnia.

Wade nalał sobie wódki z tonikiem i podszedł z drinkiem do okna w kuchni. Mglisto, bez niepokoju, zaświtało mu w głowie pytanie, co ją zatrzymuje. Może to zemsta. Pewnie podziałała jej na nerwy ta historia z roślinami, zwłaszcza w świetle pozostałych rewelacji, i chce mu coś dać do zrozumienia. Domowa pokuta: rozpamiętywanie błędów i wykroczeń.

Musi tylko, przekonywał sam siebie, wytrwać w postanowieniu. Na początek sporządzi parę list. Listę samodoskonalenia, potem rachunek winien i ma, i wreszcie listę firm prawniczych poszukujących taniej siły roboczej. Nalał sobie jeszcze jednego drinka, zasiadł z ołówkiem oraz kartką papieru i, rejestrując pojawiające się pomysły, z zadowoleniem opracował szczegółową listę wszystkich wspaniałych list, które kiedyś zrobi.

Alkohol wyczyniał akrobacje na jego nerwach.

Nie ma zmartwienia. Wystarczy postępować zgodnie z listami.

O czwartej złożył pranie i trochę poodkurzał na chybił trafił. Szybko się ochłodziło. Już niespokojny, niepewnymi na skutek wypitego alkoholu ruchami, nalał sobie nowego drinka i zaniósł go na kanapę w salonie. W powietrzu wciąż unosił się nikły zapach

amoniaku, zapach sali operacyjnej. W jego pamięci odezwało się krótkie, bezprawne szarpnięcie bólu. To miało jakiś związek z wydarzeniami ostatniej nocy. Z zapachami środków antyseptycznych i dżungli.

Wziął oddech i opadł na oparcie kanapy.

Powoli ogarniał go przyjemny spokój. Dzięki substancjom chemicznym wykonał emocjonalną woltę i pozwolił sobie na dłuższą chwilę zapomnienia, w której nie istniały listy ani żadna przyszłość, a tylko płynięcie, odkrywanie pustki.

Jakiś czas potem John Wade wyczuł w półśnie ruch w pokoju. Ten ruch - tak delikatny, że będzie go później jednocześnie pamiętał i nie pamiętał - przypominał powiew wiatru, jakby ktoś zostawił uchylone okno. To był na pewno psikus umysłu, lecz mimo to John nie mógł zignorować dotyku palców Kathy na swoich powiekach. Nacisk na skórę był rzeczywisty. Usłyszał kroki. Usłyszał niski głos, który mógł należeć wyłącznie do Kathy. „To takie idiotyczne - powiedziała. - Przecież mogłeś mnie sprawdzić”, a potem odeszła, zostawiając przerażającą ciszę, spadek temperatury, ledwo uchwytnie osłabnięcie nacisku magnetycznego, wywieranego przez jedno ludzkie ciało na drugie.

O szóstej John Wade założył marynarkę, pokrzepił się szybkim drinkiem i zszedł na pomost. Wraz z wieczorem nadszedł zimowy chłód. Wiał wiatr, kładąc na jeziorze grzywiaste fale, a las od zachodu pociemniał i przybrał odcień brudnego złota.

Wade doszedł do wniosku, że powinien zachować absolutne posłuszeństwo zdrowemu rozsądkowi. Nie ma powodu do niepokoju. Możliwości jest mnóstwo. Spojrzał na południe w kierunku wieży obserwacyjnej, potem na grzywiaste fale i wreszcie na niebo w jedwabistych, złamanych błękitach. Pokazały się już pierwsze gwiazdy. Za godzinę ciemność okrzepnie.

Stał przez chwilę w bezruchu, wpatrując się w cienie i usiłując coś w nich dojrzeć.

- Okej - powiedział.

Coś drgnęło w jego żołądku. To nie było normalne. Wiedział o tym.

Odwrócił się, pobiegł do domu, odszukał latarkę i ruszył leśną drogą w kierunku wieży obserwacyjnej. Czuł we wnętrzościach ślizgawkę, przelewającą się wódkę.

Do głowy przychodziły mu różne nieszczęśliwe wypadki. Niefortunne potknięcie. Rany, połamane kości. Kathy jest inteligentna, owszem, ale gównie wie o tej głuszy. To miejska delikatnisią. Mieli taki wspólny żart: że Kathy uwielbia naturę, tylko nie rozumie, dlaczego musi ona być na dworze. Jej osobowość była pełna przeciwieństw. Sprzeczność stanowiła zasadę. Lubiła poranne spacerki, samotność i świeże powietrze, ale nawet wtedy pojmowała naturę jako dom towarowy z drzewami w doniczkach, przykryty gigantycznym szklanym dachem.

Co mogło się okazać zgubne.

Świadom nadciągającej ciemności szedł szybko, co jakiś czas podbiegając.

Po dziesięciu minutach droga skręciła na zachód i opadła na dno płytkiego wąwozu. Po lewej stronie wąska ścieżka prowadziła przez las w kierunku wieży obserwacyjnej. Wade przystanął w tym miejscu, zapalił latarkę i zbadał wzrokiem bazie i gęste krzaki. Zrobił kilka kroków do przodu, używając latarki jako sondy. Kuszące, pomyślał, zapuszczę się tędy do wieży obserwacyjnej. Ale był kiepskim traperem. Ścieżka zanurzyła się w złamane purpury zmierzchu, w bujną płataninę mroku, a po paru metrach całkiem zniknęła. Wszystko się ze sobą zlało, drzewa, zarośla i niebo, i o mały włos się nie zgubił.

Wrócił na drogę i zgasił latarkę. Usłyszał znajomy oddech, jednocześnie daleki i bliski.

- Kath? - zapytał.

Przez chwilę intensywnie nasłuchiwał, a potem pokręcił głową.

Do tej pory, pomyślał, zdążyła już wrócić do domu. To nie tylko prawdopodobne. To pewne.

Ta myśl go uspokoiła. Na wszelki wypadek przeszedł drogą jeszcze pół kilometra, od czasu do czasu kierując żółty snop światła z latarki na las po obu stronach. Przy starym żelaznym moście na Tyne Creek stanął i kilkakrotnie zawołał jej imię, najpierw cicho, a potem głośno, ale słyszał tylko w ciemności blisko-daleki oddech.

Masz fioła, powiedział sobie w duchu.

Zawrócił.

Kiedy dotarł do domku, było kilka minut po siódmej. Jeszcze raz zajrzał do środka ze świadomością, że jej tam nie ma, a potem wyniósł na werandę kolejnego drinka. Noc była ciemna i zwyczajna. Widział uderzające o pomost spienione fale i kilka wyczerpanych nurów. Czuł się, jakby poszła pożyczyc coś od sąsiada. Tylko że nie mieli żadnych sąsiadów. Najbliższy zamieszkały domek znajdował się w odległości półtora kilometra, a najbliższa brukowana droga w odległości kolejnych dwunastu. Spojrzał na hangar, potem na niebo, a potem znów na hangar. Przyszło mu do głowy, że mógłby do kogoś zadzwonić - na przykład do Claude'a Rasmussena - ale ten pomysł wydał mu się przesadzony. Lada moment Kathy podskakując ukaże się na drodze.

Miał ten obraz przed oczami.

Nie ma dwóch zdań.

Musi tak się stać.

O dziewiątej wziął gorący prysznic. O dziesiątej trzydzieści skończył wódkę i

przerzucił się na rum. Tuż po północy w gardle wezbrały mu mdłości, które przerodziły się w paniczny lęk, i po raz pierwszy dotarło do niego, co się stało.

Znów odszukał latarkę i udał się do hangaru.

Nie jestem pijany, pomyślał.

Owszem, miał chwiejny krok, ale wszystko widział wyraźnie. Od ponad godziny patrzył, jak obraz się klaruje, powoli wyostrza, a hangar stopniowo nabiera kształtu. Ściany obite smołowanym papierem, spadzisty dach i kamienna podmurówka. Wielkie, dwuskrzydłowe drzwi, wychodzące na jezioro.

Nie musiał się śpieszyć. Sprawa była naprawdę oczywista. Dobrze wiedział, co znajdzie.

Opadła nocna mgła, przez co ziemia wydawała się śliska i omszała. Świadom ryzyka, Wade uznał za konieczne odmierzać każdy krok. Liczył powody, dla których nie ma się czego bać. Kathy da sobie radę. Jest dobrą, wytrzymałą pływaczką. I on ją kocha. To był najważniejszy powód, ryle miłości - dlatego nic więcej nie może im się przytrafić.

Przytaknął sobie głową.

Przed nim latarka wywiercała w nocy blade dziury. Znad jeziora napierał porywisty wiatr, a w ciemności mnożyły się trzaski i zderzenia. To osobliwe, ale zebrało mu się na płacz, choć nie czuł takiej potrzeby.

Przy hangarze Wade przystanął, chcąc ochłonąć. Prawe skrzydło drzwi było uchylone. Kołysząc się lekko, wisiało na zardzewiałym górnym zawiasie, który wydawał miękkie, melodyjne piski.

To już nie był lęk. To była pewność.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i oświetlił latarką podłogę z ubitej ziemi. Nie spotkała go niespodzianka. Łodzi nie było. Nie mogło jej być. Zniknął też silnik, kanister, pomarańczowa kamizelka ratunkowa i dwa wiosła z włókna szklanego.

Wade przemyślał te fakty. Byli małżeństwem od szesnastu, prawie siedemnastu lat, a teraz ma niezachwianą pewność, że główny trakt jego życia został na stałe przesunięty.

Wyszedł na zewnątrz i zamknął drzwi.

- No, no - powiedział. Zabrzmiało to nieodwołalnie.

Pozwolił, by obecność Kathy dała o sobie przez chwilę znać. Wypiełgnowane, zadbane ciało. Zmarszczki powyborcze pod oczami. Dziewczęce dłonie, słoneczna skóra i słodki, niewinny uśmiech. Wie wszystko. Nie ma już tajemnic. Widziała nagłówki, poznała jego możliwości.

Miał wrażenie, że uśmiecha się do niego w ciemności. Po chwili rzuciła się w bok. Z

jej oczodołów uniosły się kłęby pary.

To oczywiście niemożliwe.

Odwrócił się, wy dobył klucze i ruszył w górę zbocza do buicka.

- Nie jestem pijany - powiedział Wade.

- Kto mówi, że pan jest?

- Nie jestem.

Ruth Rasmussen rozłożyła winylowy obrus, wygładziła go na brzegach i przyniosła kubek kawy.

- Jednym haustem - poradziła - to panu nie pocieknie.

- Jestem trzeźwy.

- Jasne. No to siup!

Ruth dotknęła jego ramienia i odwróciła się w kierunku kuchenki. Była dużą, krzepką kobietą po pięćdziesiątce, wysoką i energiczną. Nadprogramowe piętnaście kilogramów na biodrach i brzuchu nosiła z niezaprzeczalną gracją. Gęstwina przyprószonych srebrem czarnych włosów sięgała jej sporo poniżej ramion.

- Niech się pan uspokoi - powtarzała. - Pana żonie nic się nie stało. Tak się zdarza.

- Ale ta łódź. Nie ma łodzi.

Ruth wydała pełne zniecierpliwienia cmoknięcie.

- Tak, wspomniał pan o tym chyba już trzydzieści czy czterdzieści razy. Łodzie po to są, żeby płynąć z miejsca na miejsce. - Wrzuciła kłodę drewna do pieca, wyregulowała szyber i ze szczękiem zasunęła żelazną pokrywę. - To na pewno jakieś głupstwo. Jak nic wysiadł jej envinrude. Świeca czy co. Może poszła linka.

Odwróciła się i spojrzała na jego kawę.

- Cukru?

Wade potrząsnął głową.

- Coś tu nie gra. Ona by nie... Mam złe przeczucia.

- Przekona się pan. Claude pana odwiezie i zobaczycie. A teraz niech pan to wychyli.

Kawa była letnia, gorzka i więcej niż zła, ale Wade wypił ją i zabrał się do następnej filiżanki. Po chwili Ruth położyła przed nim bochenek chleba.

- Jedno jest pewne - powiedziała - że czarnowidztwo nic tu nie pomoże. Założę się, że to ten dziadowski stary silnik. Miliony razy mówiłam Claude'owi, żeby wyłożył gotówkę na nowy... miliardy razy. Myśli pan, że to zrobił? Nic z tego. Za bardzo się trzęsie nad portmonetką. - Zachichotała i usiadła naprzeciwko niego. - Sztuka polega na tym, żeby myśleć pozytywnie. Czarne myśli to czarna przyszłość. Zauważyłam, że to się zawsze

sprawdza.

Wade wpatrywał się tępym wzrokiem w stół. Bolała go głowa. Stawy w łokciach też, nie licząc innych części ciała, których nie potrafił zlokalizować.

- Mimo to coś tu nie gra. Nie ma jej już cały dzień. I prawie całą noc.

- Nawet jeśli ma kłopoty, to co? Każdemu może się urwać silnik, skończyć benzyna albo przytrafić inny kłopot. To się zdarza częściej, niż pan myśli. Poza tym pana żona zrobiła na mnie wrażenie naprawdę silnej kobiety, takiej, która zawsze da sobie radę. - Ruth posypała brązowym cukrem kawałek chleba i pchnęła go przez stół. - Niech pan weźmie uczciwego gryza, chleb wchłonie truciznę. A potem się zobaczy.

- Pani Ruth, nie uważam...

- Proszę jeść.

Za jego plecami, na tyłach domu, rozległ się odgłos splukiwania toalety. Pojawił się Claude Rasmussen z parą butów roboczych i sztruksową kurtką myśliwską w rękę. Staruszek podszedł do zlewu, odkaszlnął, wypluł flegmę i pochylił się, żeby ją obejrzeć. Potem się odwrócił i spojrzał na Ruth.

- No, jak tam nasz poczciwy senator?

- Jak świnia - odparła. - Prawie trzeźwy.

- Serio?

- Z każdą chwilą mu się poprawia.

Staruszek wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zbliżał się do osiemdziesiątki i było to po nim widać, ale wzrok miał wciąż bystry i jasny. Usiadł i zaczął sznurować buty.

- Na tyle trzeźwy, żeby utrzymać kurs?

- Czuję się dobrze - powiedział Wade.

- Jasne. Dobrze to pan jest nawalony. - Claude znów się uśmiechnął. - Zrobimy tak. My pojedziemy do pana domku i trochę tam poszperamy. Ruth tymczasem wykona parę telefonów do miasta. - Posłał żonie porozumiewawcze spojrzenie. - Spróbuj zadzwonić do Vinny Pearsona, do Mini-Martu i wszędzie, gdzie kogoś zastaniesz.

Claude wsunął do ust protezę, zagryzł ją i nasadził na głowę brudną czapkę baseballowej drużyny Twins.

- Tak się przedstawia nasz program. Jakież poprawki, senatorze?

- Uroczy - odparł Wade.

- No, cóż. Staram się.

Ruth klasnęła w swe wielkie dłonie.

- No, to do roboty. Wszystko się wyjaśni.

Kiedy wyszli na dwór, Wade oddał swoje klucze i usiadł na tylnym siedzeniu, a starszek wjechał buickiem w mgłę. Johnowi nic nie wydawało się rzeczywiste. Miał wrażenie, że ta jazda dotyczy innej osoby: ten samochód, ta droga i zapadająca ciemność. Claude prowadził jedną ręką, mocno hamując na zakrętach i wpatrując się w drogę swym ruchliwym, przenikliwym wzrokiem. Zdrowie starszka szwankowało - słabe serce i pół wieku na pall mallach robią swoje - ale jeszcze nie stracił swej cwaniackiej inteligencji, która dawno temu uczyniła go bogatym. Mimo że uznawał za stosowne udawać chłopca nadzorującego cudzą posiadłość, w rzeczywistości nim nie był. Miał na własność dom i dużo więcej - dziesięć kilometrów wybrzeża, cztery tysiące osiemset hektarów porośniętych drzewami najwyższego gatunku i przylegających do lasów stanowych. Miał też prawo wyłączności na korzystanie z drogi, które wydzierżawił Weyerhaeuserowi, i pokaźne udziały w dwóch dużych kurortach nad jeziorem. Pochodził z Duluth i dorobił się na transporcie takonitu, początkowo ciężarówkami, a potem niewielką flotyllą jeziorną. Od dziesięciu lat Wade znał go przelotnie jako jednego z wiernych sponsorów partii.

Nie byli przyjaciółmi w głębszym sensie tego słowa. Raczej znajomymi. Ale po prawyborach jedyny znaczący telefon otrzymał właśnie od Claude'a Rasmussena, który zaoferował mu domek, czyste powietrze i dwa tygodnie bez prasy. To wystarczyło. Był z niego uparty gość, owszem, ale teraz jego upór przynosił ulgę.

Przy domku, gdzie droga się rozszerzała, Claude wyłączył silnik. Samochód potoczył się w dół zbocza aż do hangaru. Przez chwilę siedzieli w ciemności bez słowa, przyzwyczajając do niej oczy. Starszek wyciągnął ze schowka latarkę.

- Jak tam manewrowość? Może pan iść?

- Wyśmienicie. Bez najmniejszego problemu.

- Po prostu spytałem. - Claude wzruszył obojętnie ramionami. - Pana oddech, człowieku, cuchnie jak czarci rum. Nawet taki staruch jak ja pozna rum po zapachu zgagi. - Otworzył drzwi od strony Wade'a. - A teraz popatrzmy na ten pański rewelacyjny krok.

Mgła skoncentrowała się gęsto wzdłuż brzegu, wilgotna i tłusta. Idąc za starszkiem do hangaru, Wade poczuł w piersiach nieprzyjemny ciężar. Claude pchnął na oścież oba skrzydła drzwi i skierował światło latarki na stojak do łodzi. Jakaż doskonałość jest w tej pustce, pomyślał Wade. Po chwili Claude zsunął czapkę na tył głowy, przykucnął i przebiegł dłonią po podłodze.

- No, tak - powiedział. - Łódź nam zniknęła.

- Mówiłem panu.

- Jasne, mówił pan. - Starszek wstał. Wyglądał, jakby czegoś nasłuchiwał. - Wybrała

się na małą wycieczkę. O czym tu mówić?

- Jeszcze nie wróciła.

- Pan żartuje. Właśnie to w panu podziwiam, senatorze. To morze optymizmu.

Wyszli na zewnątrz, obejrzeni pomost, a potem wrócili po skalkach do domu. Wade zapalił światło w kuchni. Natychmiast poczuł dziwną drętwotę tego pomieszczenia. Wszystko tu było zastygłe i puste jak w muzeum. Ze słabą nadzieją szedł za Claudem z pokoju do pokoju, ale przedmioty, między którymi żyli, już ogarnął wielki bezruch: jej niebieski szlafrok, jej pantofle przy nogach łóżka, rozłożony zeszyt z krzyżówkami na kuchennym blacie. Szybko poszło, pomyślał Wade.

W salonie Claude zatrzymał się i obrzucił wzrokiem meble. Wydawał się zdezorientowany.

- A telefon? Gdzie jest?

- Gdzieś tutaj - odparł Wade. - Wyłączyłem go.

- Wyłączył pan?

- Co to za różnica? Potrzebowaliśmy ciszy, więc go gdzieś odłożyłem.

Staruszek wypluł górną protezę. Wyglądał, jakby sumował w myśli ciąg liczb.

- Wszystko dobrze. Nie mam nic przeciwko ciszy. Tylko nie rozumiem, dlaczego musiał pan ten cholerny telefon schować.

- Nie schowałem go. Już powiedziałem, że gdzieś tu jest.

- Ale wyłączony?

- Tak.

Wzrok Claude'a wędrował z miejsca na miejsce.

- Innymi słowy nie ma sposobu, żeby pańska żona mogła tu zadzwonić? Na przykład gdyby utknęła w mieście albo miała się spóźnić?

- Chyba nie.

- Chyba?

- No, dobrze. Nie ma sposobu.

Wade odwrócił się. Minęło kilka minut, zanim znalazł telefon pod zlewem w kuchni. Wnosząc go do salonu i podłączając, czuł na sobie badawczy wzrok staruszka.

Claude wybrał numer, poczekał chwilę i odłożył słuchawkę.

- Zajęty - powiedział. - Pewnie Ruth ma właśnie na drucie pana kobietę.

- Myśli pan...

- Myślę, że powinniśmy wziąć na wstrzymanie i nie dać się ponieść panice.

- Ja nie panikuję - rzekł Wade. - Jestem tylko zaniepokojony.

- Przepraszam, jest pan zaniepokojony. - Staruszek zdjął czapkę i przesunął dłonią po głowie, przyglądając włosy, których nie miał. - To nic złego, że pan się niepokoi, ale opowiem panu autentyczny fakt. Pracowałem tu przez bite dwadzieścia cztery lata. Nie straciłem ani jednego klienta. Taka jest najprawdziwsza prawda. Ani jednego, jeśli nie liczyć paru tępych rybaków, a i tych, wyznaję z cholernym żalem, nie na stałe.

Wade pokręcił głową.

- To nie znaczy, że ona nie jest w tarapatach.

- Słusznie. To znaczy, że czekamy.

- I beczynn timer siedzimy?

- Broń boże, wcale nie beczynn timer. Gdzie ten pański superrum?

Przenieśli się do kuchni. Wade przygotował dwa drinki, podał jednego Claude'owi i spojrzał na zegar nad kuchenką. Była prawie druga rano. Nie ma jej już piętnaście godzin, może dłużej. Zaczęły mu się pojawiać przed oczami fatalne obrazy. Włosy w wodorostach. Łódź przewrócona do góry dnem.

Głos Claude'a dobiegał z Kanady.

- Słuchaj pan, czy ona umie pływać?

- Jak to?

- Pańska żona.

Wade zamrugał powiekami i skinął głową.

- Tak. I to dobrze.

- No, to po sprawie, nie?

- Ale mnie się wydaje... nie wiem... że powinniśmy się ruszyć i zacząć jej szukać.

- A gdzie?

- Wszędzie. Po prostu sprawdzić.

Claude ssal kostkę lodu. Zerknął na swego drinka, westchnął i przełknął ślinę.

- Może pan nie zauważył - powiedział - ale na zewnątrz jest szatańska ciemnica. Czarno jak w piekle - to po pierwsze. Po drugie mgła. Do tego trzeba dodać tysięcy kilometrów kwadratowych wody, nie mówiąc o lasach i lichu wie ilu wyspach, ławicach piasku i innym gównie. Nic, do cholery, nie wskóramy.

- No to poprośmy policję.

- Jaką policję? Policja to tu jest Vinny Pearson, co prowadzi stację Texaco. Robi na pół etatu za osiemdziesiąt dolców miesięcznie; co taki gość może? Ja wiem, co on zrobi. Powie panu: „Facet, zabieraj stąd dupę i idź spać”, czyli z grubsza to samo, coja. Do rana nic nie możemy zrobić, taka jest brutalna prawda. Najgorsze, co się mogło stać, to że wpadła

gdzieś na mieliznę.

- Niemożliwe - rzekł Wade.

- Skąd ta pewność?

- Przeczucie. Ja to wiem.

- Wie pan?

- Tak jest.

Claude znów zdjął czapkę. Przez chwilę milczał, wpatrując się w jakiś punkt na środku czoła Wade'a.

- Jestem ciekaw jednej rzeczy. Czy wyście, ptaszyny... Czy nie było przypadkiem jakiejś kłótni?

- Nie.

- Żadnej sprzeczki?

- Oczywiście, że nie.

Staruszek zmarszczył czoło.

- To nic strasznego. Mnie i Ruth też czasem ponosi. Ona coś powie, ja coś powiem i za chwilę latają po kuchni ręczne granaty. To się zdarza.

- Nie nam - rzekł Wade. - Obudziłem się rano, a Kathy nie było.

- To cała historia?

- Absolutnie.

- No, dobrze. Nie to nie. - Staruszek opadł na oparcie krzesła. W jego wzroku było jakieś pytanie, które jeszcze się nie skryształizowało. Spojrzał w zadumie na stos pustych doniczek na kuchennym blacie.

- Nie ma kłótni, nie ma problemu - powiedział w końcu. - Na pańskim miejscu, senatorze, poczekałbym cierpliwie i zobaczył, czego się uda dowiedzieć Ruth.

- Dałby pan sobie spokój z tym pieprzonym senatorzeniem.

- Nie chciałem pana urazić.

- To niech pan sobie daruje. Nie jestem senatorem.

Claude uśmiechnął się.

- Nieźle panu przyłożyli. Zdaje się, że trzy do jednego.

- Prawie.

- Szkoda, psiakrew. Ale demokratów ciężko zadowolić. Weźmy mnie. O takich jak ja mówi się, że są prawdziwymi, wiernymi deefelowcami ¹ z Minnesoty. Hubert, Orville, Floyd B. Olson, cała ta ekipa, to wszystko starzy, twardzi hodowcy kukurydzy. Mięcho z kartoflami, że tak powiem. Co na języku, to w sercu, co w sercu, to na języku. Jednego tylko nie lubię:

polityki z przyczajenia. - Staruszek napełnił swój kieliszek i na chwilę zapadła cisza. - W każdym razie - rzekł - nie mogę powiedzieć, że głosowałem na pana.

¹ DFLP - Democratic Farmer Labour Party, Farmerska Demokratyczna Partia Pracy (przyp. tłum.).

Wade wzruszył ramionami.

- Niewielu może.

- To nie jest kwestia osobistych uprzedzeń.

- Wiem. To nigdy nie bywa ta kwestia.

Claude rzucił na niego z ukosa rozbawione spojrzenie.

- Ale z drugiej strony, nie mówię też, że na pana nie głosowałem. Może tak, może nie. Nie rozumiem jednej rzeczy; po prostu tego nie pojmuję; że ani razu nie poprosił pan o pomoc. Mam na myśli pomoc finansową. Przecież mógł pan to zrobić.

- I co wtedy?

- Trudno powiedzieć. Ludzie twierdzą, że się nabieram na stracone sprawy. - Staruszek zawahał się. - Prawda jest taka, że nie miał pan za grosz szans po tym gównie, które powypisywali w gazetach. Mimo to może bym wybulił parę dolców.

- To miło. Liczą się dobre chęci.

- Urządzili panu rzeź. Zrobili z pana... Ale domyślam się, że niespecjalnie ma pan ochotę o tym mówić?

- Chyba nie.

Staruszek skinął głową. Spojrzał na zegarek i dźwignął się na nogi.

- Niech pan się nie rusza, spróbuję jeszcze raz zadzwonić do Ruth.

Wade'owi łomotało w głowie. Znów opanowały go znajome mdłości i uczucie rozmycia. Nie był w stanie odpędzić fatalnych obrazów. Zewsząd wyskakiwały szczątki roślin. Duchy, wodorosty i kawałki kości.

Słuchał, jak Claude wybiera numer. Staruszek rozmawiał cicho przez parę minut, a potem westchnął i odłożył słuchawkę.

- Nie mamy szczęścia. Ruth będzie dalej próbować, zostało jej jeszcze dużo numerów do obdzwonienia.

- I policja - rzucił Wade.

- Może i tak.

- Tylko nie może. Kathy gdzieś tam jest. Musimy zacząć coś robić. I to już.

Staruszek wepchnął dłonie do tylnych kieszeni. Nieobecny wzrokiem, lekko marszcząc czoło, spojrzał na stertę glinianych doniczek koło zlewu.

- Przecież już panu wyjaśniłem, że Vinny to nie Kojak. Wszystko, co może, to zawiadomić szeryfa z Baudette. Wysłać parę łodzi, zorganizować samolot albo dwa.

- To już jest jakiś początek - rzekł Wade. - Zawsze coś.

- Pewnie tak.

- No, to ruszmy się.

Claude wciąż się przyglądał pustym doniczkom. Chwilę zwlekał, aż wreszcie podszedł do zlewu.

- Te kwiaty. Co tu się, do cholery, działo?

- Nic - odparł Wade. - To był wypadek.

- Ach, tak?

- Tracimy czas, panie Claude.

Na czole staruszka zadrgała mała żyłka. Podniósł jedną doniczkę i obrócił ją w dłoniach.

- Wypadek - powiedział. - To ciekawe.

XII Materiał dowodowy

Jak już mówiliśmy, cud to skutek czynników sprawczych, które nie są nam znane. Z chwilą gdy czynniki te zostaną odkryte, mamy do czynienia nie z cudem, lecz z prawem naturalnym. Ta zasada odnosi się także do magicznej sztuczki, w której czynniki sprawcze są zręcznie ukrywane, a ich rezultat przypisuje się idei „magii” zamiast naturalnej zasadzie przyczyny i skutku, W pewnym sensie wszyscy żywimy niechęć do praw natury. Wolelibyśmy stawać się sprawcami różnych zjawisk w bardziej bezpośredni sposób, przez samo wezwanie, jak to się dzieje w przekonaniu ludów niecywilizowanych. ’

- Robert Parrish („The Magician’s Handbook”)

Odnosiłam wrażenie, że on naprawdę miał się za Czarodzieja, a Kathy była jego główną widownią. Nie wiem, jak ona to znosiła. Może wierzyła, że uda mu się dokonać prawdziwego cudu - w jej życiu. Myślę, że moja siostra też czasem miała go za Czarodzieja

- Patricia S. Hood

Widz czerpie dodatkową przyjemność z biernego ulegania wszechpotężnej i tajemniczej sile, z bezradnego poddawania się rosnącemu podnieceniu, gdy upada władza rozumu i zawodzi zdrowy rozsądek. ²

- Bernard C. Meyer („Houdini: A Mind in Chains”)

Miał urok. Dosłownie. Rzucił na człowieka urok, aż ten ni cholery nie mógł się ruszyć.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Jeśli o mnie chodzi, to był miły, uprzejmy człowiek.

- Ruth Rasmussen

Kathy wiedziała, że on ma tajemnice, że o czymś nie chce powiedzieć. Wiedziała, że ją śledził. Może się myłę, ale miałam wrażenie, że czuła potrzebę uczestniczenia w tym wszystkim. W tym jego chorym przedstawieniu.

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczkki dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

*...możesz sobie ryczeć po kątach, powtarzać, że nawet kumple odtręcili go w Wietnamie, że szefowie jak jeden mąż odwrócili się do niego plecami, ale nigdy go nie opuścisz. On cię potrzebuje. Może o tym mówić albo nie, może to dawać do zrozumienia albo nie, ale cię potrzebuje.*³

- Patience H. C. Mason („Recovering from the War”)

Myślę, że Kathy kochała go do tego stopnia, iż nie potrafiła dostrzec, co się wokół niej dzieje. Jak ten czarodziejski proszek. Wystarczy nim posypać ukochaną i już można się łudzić.

- Patricia S. Hood

*Widzowie chcą wierzyć, że iluzjonista naprawdę robi to, co widzą a jednocześnie wiedzą swoje i w to nie wierzą. Tu leży źródło fascynacji magią u współczesnych ludzi. Magia to paradoks, zagadka, częściowe spełnienie odwiecznego pragnienia, łamigłówka, udręka, oszukaństwo i prawda.*⁴

- Robert Parrish („The Magician’s Handbook”)

Dowód rzeczowy numer osiem: magiczne pudełko Johna Wade’a, niepełna lista:

Chińskie Obręcze

Niewyczerpany Dzban kule z gąbki

Karty Szulerskie magiczny wosk pocztówka od ojca (datowana z 19 lipca 1956 roku, fotografia niezidentyfikowanego granitowego budynku, pismo w znacznym stopniu nieczytelne: „...stąd niedługo... z niecierpliwością... Tata”) magiczne mleko (2 puszki) jedwabny ładunek książka „Telepatia czasu” książka „Kurs magii” Tarbella, tom I wybrane katalogi, Magiczne Studio Karry

Tego lata, kiedy John skończył jedenaście lat, sprawy zaszły już tak daleko, że nie miałam wyboru. Jego ojciec pił coraz więcej i więcej. Spędzał w Związku Byłych Kombatantów całe popołudnia i pół nocy. W końcu zdobyłam się na odwagę i zapisałam go do stanowego ośrodka odwykowego na północy. Muszę z przykrością przyznać, że jego nieobecność była dla nas ulgą Oboje, John i ja, uwielbialiśmy tego człowieka, ale nagle zniknęło całe napięcie i mogliśmy jeść kolację nie siedząc jak na szpilkach... Parę razy pojechaliśmy do niego na weekend w odwiedziny. Szliśmy na zieloną łąkę, jedliśmy coś na

świeżym powietrzu... Było miło. Pamiętam, że pewnego razu - szykowaliśmy się już do powrotu - jego ojciec odprowadził nas do samochodu, objął mnie, pocałował i, prawie płacząc, powiedział, że mnie kocha, że przeprasza i że wszystko się zmieni na lepsze. Ale nic się nie zmieniło. Nigdy się specjalnie nie poprawiło.

- Eleanor K. Wade

*Każda sztuczka rozwija się dwoma starannie przemyślanymi wątkami - jeden opisuje to, co sugerowane, drugi to, co rzeczywiste. Wasze powodzenie w pracy iluzjonisty zależy od tego, czy zrozumiecie zależność między tymi dwoma wątkami*⁵

- Robert Parrish („The Magician’s Handbook”)

Nie jestem psychiatrą, ale jeśli pyta mnie pan o zdanie, to politycy są generalnie ludźmi raczej niepewnymi siebie. Niech pan spojrzy chociażby na mnie - jestem gruby jak świnia. I wygłodniały miłości. (Śmiech.) Więc szukamy rozgłosu. Stajemy się wykonawcami przedstawienia. Wychodzimy na scenę, gadamy, śpiewamy, tańczymy i prezentujemy swój marny pokazik. Robimy wszystko, żeby zadowolić publiczność, żeby zdobyć poklask. Jak dzieci Chłoniemy miłość.

- Anthony L. (Tony) Carbo

*John często przychodził do sklepu. Miał dziesięć, jedenaście lat. Najpierw wydawał się przestraszony, ale po jakimś czasie zaczął tu spędzać prawie każdą sobotę. Robił na mnie wrażenie miłego dziecka. Pokazywałam mu efekty na nowych dostawach towaru - efekty, tak nazywamy sztuczki - i wspólnie je ćwiczyliśmy... Zawsze mówił do mnie Marchewkowa Damo, nawet gdy podrośł. Wątpię, czy znał moje prawdziwe imię.*⁶

- Sandra Karra (Magiczne Studio Karry)

*Jeśli szukasz pomocy dla weterana wojennego, omijaj z daleka kościoły przypisujące zło siłom zewnętrznym na przykład diabłu, który kusi lub opętuje ludzi. Przede wszystkim dlatego, że wiara w zewnętrzny ośrodek kontroli własnego zachowania („diabeł mnie do tego podkusił”) uniemożliwia reagowanie na zaistniałe sytuacje w dojrzały sposób, na przykład poprzez dorastanie i czerpanie korzyści ze swojego doświadczenia.*⁷

- Patience H. C. Mason („Recovering from the War”)

Całe miliony. Wielkich, złośliwych skurwieli. Te muchy były cholernie upierdliwe.

- Richard Thinbill

*Fakt, że osoba działała w zgodzie z rozkazem swego rządu czy swego zwierzchnika, nie zwalnia od odpowiedzialności wynikającej z prawa międzynarodowego...*⁸

- „Zasady Norymberskie”

SŁOWNIK

Ladunek: ukryta paczka lub wiązka przedmiotów, które mają się pojawić w magiczny sposób

Niewyczerpany Dzban: naczynie, które wydaje się puste lub wypełnione płynem, zależnie od życzenia iluzjonisty

Manewr mylący: dowolna technika stosowana przez iluzjonistę w celu odwrócenia uwagi widzów od wykonywanej potajemnie czynności⁹

Droga Kathy,

Ten list będzie krótki, bo nie bardzo jest o czym pisać. Myślę tylko o jednym - żeby wskoczyć na ptaszka wolności, polecieć do domu, ożenić się i spędzić najbliższe dziesięć lat w łóżku. (Taki jestem napalony!) Właściwie sytuacja jest raczej napięta. Wciąż tracimy ludzi, przez pułapki minowe i podobne świństwa, a Charliego Zwycięzcy jak nie widać, tak nie widać. To się robi denerwujące i wszystkim już trochę odbija. Trudno to opisać. Jakby się bali jakiejś niesamowitej zarazy. Czasem prawie czuć jej zapach albo smak, jakby coś wisiało w powietrzu. Ale skoro tyle przeżyłem, to chyba nic mi się już nie stanie. Kocham Cię. To jak z tymi dwoma szurniętymi węzami - jeden plus jeden równa się zero!

Wiecznie napalony

„Czarodziej” John Wade

(list z 13 stycznia 1968 r.)

Moment największego zagrożenia dla osoby przeżywającej kryzys występuje nie podczas przygotowań do bitwy i nie w jej trakcie, lecz tuż po jej zakończeniu. W stanie kompletnego wyczerpania i emocjonalnego wypalenia należy ważyć swoje decyzje ze szczególną ostrożnością. Istnieje wówczas zwiększone prawdopodobieństwo popełnienia błędu, ponieważ może zabraknąć amortyzującego działania rezerw emocjonalnych i umysłowych, stanowiących zasadniczy warunek prawidłowego osądu.¹⁰

- Richard M. Nixon

[Po przegranej w 1941 r.] rozżalenie i wściekłość Johnsona skrupiły się na jego nieszczęsnych pomocnikach... Wrzeszczał, darł się i machał rękami..”

- Robert A. Caro („The Years of Lyndon Johnson”)

Pewnie, że wiedzieliśmy, na co się zanosi, ale John chyba miał nadzieję na wyczarowanie z rękawa jeszcze jednego cudu. Nie udało się. Tamtego wieczora, gdy zaczęły napływać rezultaty, jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Trudno mi to dokładnie opisać - taka pusta - jakby był chodzącym trupem. Klęska zmienia ludzi

- Anthony L. (Tony) Carbo

Trochę pił, to prawda. Ale kto by nie pił po takim wycisku?¹²

- Ruth Rasmussen

*Kandydat, który przegrał w wyborach prezydenckich, po tym wszystkim, co przeszedł w czasie kampanii jest co najmniej przez miesiąc dosłownie w stanie szoku.*¹³

- Thomas E. Dewey

John zadzwonił do mnie tamtej nocy. Sprawiał wrażenie, jakby prawie spał. Zdenerwowanie przyszło chyba później - coś w rodzaju szoku z opóźnieniem. Zawsze był nerwowy, tak samo jak jego ojciec.

- Eleanor K. Wade

*Okrutne okoliczności towarzyszące klęsce Ala Smitha sprawiły, że jej wspomnienie dręczyło go jeszcze długi czas... Jak każdy człowiek chciał być tym najukochańszym.*¹⁴

- Matthew i Hannah Josephson („Al Smith: Hero of the Cities”)

Dowód rzeczowy numer dziewięć: wyniki prawyborów, Demokratyczna Farmerska Partia Pracy, stan Minnesota 9 września 1986 r.

Durkee - 73 %

*Wade - 21% inni - 6 %*¹⁵

Przypisy

¹ Parrish, „The Magician’s Handbook”, s. 15.

² Bernard C. Meyer, Houdini: „A Mind in Chains” (New York, E. P. Dutton, 1976), s. 136.

³ Patience H. C. Mason, „Recovering from the War: A Woman’s Guide to Helping Your Vietnam Vet, Your Family, and Yourself” (New York, Penguin, 1990), s. 12.

⁴ Parrish, The Magician’s Handbook, s. 16. „Tamże, s. 122.

„Wywiad, St Paul, Minnesota, 16 grudnia 1991 r.

⁷ Mason, „Recovering from the War: A Woman’s Guide to Helping Your Vietnam Vet, Your Family and Yourself, s. 320.

⁸ „Zasady Norymberskie”, 1946 r., Zasada rv, w: Edmund Jan Osmańczyk, „Encyklopedia ONZ i stosunków międzynarodowych”, Warszawa 1986 r., Wiedza Powszechna, s. 350.

⁹ Marvin Kaye, „The Stein and Day Handbook of Magic” (New York, Stein and Day, 1973 r.), s. 303, 305.

¹⁰ Richard M. Nixon, „Six Crises” (New York, Doubleday & Co., 1962 r.), s. 120-121. „Caro, „The Years of Lyndon Johnson”: The Path to Power, s. 740.

¹² Zob. Dowód rzeczowy numer dziewięć „Thomas E. Dewey, w: Nixon, „Six Crises”, s. 423. „Matthew i Hannah Josephson..Al Smith: Hero of the Cities” (Boston, Houghton

Mifflin Co., 1969 r.), s. 403.

¹⁵ Czyż nie jesteśmy nimi wszyscy? Poznanie Johna Wade'a przekracza nasze możliwości. On jest tym innym. Mimo wieloletniej walki z tym przygnębiającym materiałem, mimo tylu podróży, wywiadów i wizyt w zatęchłych bibliotekach, dusza tego człowieka pozostaje dla mnie absolutną i niezgłębianą niewiadomą, etykietką pływającą bezwolnie w oceanie niefortunnych faktów. Przekazałem już zawartość dwunastu notatników, a pozostało wiele więcej. Zdałem sobie sprawę, że kieruje mną pragnienie przedarcia się do serca drugiej osoby, odstawienia sztuczki akrobatom rządzącym prawami natury i dokazania cudów poznania. Taka jest ludzka natura. Jesteśmy zafascynowani, wszyscy bez wyjątku, niewzruszoną Innością innych ludzi. Pragniemy za pomocą hipotez, marzeń, badań naukowych przeniknąć potężny mur opasujący duszę człowieka, zdefiniować ją, zamknąć pod kluczem i na wieki bronić do niej dostępu. („Kocham cię”, powie ktoś, a już zaczynamy się zastanawiać: „No, dobrze, ale jak bardzo?” - a kiedy pada odpowiedź: „Całym sercem”, zaczynamy powątpiewać, czy to płóche serce jest aby całe.) Nasi kochankowie, mężowie, żony, ojcowie, bogowie - wszyscy są dla nas niedostępni.

XIII Istota bestialstwa

Ta wojna nie miała celu. Nie było obiektów do atakowania, nie było widocznego wroga. Nie było komu odpowiadać na ogień. Ludzie odnosili rany, potem jeszcze więcej ludzi odnosiło rany, i nigdy nie było z tego żadnych korzyści. Zasadzki nie skutkowały. Patrole natykały się na same kobiety, dzieci i starców.

- Bawimy się, cholera, w chowanego - rzekł pewnego wieczora Rusty Calley. - Oni się chowają, a my ich szukamy, tylko że gonimy bandę pieprzonych wietnamskich duchów.

Ktoś udał w ciemności wiedźmę. Ktoś inny się roześmiał. Dla Czarodzieja, który się temu przysłuchiwał, siedząc w swym dołku, wojna była już stanem ducha. Jeszcze nie czuł się jak w domu wariatów, ale nie odstępował go zgiełk wojny.

- Gałki oczne za gałki oczne - odezwał się Calley. - To wasz słynny nakaz biblijny.

Przez cały luty rozpracowywali bazę zaopatrzeniową o nazwie Pinkville. Był to łańcuch ciemnych, ponurych osad przytulonych do Morza Południowochińskiego. Chłopcy nie znosili tego miejsca i bali się go. Na ich mapach ten sektor był oznaczony błyszczącym, jasnoróżowym kolorem, symbolizującym „obszar zabudowany”, obfitujący w osady, rowy nawadniające i pola ryżowe. Ale kompania Charliego nie widziała żadnych jasnych stron Pinkville. Dla nich była to kraina strachu. Topografię zła znaczyły tunele, bambusowe zarośla, chaty z błota i mogiły.

25 lutego 1968 r. weszli na pole minowe koło wioski o nazwie Lac Son.

- Zabili mnie - powiedział ktoś i była to prawda.

Padał ulewny szary deszcz. Od strony gór przetoczył się ku zachodowi grzmot. Po godzinie siadły na ziemi dwa helikoptery służb medycznych. Załadowano w nie ofiary i śmigłowce wleciały w deszczowe niebo z trzema nowymi trupami i dwunastoma nowymi rannymi na pokładzie.

- To pestka - powiedział Calley. Miał dziecinną, rozlaną twarz. Zwrócił się do jednego z lekarzy: - Co słyhać, doktorku?

Trzy tygodnie później, czternastego marca, pułapka minowa ze stu pięćdziesiątką piątką rozerwała sierżanta George'a Coxa na kilka dużych, mokrych strzępów. Dyson stracił obie nogi. Hendrixson ramię i nogę.

Dwóch czy trzech mężczyzn płakało.

Inni nie pamiętali, jak to się stało.

- Śmierć Wietnamowi - powiedział porucznik Calley.

Skierował lufę swego karabinu w ziemię i puścił dwadzieścia szybkich serii. - Śmierć - powtórzył. Zarepetował broń i strzelił w trawę, w palmy, a potem znów w ziemię. - Ukatrupię ten kraj - powiedział. - Zabiję go.

Późnym popołudniem piętnastego marca John Wade dostał krótki list od Kathy. Był napisany na jasnoniebieskim papierze z tłoczonym złotym paskiem u góry. W jej wyraźnym piśmie czuło się pewność siebie.

Mam nadzieję - pisała - iż pewnego dnia zrozumiesz, że ja też potrzebuję czegoś dla siebie. Potrzebuję konstruktywnej przyszłości, prawdziwego życia. Jak wrócisz do domu,

Johnie, będziesz musiał traktować mnie jak istotę ludzką, bo nią jestem. Dorosłam. Zmieniłam się, podobnie jak Ty, i oboje nas czekają kompromisy. Musimy być wobec siebie bardziej wyrozumiali, mniej przewrażliwieni. Nie możesz mnie tak osaczać. Nie chcę się czuć jak jakaś marionetka. A tak na marginesie, spotykam się z paroma chłopakami. To nic poważnego. Powtarzam - nic poważnego. Kocham Cię i myślę, że może nam być razem cudownie.

Czarodziej tego samego wieczora odpisał: *Co to da, jeśli będziemy karmić żółtych komuchów szczurami?*

Uśmiechnął się do siebie i na osobnej kartce papieru na-bazgrał odpowiedź:

Małe szczurki

Szesnastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku o siódmej dwadzieścia dwie przodująca część kompanii Charliego wsiadła do eskadry śmigłowców,

które wzbily się ku rozproszonym, różowawym promieniom słońca, rozwinęły szyk szturmowy, skręciły na zachód i pomknęły niskim, szybkim lotem nad pokiereszowanym, pokaleczonym, wyludnionym po nalotach krajobrazem w kierunku rejonu lądowania położonego na zachodnich obrzeżach Pinkville.

Coś było nie tak.

Może światło słoneczne.

Czarodziej czuł się oszołomiony i półprzytomny. Nie opuściły go jeszcze obłąkańcze, poranne sny. Całą noc osaczały go różowe rzeki i różowe pola ryżowe. Jeszcze teraz, kucając w tylnej części helikoptera, nie mógł wypłoszyć tej różowości. Z tym kolorem coś było nie w porządku. Coś było nie w porządku z powietrzem. Z zapachami, z rozproszonym, różowawym światłem słonecznym i z zamkniętymi w sobie chłopakami. Meadlo, Mitchell i Thinbill siedzieli z zamkniętymi oczami. Piacha majstrował coś przy swojej radiostacji. Conti zwiedzał w wyobraźni jakiś burdel. Starszy szeregowiec Weatherby zażarcie czyścił ręcznikiem swój M-16, najpierw lufę, potem twarz, a potem znów lufę. Boyce, Maples i porucznik Calley siedzieli obok siebie w otwartych drzwiach śmigłowca, paląc wspólnego papierosa i w milczeniu patrząc na upstrzone lejami łąki i pola ryżowe.

Kompletna aberracja. Czarodziej to wiedział.

Czuł smak słonecznych promieni. Były zardzewiałe i metaliczne. Wbijały mu się w język jak paznokcie.

Czarodziej na kilka sekund zamknął oczy i schował się za lustra w swojej głowie, udając, że jest gdzie indziej, ale ponure krajobrazy mimo to przypuszczały swe błyskawiczne ataki.

O siódmej trzydzieści helikoptery przechyliły się i długim łukiem zbliżyły do osady Thuan Yen od południowego zachodu. W dole, niemal na wprost nich, na polach ryżowych koło wioski rosły kłęby białego dymu. Artyleryjski ogień zaporowy kosił pola, sięgając zachodnich obrzeży Thuan Yen. Przebijał się przez zarośla, przez drzewa bambusowe i bananowe, wzniesając gdzieś pożary, a gdy helikoptery nadleciały nad strefę zrzutu, przesunął się na północ. Strzelcy osłaniali drzwi ciągłym ogniem obezwładniającym. Pochylali się nad swymi ogromnymi karabinami, a ich ramiona drgały. Powieki Czarodzieja bzikowały od tego hałasu.

- No to posuwamy! - wrzasnął ktoś.

Helikopter wylądował na rozległym suchym polu ryżowym.

Mitchell wyskoczył pierwszy. Za nim Boyce, Conti, Meadlo, potem Maples, Piacha i Thinbill, a wreszcie przysadzisty porucznik.

Czarodziej był ostatni.

Wyskoczył prosto w promienie słońca i upadł na wznak. Zdał sobie sprawę, że jest na polu ryżowym sam. Pozostali gdzieś zniknęli. Zewsząd otaczał go ogień karabinów maszynowych, karabinowy wiatr. Miał wrażenie, że powiewy tego wiatru unoszą go i przerzucają z miejsca na miejsce. Nie mógł pozbierać własnych nóg. Przez jakiś czas leżał przygnieciony ciężarem nienaturalnych zjawisk - wiatru, żaru i ohydneho słońca. Nie pamiętał, jak wstał na nogi. Na wprost niego stanęły w ogniu dwie stare, okazałe palmy kokosowe.

Na skraju wioski Czarodziej znalazł stertę zdechłych gęsi.

Znalazł śliczną dziewczynę, która miała ściągnięte majtki. Ona też nie żyła. Patrzyła na niego krzywo. Nie miała włosów.

Znalazł martwe psy, martwe kurczaki.

Trochę dalej natknął się na czyjeś czoło. Znalazł trzy zdechłe bawoły. Znalazł zdechłą małpę. Znalazł kaczki kwaczące nad zdechłym maleństwem. Wydarzenia od dawna zmierzały w tym kierunku - miesiące strachu, miesiące rzezi - i teraz, w bladym porannym słońcu, następowało uwolnienie trucizny.

Świnie kwiczały.

Poranne powietrze rozplómięniało się purpurą.

Zobaczył młodego mężczyznę, który kuśtyka ścieżką z jedną stopą oderwaną w kostce. Zobaczył Weatherby'ego, który strzelał dwóm dziewczynkom prosto w twarz. W głębi wioski, przed niewielką chatą w kształcie litery „L”, natknął się na żołnierza, który miał do hełmu przyczepiony czarny dziewczęcy kucyk. Żołnierz potarł dłonią krocze. Trącił kucyk, uśmiechnął się do Czarodzieja i wałnął serię ze swojego M-79 w chatę w kształcie litery „L”. „Tra ta ta!”, powiedział żołnierz. Pokręcił głową, jakby go coś wprawiło w zakłopotanie. „No, dobra”, powiedział, po czym wzruszył ramionami i wystrzelił kolejną serię. „Bach!”, powiedział. U jego stóp leżało płaczące niemowlę, a nie opodał kobieta w średnim wieku. Niezupełnie jeszcze martwa kobieta, która była postrzelona w nogi i brzuch, leżała na stercie słomy. Patrzyła na świat obojętnie. W pewnej chwili zrobiła ręką nieokreślony ruch, jak gdyby chciała nią zatoczyć trochę krzywy łuk, po czym opadła w drugą stronę.

Zobaczył martwe ptactwo wodne i martwe zwierzęta domowe. Wewnątrz chatki w kształcie litery „L” głośno umierali ludzie.

Czarodziej wydawał jakieś bezsensowne dźwięki „Nie”, powiedział, a sekundę później dodał: „Proszę!”... i wtedy promienie słoneczne wessały go w koleinę, która zaprowadziła go do centrum wioski, gdzie zobaczył płonące chaty i ruchome postaci, z zapalem dokonujące

mordu. Simpson mordował dzieci. Starszy szeregowiec Weatherby mordował wszystko, co mu się nawinęło pod rękę. W różowopurpurowym słońcu leżał wzdłuż ścieżki rząd ciał - nastolatki, stare kobiety, dwoje dzieci i młody chłopak. Większość z nich już nie żyła, pozostałym niewiele brakowało do śmierci. Martwi byli bardzo spokojni. Prawie martwi podrygiwali, dopóki starszy szeregowiec Weatherby nie znalazł chwili czasu, żeby zarepetować broń i zrobić z nich zupełnie martwych. Panował nieznośny hałas. Nikt nie umierał po cichu. Słychać było skowyty i dźwięki jak z kurnika.

- Proszę - powtórzył Czarodziej. Czuł się bardzo głupio. Trzydzieści metrów dalej natknął się na ścieżce na Contiego, Meadla i Calleya. Meadlo i porucznik pruli w tłum wieśniaków. Stali ramię przy ramieniu, strzelając na zmianę. Meadlo płakał. Conti się przyglądał. Porucznik krzyknął coś i zastrzelił kilkanaście kobiet i dzieci, a potem zarepetował i zastrzelił kolejnych kilkanaście, znów zarepetował i znów zastrzelił kilkanaście, i znów zarepetował. Powietrze było gorące i mokre. „Rany boskie, szybciej - powiedział porucznik - wykończ ich... no, ruszaj się... przywal rym skurwysynom”, ale Czarodziej już biegł dalej. Minął dymiący bambusowy budynek szkoły. Za nim i przed nim ostry karabinowy wiatr pustoszył Thuan Yen. Wzbijał w powietrze drobny czerwony pył, który błyszczał w porannym słońcu, zabarwiając prawie całą wioskę fioletem.

Zobaczył żołnierza, który przebija ludzi wielkim srebrnym nożem. Hutto strzelał do trupów. T'Souvas strzelał do dzieci. Doherty i Terry dobijali rannych. Czarodziej wiedział, że to nie szaleństwo. Wiedział, że to grzech. Czuł, że płynie on także w jego żyłach obrzydliwą, śliską mazią niczym ciężki, czarny olej w skrzyni korbowej.

Niech to się skończy, pomyślał. Ale to nie chciało się skończyć. Ktoś zastrzelił starego wieśniaka, podniósł go z ziemi, wrzucił do studni i cisnął do środka granat.

Roschevitz strzelał w głowy.

Hutson i Wright zmieniali się przy karabinie maszynowym.

Mordowano systematycznie i gruntownie. Chłopcy często robili sobie przerwy na papierosa. Jedli batoniki i opowiadali historyjki.

Jakiś czas - godzinę, może więcej - Czarodziej trwał w mroku nieświadomości, a potem zorientował się, że stoi na czworakach za bambusowym ogrodzeniem. Kilka metrów dalej, w pobliżu dużej drewnianej wieżyczki, kucało w porannym słońcu piętnastu albo dwudziestu wieśniaków. Rozmawiali z widocznym napięciem na twarzach, aż wreszcie ktoś podszedł, zrobił ręką ruch przypominający machnięcie i zastrzelił ich.

Pojawiły się muchy - ich niskie, monotonne brzęczenie narosło z głębi wioski.

Wtedy Czarodziej dał się na chwilę ponieść płynięciu. Nie mógł zrobić nic innego, jak

ukłęknać i poczekać, aż naprawi się wszystko, co złe. W pewnej chwili przyszło mu do głowy, że ten dzień okaże się kiedyś zbyt obciążający i wcześniej czy później będzie musiał pozbyć się części jego ciężaru.

Spojrzał w niebo.

Pokiwał głową.

Potem, oczyszczony słonecznymi promieniami, oddał się we władzę niepamięci. „Odejdź”, powiedział półgłosem. Odczekał

111chwile i to powtórzył, ale tym razem zdecydowanie i dużo głośniej, a maleńka wioska zaczęła znikać w swej różowej poświacie. To jest, pomyślał, najwspanialsza sztuczka. W ciągu następnych miesięcy i lat John Wade będzie pamiętał Thuan Yen w taki sposób, jak się pamięta koszmary po narkotykach - niewiarygodne połączenia, niewiarygodne wydarzenia - i z czasem sama niewiarygodność stanie się dla niego najbogatszym, najtrwalszym i najgłębszym wspomnieniem.

To nie mogło się wydarzyć. A więc się nie wydarzyło.

Od razu poczuł się lepiej.

Serie pocisków smugowych wrzynały się w oślepiający blask słońca. Ludzie umierali w długich, równych rzędach. Miał ten blask we krwi.

Będzie jednocześnie pamiętał i nie pamiętał, że po jego lewej stronie przemknął ludzki kształt.

Nie zapamięta skowytów.

Nie zapamięta, że podniósł broń i poturlał się na pewną odległość od bambusowego płotu, ale na zawsze zapamięta, że się odwrócił i zastrzelił staruszką w drucianych okularach, z rzadką bródką i czymś, co wyglądało na strzelbę. To nie była strzelba, tylko nieduża drewniana motyka. Tej motyki nigdy nie zapomni. Po wojnie, kiedy nadejdą zwykłe czasy, jedząc śniadanie albo słuchając paplaniny na jakimś ponurym przesłuchaniu w stanowym senacie, John Wade będzie czasem podnosić wzrok i dostrzegać tę drewnianą motykę, kołującą jak batuta w porannym słońcu. Dostrzeże też staruszkę, który powłócząc nogami idzie wzdłuż bambusowego płotu, dostrzeże jego chude nogi, wyprostowane plecy i druciane okulary, a potem motykę, która wlatuje nagle w górę, zatacza w powietrzu szybkie, lśniące koło i spada nieschwytna. Zachowa tylko śladowe poczucie winy. Sztuczka puszczenia w niepamięć będzie przeważnie skuteczna. Jednakże późną nocą Johnowi Wade'owi będzie się czasem przypominać, że zakrył głowę i z krzykiem wyczołgał się przez żywopłot na szerokie pole ryżowe, na które śmigłowce dostarczały zaopatrzenie. Pole było zasnuwane kolorowym dymem w odcieniach liliowo-żółtych. Słyszał było głośne krzyki i liczne eksplozje, ale nie

udało mu się nikogo znaleźć wzrokiem. Zobaczył tylko młodą kobietę z wyrwaną klatką piersiową i płucami. Zobaczył martwe bydło. Otaczały go zewsząd muchy, płonące drzewa i płonące chaty.

Jakiś czas potem zorientował się, że jest na dnie rowu irygacyjnego. Było tam dużo ciał, może z setka. Grzął w szlamie.

Znalazł go tam starszy szeregowiec Weatherby.

- Hej, Czarodzieju - powiedział Weatherby. Zaczął się uśmiechać, ale Czarodziej i tak go zabił.

XIV Hipoteza

Może Kathy utonęła. To byłoby dziwne, ale założmy, że coś się stało z łodzią. Może wpadła na ławicę piasku. Może Kathy mknęła szybko przed siebie, delektując się chłodnym pyłem wodnym, wiatrem i słońcem, aż nagle rozległ się trzask, łódź wyskoczyła raptownie do góry, a ją uniosło - chwila niewiarygodnej lekkości, poczucie ulgi i wzlotu - i za moment miała wokół siebie, a wkrótce także w sobie, tylko jezioro. Może w ten sposób utonęła.

To czysty domysł, zaledwie jedna z wielu możliwości, ale może Kathy obudziła się tego dnia wcześniej.

Może przez parę chwil obserwowała go śpiącego. Ta noc, podobnie jak wiele innych, była kiepska. Oczy Johna wydawały się podkrążone i stare. Czasem go nie poznawała. Ta jego wściekłość przypominała chorobę - jakiś straszliwy wirus, który się w nim mnoży. Chciała coś zrobić albo coś powiedzieć, żeby to zmienić, ale oczywiście nie mogła.

Może pochyliła się i go pocałowała. Może coś szepnęła.

Prawie na pewno było jeszcze ciemno, kiedy wysliznęła się z łóżka. Wzięła prysznic, wysuszyła włosy, sprawdziła, czy nie ma nowych zmarszczek pod oczami, wróciła do sypialni i włożyła wyblakłe niebieskie dzinsy oraz biały bawełniany sweter. Uważała, żeby go nie obudzić. Powiesiła swój szlafrok na haczyku koło drzwi i postawiła pantofle przy nogach łóżka. W samych pończochach, starając się zachowywać jak najciszej, przeszła do kuchni. Sok pomarańczowy i witaminy. Mocna, czarna kawa. Miska pszennych chrupek wheaties, bez cukru. Jadła powoli. Była zadowolona, że jest sama, cieszyła ją panująca wokół cisza. To była jej ulubiona pora dnia: wylaniające się światło, delikatne szmery i szelesty. Po śniadaniu energicznie wyszorowała zęby, wypłukała szczoteczkę i włożyła ją do góry włosem do starego słoika po dżemie na umywalce. Zmyła naczynia i wytarła kuchenny blat. Te czynności należały do stałego, niewzruszonego rytuału.

Potem przez piętnaście minut siedziała przy stole w kuchni nad następną filiżanką

kawy, rozwiązując krzyżówki. To też był rytuał. Lubiła zaczynać dzień z poczuciem wykonania planu, z poczuciem, że załatwiła wszystko, co mogła.

Na zewnątrz, nad jeziorem, rozlały się pierwsze, przydymione promienie światła. Kathy przez kilka minut wyglądała roztargnionym wzrokiem przez okno w kuchni - może marzyła, a może miała nadzieję, że tego dnia wreszcie wszystko znów obróci się na lepsze. Zapakują koszyk w prowiantem. Pójdą popływać, położą się na słońcu i porozmawiają o życiu. To był jeden z problemów - już ze sobą nie rozmawiali. Nie komunikowali się ze sobą ani nie sypiali. Spróbowali raz, drugiej nocy, ale okazało się to dla obojga żenujące. Teraz zawsze kontrolowali swoje ciała, zachowując nieustanną ostrożność. Dotykali się tylko po to, żeby się nawzajem pocieszyć lub poczuć swoją bliskość. Potrzeba im szczerości, pomyślała. Powinni porozmawiać o rzeczach, o których nigdy ze sobą nie mówili - o zaufaniu, o miłości, o bólu, o swoich prawdziwych uczuciach. Powinni zrobić coś, żeby John się otworzył. A potem, gdyby się udało, gdyby znalazła w sobie dość odwagi, może sama powierzyłaby mu swoją wielką tajemnicę, może by ją po prostu z siebie wyrzuciła. Powiedziałyby, że się cieszy, iż jest po wszystkim.

Powiedziałyby, że czuje ulgę. Żadnych więcej wyborów. Teraz, kiedy już mają to za sobą, może się przyznać, że zawsze tego nienawidziła. Sondaży, kamer i tłumów. Prawdziwą nienawiścią. Nienawidziła przemówień, małostkowych spisków, fałszywych uśmiechów, zachłannych polityków, ich wykupionych głosów i lepkich rąk. Nienawidziła smrodu papierosów i zdrady. Powiedziałyby mu, że czasami, kiedy od nienawiści bolał ją brzuch, czuła się, jakby miała w sobie kamień, wielki i ciężki. Może by się rozkleiła. Może zaczęłaby płakać. Ale raczej nie. W każdym razie na pewno dałaby mu jasno do zrozumienia, że nienawidzi uzależniania poczucia własnej godności od kaprysów jakichś kretynów. I od opinii Publicznej. Że czuje się przez to odkryta i naga. Że nie zniesie kolejnej sali kongresowej, kolejnego obiadu z kurczaka na wynos albo kolejnego przesiąkniętego tłuszczem papierowego talerza. Powie mu, że tego nienawidzi. Głęboką, zapamiętałą, autentyczną nienawiścią. Przedstawi długą, szczegółową listę rzeczy, których nienawidzi, a na koniec powie mu, że największą pogardę budzi w niej to, co polityka zrobiła z ich życiem, fakt, że odebrała im wszystko, czego Kathy najbardziej pragnęła. Zwykły spokój. Przyzwoity dom, dziecko, które mogliby kochać. Może jej być trudno o tym mówić - i nic dziwnego - ale się nie cofnie. Powie mu, że w głębi duszy ucieszyła się z jego sromotnej klęski. Że poczuła miękka., ciepłą falę ulgi, jak gdyby zrzuciła z siebie olbrzymi ciężar, który nosiła przez całe lata, że jej piersi i brzuch wypełniła niewiarygodna, nowa lekkość.

Powiedziałyby mu, że jest zadowolona. Nie może na to nic poradzić. Jest po

wszystkim i to ją cieszy. Kathy zamknęła oczy.

Tylko nie płacz, pomyślała. Po chwili powiedziała na głos: „Tylko nie płacz, ty idiotko”.

Westchnęła i podeszła do kuchenki. Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, zamarała na chwilę w bezruchu, po czym wróciła do swoich krzyżówek. Było tuż po szóstej. Kuchnię wypełniły iskierki pstrego światła. „No, już lepiej”, powiedziała. Przez jakieś pięć, dziesięć minut siedziała, zapełniając siatkę kwadratów bez wysiłku, niemal bezmyślnie, jakby krzyżówka rozwiązywała się sama.

Była spokojna, a jednocześnie ożywiona. Miała budujące poczucie równowagi.

Może to wtedy Kathy zaczęła coraz wyraźniej rejestrować dziwny, nowy zapach w powietrzu - cierpki smród przypominający woń zgniłego owocu. Ten zapach unosił się dokoła od początku, był w jej kawie i soku pomarańczowym, ale teraz jak gdyby zgęstniał i stężał.

Może początkowo go zlekceważyła. Może tylko zmarszczyła brwi i wróciła do krzyżówki.

A może jednak odłożyła ołówek i wstała, żeby zajrzeć do lodówki i kosza na śmieci. Jeszcze raz wciągnęła nosem powietrze, może zamrugnęła oczami, a może nie, i spokojnie podążyła za zapachem do salonu. Od tej chwili wydarzenia prawdopodobnie przyśpieszyły bieg. Pewnie coś powiedziała - może zadała jakieś pytanie - i dotknęła jednej ze sparzonych roślin. Przypomniała sobie teraz nocne lamenty imbryka i głos Johna. Błyskawicznie pojawiło się coś w rodzaju skojarzenia.

Coś musiało się w niej poruszyć.

To nie była panika. Po prostu potrzeba odetchnięcia świeżym powietrzem. Tempo wydawało się tu najistotniejsze - ruszyć się i nie ustawać w ruchu.

Położyła na blacie kuchennym do góry okładką otwarty zeszyt z krzyżówkami. Nie traciła czasu na zabranie kurtki albo zostawienie wiadomości.

Zanim zdążyła podjąć decyzję, że wychodzi, już jej nie było.

Prawie biegiem, zupełnie nie myśląc, zeszła po zboczu do hangaru. Kierował nią czysty instynkt. Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi i zepchnęła małą aluminiową łódź na płytką wodę. Zostawiła ją kołyszącą się na falach, a sama poszła po silnik. Stary evinrude był ciężki, ale udało jej się go przymocować. Włożyła do łodzi wiosła, kanister i kamizelkę ratunkową, a następnie zawróciła, żeby zamknąć hangar. Prawe skrzydło wisiało na górnym zawiasie i nie dawało się zamknąć do końca. Kathy podważyła je mocno ramieniem, ale drzwi zaklinowały się na dobre. Pokręciła głową, weszła do wody i wskoczyła do łodzi. Może przez jedną jedyną chwilę popatrzyła wtedy pełnym irytacji wzrokiem na zaklinowane drzwi. Może zapomniała

włożyć kamizelkę ratunkową.

Zawiązał się już łańcuch wydarzeń. Reszta musiała nastąpić.

Na wiosłach Kathy oddaliła się od pomostu i wypłynęła na głęboką wodę. Tam zatrzymała się, włączyła ssanie, mocno szarpnęła za sznurek, a kiedy silnik zaskoczył, skierowała łódź na północ ku Angle Inlet. Po stu metrach dodała gazu. Może przelotnie zatrzymała wzrok na kamizelce ratunkowej pod przednim siedzeniem, ale nie włożyła jej. Myśłami była gdzie indziej.

Byle dalej, pomyślała. Pochyliła się do przodu i skoncentrowała na szybkości.

Kathy popłynęła zapewne wzdłuż pofalowanej linii brzegu, minęła miejscowość wypoczynkową Birchwood i Wyspę Brush. Mknęła z maksymalną szybkością. Mała łódka zdawała się unosić dziób do góry, przemieniając wietrzyk w prawdziwy wiatr. Przez dziesięć czy piętnaście minut Kathy patrzyła na wielkie lasy sosnowe, migające obok niej w płynnych strumieniach zieleni i żółci. Pęd poprawiał jej samopoczucie. Wiatr, słońce i zimny prysznic na skórze. Może o czymś marzyła. Może zamknęła na chwilę oczy, próbując przekonać samą siebie, że wszystko się jeszcze dobrze skończy. Nadal jest na to szansa. Ma trzydzieści osiem lat. To nie tak źle, przy odrobinie szczęścia może jeszcze mieć dziecko, którego tak pragnęła, dom i ukryty za nim duży ogród z bzami i białą sadzawką. Powinni tylko być wobec siebie szczerzy. Mówić sobie prawdę. Postanowiła, że po powrocie zmusi się do tego. Żadnych wykrętów - bez ogródek powie mu o Harmonie. A potem wyrecytuje listę rzeczy, które ma mu za złe. Z pewnością umieści na niej politykę. Ale także manipulacje, skrytość, uzalanie się nad sobą i paranoję. Powie mu, że to się musi skończyć. Powie mu, że wie o szpiegowaniu - już od wielu lat - i że po prostu nie zniesie tego dłużej. Będzie z nim szczerą. Nie oskarżycielską, ale otwartą. Minione lata, powie, były jak choroba, ale teraz wszystko się zmieniło. Są wolni. Mogą zacząć od nowa i tym razem tak, jak należy. Mogą odświeżyć i poprawić swoje małżeństwo.

Powie mu o tym.

Tak, powie. Nigdy nie chciała nic więcej, jak tylko być szczęśliwą.

Kathy przytaknęła sobie skinieniem głowy i skierowała łódź na zachód, do kanału koło Wyspy Magnusona. Poranek był rześki i słoneczny. Pędziła przed siebie z prędkością rakiety.

Może to się stało właśnie tam.

A może kilometr dalej, w miejscu zwężenia kanału. Pewnie patrzyła na pas sosen i niebieskiej wody. Łódź podskakiwała wysoko na grzywiastych falach i może na parę sekund Kathy odchyliła się do tyłu, poddając się słońcu i wiatrowi. Może nawet nie zauważyła ławicy

piasku. Może wyobrażała sobie, jakie ich życie będzie szczęśliwe, jak wszystko się zmieni, jak wyniosą koce na werandę, położą się we mgle i będą po prostu długo rozmawiać. Dno łodzi zadygotało - rozległ się trzask - i Kathy na chwilę uwolniła się od wszystkiego, poszybowała lekko i wysoko, wzbila się ponad szklisty dach tego świata i przedarła do innego, a potem miała wokół siebie, a wkrótce także w sobie, tylko jezioro. Może w ten sposób odeszła - tonąc.

XV O tym, jakie padały pytania

Szeryf hrabstwa, Art Lux, przyleciał z Baudette pierwszym samolotem dwudziestego września rano. Do siódmej zdążył sobie zorganizować prowizoryczną kwaterę w warsztacie na stacji Texaco Pearsona. W ciągu godziny przez radiostację nadano na odbieranej przez łodzi częstotliwości pierwsze komunikaty, a o ósmej trzydzieści na jeziorze było już kilkanaście łodzi poszukiwawczych.

Tuż po dziewiątej przed domkiem Wade'a zatrzymał się stary dzcip marki willys z Luxem i Vinnym Pearsonem. Claude Rasmussen wprowadził ich do środka. Zdjęli kapelusze, uścisnęli dłoń Wade'a i zajęli miejsca w salonie, a Claude i Ruth poszli do kuchni przygotować kawę. Johnowi Wade'owi, który siedział sztywno na kanapie, świat materialny wydawał się kruchy i marny. Spał tylko krótkimi zrywami, a i to najwyżej godzinę, i ze zmęczenia wzrok płatał mu figle. Zapadł się na moment w sobie i gdzieś odpłynął, a kiedy wynurzył się na powierzchnię, szeryf mówił właśnie coś o tym, że trzeba zachować cierpliwość.

Wade skinął głową.

- To znaczy, że nie ma żadnych wiadomości?

- Jeszcze nie. Przynajmniej na razie. - Lux otworzył mały kołonotatnik. W jego bladoniebieskich oczach malowało się współczucie. - Widzi pan, mamy tu kawał jeziora, więc to musi potrwać. - Zawahał się. - A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zadałbym parę szybkich pytań. O ile czuje się pan na siłach.

- Jeśli to może pomóc - odparł Wade.

Lux uśmiechnął się i położył notatnik na kolanach. Był niskim, kościstym mężczyzną zbliżającym się do sześćdziesiątki, opalonym i osmaganym wiatrem. Miał na sobie szare spodnie i szarą poplamioną koszulę. Wygląda raczej jak właściciel mleczarni, pomyślał Wade, niż jak stróż prawa. Odznaka na jego koszuli przypominała zabawkę.

Po chwili Lux wsunął na nos półokrągłe okulary do czytania.

- Mogę panu powiedzieć - rzekł - że wyszło już dwanaście łodzi, a będzie dużo więcej.

Policja rejonowa z Kenory wyśle własne jednostki patrolowe, co nam bardzo pomoże.

Do południa ruszy parę samolotów obserwacyjnych. W ciągu dnia dołączy do nich pewnie jeszcze kilka. Wszystko koordynuje moje biuro - jak zwykle. - Znow się uśmiechnął. - Jednym słowem powciskaliśmy wszystkie guziki. Patrole graniczne, policja stanowa. Wszyscy nam pomagają.

Wade usiłował opanować wzrok. Czuł się jak aktor.

- Niech pan pamięta o jednym - powiedział Lux. - Takie historie wcale nie są rzadkością. Trafiają się nam sześć, siedem razy do roku. Gubią się myśliwi, wędkarze. Jakoś przeważnie wszystko się dobrze kończy. - Zerknął na Vinny'ego Pearsona, który milcząco siedział obok z przymkniętymi oczami. - Prawie zawsze. Prawda, Vin?

Pearson niecierpliwie machnął ręką.

- Jasne, tak mi się zdaje. Zapytaj go, czemu nigdy...

- Spokojnie. Nie wszystko naraz. - Szeryf poprawił okulary i wygładził notes na kolanach. - Mamy od pani Rasmussen pobieżną relację - sam szpik, że się tak wyrażę - ale myślę, że będzie najlepiej, jeśli pan sam opowie, jak to było. To nam pomoże zorientować się w sytuacji. - W jego wzroku pojawiło się z troskanie. - Jeśli nie czuje się pan na siłach, możemy to odłożyć.

- Może być teraz - odparł Wade.

- Nie będzie panu przeszkadzać, że notuję?

Wade pokręcił głową. Claude i Ruth Rasmussenowie robili coś w kuchni z filiżankami i spodkami. Ich głosy zbliżały się i oddalały, i Wade'a znow ogarnęło grzaskie uczucie, że śni.

Szeryf z trzaskiem otworzył długopis.

- Przede wszystkim, zanim zapomnę, czy ma pan przy sobie jakieś zdjęcie? Oczywiście żony.

- Po co? Ona nie...

- Bez specjalnego powodu. Na wszelki wypadek.

- Na wypadek, gdyby się zmoczyła - wtrącił Vinny Pearson. - Na wypadek, gdyby się znalazła mokra.

- Na litość boską, Vinny!

- Przecież pytał.

Wade odwrócił się i spojrzał Pearsonowi w oczy. Zwarli się wzrokiem i przez moment było widać, że dzieje się między nimi coś ważnego. Jak gdyby brali pod uwagę pewną ewentualność. Wade skinął głową i wyjął z portmonetki małą fotografię. Zdjęcie miało blisko

cztery lata, było popękane i niewyraźne, ale szeryf obejrzał je z uznaniem.

- Śliczna - powiedział. - Bardzo piękna. A wymiary? Waga, wzrost i tak dalej.

- Ma pan fotografię. Metr sześćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt trzy kilo. W lutym skończy trzydzieści dziewięć lat.

- Znaki szczególne? Blizny albo coś w tym guście?

- Nie ma.

- Kłopoty ze zdrowiem?

- Też nie.

Szeryf jeszcze raz spojrział na zdjęcie, wsunął je do kieszeni na piersi i dokładnie zapiął klapkę.

- A teraz - powiedział - przydałoby się ustalić kolejność wydarzeń. Jak to było mniej więcej. - Rzucił Vinny'emu Pearsonowi ostrzegawcze spojrzenie. - Pańska żona oddaliła się wczoraj?

- Zgadza się.

- Rano?

- Tak.

- O jakiej porze?

- Nie wiem - odparł Wade. - Chyba wcześniej. Kiedy wstałem, już jej nie było.

- To znaczy kiedy?

- Słucham?

- O której godzinie pan się obudził?

- Już mówiłem, że nie jestem pewien. Może o jedenastej albo dwunastej.

- Lubi pan sobie pospać?

- Zwykle tego nie robię - rzekł Wade. - Ale teraz mam urlop.

Szeryf pokiwał życzliwie głową.

- No, tak. Powinienem się był domyślić. To fantastyczna okolica na urlop. - Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. - A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, pańska żona mogła tu jeszcze być koło południa. Ma się rozumieć, wczoraj.

- Mogła.

- Kiedy pan ją widział po raz ostatni?

Wade zebrał myśli. Ostatnie wydarzenia wydawały mu się płynne i niekonkretne.

- Tuż po północy - odparł. - Wstałem i zrobiłem sobie herbatę. Jeszcze była.

- Spała?

- Oczywiście. Spała.

- Nie zauważył pan nic niezwykłego?

- Absolutnie nic.

- Dobrze. Pozwoli pan, że się upewnię. To nam daje przedział dwunastu godzin - od północy do południa. Wtedy musiała wyjść?

- Na to wygląda.

- A pan nie zauważył...

- Nic nie zauważyłem - odparł Wade ostro. - Obudziłem się, a jej nie było. Po prostu.

- I to wszystko było wczoraj?

- Zgadza się. Wczoraj.

Lux notował powoli i starannie, gdzieniegdzie podkreślając zdania. Podniósł wzrok. - Dobrze, to już coś. A kiedy po raz pierwszy pan się zaniepokoił? Kiedy przyszło panu do głowy, że coś nie gra?

- Nie jestem pewien, ale chyba szybko.

- Szybko?

- Tak. Tak myślę. - Wade był świadom swojego głosu, tonu i języka. - Od razu mnie to zastanowiło, ale nie myślałem... rozumie pan... nie myślałem, że to poważna sprawa. Mogła pójść wszędzie. Na przykład na wycieczkę.

- Pańska żona lubi wędrować?

- Zdarza się jej.

- Czyli czekał pan?

- Tak.

- Tylko czekał?

- Tak.

- Czekał - burknął pod nosem Vinny Pearson. Wyjął małe nożyczki i zabrał się do wydłubywania brudu spod paznokcia kciuka. Jego skóra wydawała się gładka i niemal bezbarwna, blada i niezdrowa. Nie jest albinosem, pomyślał Wade, ale niewiele mu brakuje. Wygląda jak olbrzymi biały embrion. Wade zmusił się do odwrócenia wzroku.

- A więc czekał pan - rzekł Lux. - Jak długo?

- Chyba sporo. Cały dzień.

- Co pan robił?

- Różne rzeczy. Wziąłem się do prac domowych, sprzątanía. Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

- Pewnie żadne. Ale nigdy nic nie wiadomo... świat jest pełen niespodzianek... czasem wyskakuje jakaś głupota, robi cholernie dużo zamieszania, a potem okazuje się ważna jak

diabli. - Szeryf spojrzął na swój notes. - Ale w końcu doszedł pan do wniosku, że coś nie gra.

Wade skinął głową.

- Ściemniło się, a ona nie wracała.

- Poszedł pan jej szukać?

- Tak.

- Mniej więcej o której? Było już zupełnie ciemno?

- Z początku jeszcze nie. Zapadał zmierzch, więc musiało być po siódmej. Przeszedłem się kawalek drogą. Miałem nadzieję, że się na nią natknę. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Potem wróciłem i znów czekałem.

- Czekał pan i już?

- Oczywiście. A co niby miałbym robić?

Lux uśmiechnął się uprzejmie.

- Może chciał się pan rozluźnić i strzelił sobie kielicha albo dwa. Nerwy mają swoje prawa.

- Może. I co z tego?

- Nic. - Lux uśmiechnął się szerzej. - Pytam, bo pan Rasmussen mówi, że był pan trochę wstawiony. Później, w nocy.

- O Chryste.

- To znaczy, że się myli?

- Nie. Rzeczywiście trochę sobie golnąłem. - Wade poczuł, że podchodzi mu do gardła coś kwaśnego o lekkim posmaku kapusty. - Rany boskie, to niesamowite. Kathy gdzieś tam jest, pewnie ma kłopoty, a my tu, cholera, siedzimy i rozmawiamy o tym, ile drinków wypilem.

- A ile pan wypił?

- Mam podać liczbę?

- To się przydaje.

- Pięć albo sześć - odparł Wade. - W każdym razie za mało.

Vinny Pearson podniósł wzrok znad swoich nożyczek do paznokci.

- Łódź - powiedział. - Zapytaj, jak to możliwe, że ani razu nie sprawdził...

- Przymknij się, Vin.

- Ale on ani razu...

- Poluzuj trochę - powiedział Lux i zwrócił się do Wade'a z uśmiechem rozbawienia na twarzy. - Bez urazy. Vinny ma taki styl. Szwedzka krew. Idzie mu o to... jest ciekaw, dlaczego przez cały czas... kiedy czekał pan na żonę... dlaczego nie przyszło panu do głowy,

żeby zajrzeć do hangaru. Większość ludzi uznałaby za logiczne zacząć od tego miejsca.

- Bez szczególnego powodu - odparł Wade. - Po prostu nie wpadłem na taki pomysł.

Dopiero później o tym pomyślałem.

- O której to było?

- Późno. Coś koło północy.

- I to wtedy poszedł pan po pomoc? Jak się pan zorientował, że łodzi nie ma?

- Zgadza się.

- Dwanaście godzin po rym, jak pan zauważył nieobecność żony?

- Tak jest.

Lux przeglądał notatki, a z jego twarzy zniknął uśmiech. Sprawiał wrażenie, jakby mu się nie podobały własne zapiski.

- Wie pan, coś tu nie pasuje - powiedział. - Ta historia z łodzią niezupełnie trzyma się kupy. Na przykład sprawa hałasu. Jak silnik zaskakuje, to słyszeć.

- Niekoniecznie. Przecież spałem.

Lux pokiwał głową z zadumą.

- Rozumiem. Ale te stare evinrudy robią cholerny hałas. Umarłego by obudziło, że tak powiem. - Zamilkł i zmarszczył czoło. - Może pan śpi z zatyczkami w uszach?

- Nie.

- Wobec tego ma pan mocny sen?

Vinny Pearson zachichotał.

- Zdumiewająco mocny.

Powietrze w pokoju wydawało się sprężone - gęste i kruche. Atmosferę rozładowało wejście Ruth Rasmussen z imbrykiem pełnym kawy i dużą tacą babeczek. Posłała Wade'owi pokrzepiający uśmiech, napełniła wszystkim filiżanki i wróciła do kuchni. Przez chwilę Wade miał wrażenie, że gdzieś się zapada przez szczelinę w rzeczywistości. Zapach Kathy - mieszanka perfum i mleczka kosmetycznego - wypełnił domek. Mógł wyczuć węchem, którądy przeszła, widział zarys jej ciała.

- Panie Wade?

- Przepraszam, nie...

- Nie ma problemu. Myślałem właśnie, żeby zadać pytanie, którego nienawidzę. - Szeryf wypróbował kolejny uśmiech. - Chodzi o pana i pańską żonę. Były jakieś kłopoty?

- Nie rozumiem.

- Mam na myśli kłopoty domowe. Nieporozumienia i inne rzeczy w tym rodzaju.

- Nie.

- A stres?

- Proszę nie żartować. Chyba czyta pan gazety, prawda? - Wade poczuł, że krew występuje mu na twarz. - Jezus Maria, tak, mieliśmy stresy.

- Prawybory?

- Prawybory.

Lux pokiwał głową.

- Musiało być panu trudno. Taka porażka to na pewno nic przyjemnego. I do tego ta heca z Wietnamem. Telewizja, gazety, dziennikarze, domyślam się, że dali panu popalić. Wpadł pan jak śliwka w kompot.

- Uporaliśmy się z tym.

- Mimo wszystko. To nie były wybory w białych rękawiczkach. - Lux przerwał. - Vinny też był w Wietnamie. W piechocie morskiej.

Pearson zmarszczył brwi, nie podnosząc wzroku.

- Ja nie zabijałem dzieci.

- Wspaniale - powiedział Wade. - Pozazdrościć.

- Taaa, pozazdrościć.

- Tak czy owak - powiedział szeryf - myślę, że musiały być jakieś tarcia. Napięcia i tak dalej.

- Nie wiem, do czego pan zmierza.

- Do niczego - odparł Lux. - Ustalam tło.

Vinny Pearson wydał ciche, szydercze prychnięcie.

- Olej tło i przejdź do dania głównego. Zapytaj o to, co nam powiedziała Myra.

- Vin, błagam cię, żebyś się, cholera, do diabła zamknął!

- To zapytaj.

Dwaj mężczyźni niemal niezauważalnie wymienili spojrzenia i wzrok szeryfa omiótł podłogę w salonie.

- Jedna dziewczyna w Mini-Marcie... Myra Shaw... może ją pan pamięta. Pucółowata, koło osiemnastu lat.

- Nie jest pucółowata - zaprotestował Pearson. - To moja kuzynka i jest gruba jak beka.

- Tak. Więc ta dziewczyna mówi, że był pan tam z żoną dzień wcześniej i doszło między wami do małej sprzeczki przy ladzie. Według niej ostro się pokłóciliście.

Wade pokręcił głową.

- To nie było tak.

- Chce pan powiedzieć, że to nieprawda?

- Nie, chcę powiedzieć, że to absurdalne. Parę zdań wszystkiego. Trwało to może minutę. - Wade wstał i podszedł do okna w salonie. Był słoneczny, jesienny dzień, niemal zbyt słoneczny. Wade nie potrafił zestroić światła z tym, co się w nim działo.

- Nie pokłóciliśmy się - powiedział cicho. - To była tylko sprzeczka.

- Rozumiem.

- Ale mówi pan o tym, jakby...

Lux pokiwał głową.

- Nie miałem takich intencji. Jeśli pan mówi, że to nic takiego, no to nic takiego. - W jego oczach znów pojawiło się współczucie. Odchylił się do tyłu i założył nogę na nogę. - Chodzi mi tylko o to, że to całe napięcie może tłumaczyć stan ducha pańskiej żony. Może potrzebowała oddechu i po prostu sobie na chwilę gdzieś wyskoczyła?

- Ale gdzie? - zapytał Wade.

- No właśnie. Nie miała przyjaciół w okolicy?

- Żadnych.

- A krewnych?

- Tu nie. Ma siostrę w Minneapolis.

Na twarz szeryfa wrócił uśmiech.

- No, to trzeba spróbować. Wziąć słuchawkę i sprawdzić, czy żona nie kontaktowała się z... Nie dosłyszałem nazwiska siostry.

- Pat. Patricia Hood.

- To nazwisko po mężu?

- Tak... jest rozwódką.

- Nie ma innej rodziny, którą można by zawiadomić?

Wade potrząsnął głową.

- Nikogo bliskiego. Oboje rodzice nie żyją.

- Wobec tego moja propozycja jest taka - powiedział Lux. - Radzę panu skontaktować się ze wszystkimi osobami, które przyjdą panu do głowy. Znajomymi, i tak dalej. To się czasem zdarza... Ludzi ogarnia nagle dziwna chęć ucieczki... i siup, już ich nie ma... a po tygodniu albo dwóch z powrotem się pojawiają.

Zdarzały mi się takie przypadki. - Zdjął okulary i podniósł wzrok. - Czy już kiedyś zniknęła?

- Nie tak.

- A jak?

Wade poczuł nagle straszne zmęczenie. O pewnych sprawach nie chciał rozmawiać.

- Nijak. Od czasu do czasu urywała się na trochę. To trwało najwyżej parę godzin.

- Miała kogoś na boku?

- Słucham?

- Mam na myśli innego mężczyznę.

- W żadnym wypadku - rzekł Wade.

- Mówi pan to bardzo pewnie.

- Owszem. Bo jestem pewien. - Przemknął mu przez myśl obraz dentysty. - Nie ma o czym mówić.

- Dobrze. Jak pan chce. - Szeryf westchnął i zerknął na zegarek. - Ostatnia sprawa. Pan Rasmussen mówi, że w nocy był jakiś problem z telefonem. Zdaje się, że miał pan trudności ze znalezieniem go?

- Czy to nielegalne?

- Skąd, proszę pana. Tylko że był bodajże pod zlewem. Zawinięty w ścierkę do naczyń.

Usta Wade'a wypełnił kwaśny smak kapusty. Własny oddech wydał mu się obcy.

- Wie pan, ludziom zdarzają się czasem takie rzeczy. To coś w rodzaju symbolu. Telefon łączy ze światem zewnętrznym, z tym całym gównem... z wyborami. Wyłączyłem go, odłożyłem i o nim zapomniałem. To taki symbol, rozumie pan?

- Symbol - rzekł Lux. - Zapiszę to.

- Proszę bardzo.

- A rośliny? One też coś symbolizują?

Zapadła krótka cisza. Vinny Pearson roześmiał się.

- Nie, ja nie... - Wade ugryzł się w język. - To wcale nie jest takie skomplikowane. Kathy tu nie ma. Cała reszta to pic.

Na szczęście Luxa poruszył się maleńki mięsień.

- Pic - mruknął. Zamknął notes, wstał i kiwnął na Vinny'ego Pearsona. Jego wzrok powędrował w stronę okna. - Panie Wade, jest pan ważnym gościem. Polityka, te rzeczy. Nie mam do pana doskoku, więc musi pan być wyrozumiały. Jestem tylko wiejskim gliną. A co dopiero Vinny. Zarabia laniem benzyny i wyciąga trochę grosza jako zastępca na pół etatu. Dwa ćwoki, nie ma co, ale mówię panu, że zrobimy wszystko, żeby znaleźć tę panią. Odpompujemy jezioro, jak będzie trzeba. Przeczeszemy okoliczne lasy i rozwalimy te cholerne podłogi. - Uśmiechnął się szeroko. - To nie pic, proszę pana, to gwarancja w złocie.

Obaj mężczyźni włożyli kapelusze i skierowali się w stronę drzwi.

- Parę godzin i po wszystkim - powiedział Lux. - Będę z panem w kontakcie. Niech pan nie zapomni o telefonach.

Poszli. Wade stał przez kilka minut przy oknie w salonie. Potrzebował snu. Coś mu wirowało w głowie, głęboko za oczami. Błyszczący, czarny kamień. Czuł jego ciężar w czole. Wzięcie filiżanek po kawie i zanieśenie ich do kuchni wymagało od niego wielkiej koncentracji. Claude siedział na taborecie przy kuchennym blacie, a Ruth wbijała jajka na patelnię.

- Trzy minutki - powiedziała - i władujemy to panu do żołądka. - Nadgarstkiem odgarnęła do tyłu włosy. - Jak tam poszło?

Wade wstawił filiżanki do zlewu. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Fakt nieobecności Kathy nie chciał się zagnieździć w jego świadomości. Był za mało konkretny.

- Pytałam, jak poszło.

Spojrzał na duży żelazny imbryk.

- Chyba dobrze. Jeśli nie liczyć kwestii mojego zalania.

Claude roześmiał się.

- Tak?

- I kupy innego gówna.

- O rany. - Staruszek uśmiechnął się i odchylił do tyłu na taborecie. - Takt to nie moja specjalność. Ale nie mówiłem, że był pan zalany, tylko trochę wstawiony i tyle. Nikt pana nie wini.

- To świetnie.

- Naprawdę.

- A Pearson? On mi nie wyglądał...

Ruth podniosła wzrok znad patelni.

- Vinny to Vinny. Jeszcze parę godzin i założę się, że Kathy wejdzie spacerkiem przez drzwi do kuchni, a wtedy wszyscy się zalejemy. - Przełożyła jajecznicę na talerz, dodała babeczkę i postawiła talerz na stole. - Proszę jeść - powiedziała - a potem marsz do łóżka.

Jedzenie dobrze mu zrobiło. Potem spróbował się dodzwonić do siostry Kathy w Minneapolis. Nikt nie odpowiadał, więc po chwili skinął głową Ruth i przeszedł niepewnym krokiem do sypialni.

O śnie nie było mowy. Zmęczenie utwardziło mały, czarny kamień z tyłu za oczami. W kolanach i łokciach czuł żwir. Położył się na wznak z otwartymi oczami, analizując swoje samopoczucie. Fizycznie był chyba osłabiony. Po suficie skakały iskry srebrnobiałego światła, a w czubku głowy poczuł ostre, drażniące napięcie, coś w rodzaju nieregularnego

przepływu prądu, jak gdyby ktoś umieścił mu tuż pod skórą elektrody.

Dręczył go też smutek. Niewiele odczuwał, zaledwie mglisty niepokój w związku ze swoimi manierami, a raczej ich brakiem. Przesłuchanie zmartwiło go. Zdał sobie sprawę, że nie pociągnięto ważnych wątków dochodzenia. Na przykład kwestii jego zdrowia psychicznego albo pamięci. Nawet teraz było mu trudno ustalić chronologię wydarzeń ostatnich wspólnych godzin. Obrazy nie łączyły się ze sobą - ciemność, imbryk, jego własne płynięcie od miejsca do miejsca, jakby grawitacja już nie działała. Zapamiętał chrobot myszy pod werandą. Zapamiętał soczyste zapachy lasu, mgłę i dziwne ruchy, które Kathy czasem robiła palcami, ich lekkie trzepotanie, jakby chciała odegnąć wszystko, co im się w życiu układało. Ale pozostałe rzeczy pamiętał tylko jak przez sen. To, że wstał tamtej nocy z łóżka. Było późno - tyle wiedział - ale nocne płynięcie uniosło go ponad zwykły upływ czasu. Zapamiętał parę i prąd pod swoją skórą. Zapamiętał natarczywe brzęczenie i to, że powtarzał „śmierć Jezusowi”. Nie mógł zamilknąć. Sparzył więc duże zielone geranium koło kominka, potem miniaturowy kaktus, a potem kilka innych roślin, których nazw nie znał. Miał na sobie slipy, to też zapamiętał. Noc pachniała zgnilizną. Zapamiętał, że ponownie napełnił imbryk, poczekał, aż woda się zagotuje, i przeszedł do sypialni. Powtarzał „śmierć Jezusowi”, tylko że teraz mówił to szeptem, a jego dłonie nie miały nic wspólnego z nadgarstkami. Zniknął myślowy szkielet, wszystkie marzenia, które sobie wyśnił, wszystkie słodkie złudzenia i ambicje. Cały świat był pod napięciem. Zapamiętał, że patrzył na śpiącą Kathy, zachwycił się opalenizną na jej szyi i ramionach, małymi zmarszczkami wokół oczu, i tym, że w przyćmionym świetle wydawała się do czegoś uśmiechać, jej półuśmiechem i przytkniętym do nosa kciukiem. W pewnej chwili ogarnęła go ogromna czułość. Jak gdyby dostał z innego świata sygnał radiowy - czułość - który rozwolnił mu stolec i odebrał dech w piersiach, sygnał wydany z wysoka, przesywający rozkaz dodawania otuchy i chronienia. To miłość, pomyślał. Zapamiętał ciężar imbryka. Zapamiętał kłęby pary w ciemności. Dziwny odgłos trzepotania, jak gdyby skrzydeł, później niskie brzęczenie, a potem zorientował się, że stoi po pas w jeziorze. Był nagi i czuł między palcami nóg muliste dno. Badał wzrokiem gwiazdy - gorące, białe gwiazdy na czarnym niebie. To nie były wspomnienia. To były pod-wspomnienia. Obrazy z obszarów ukrytych pod powłoką świata jawy, głębszych od snu, wyzuty z logiki. Wykraczały poza sferę wspomnień. Należały do sfery wiedzy. Jednostajny plusk fal o jego klatkę piersiową, chłód, to, że w końcu pozwolił sobie na zanurzenie - nie nurkowanie, lecz tonięcie - że poczuł w ustach smak ryb i wodorostów, że zawadził nogami o coś ostrego - straszliwy ciężar napierający na jego płuca i ramiona - i że wreszcie pochłonęły go warstwy zapomnienia. Później siedział drżący na pomoście. Był nagi. Patrzył w gwiazdy.

To absurdalne, pomyślał Wade.

Wepchnął sobie pod głowę poduszkę i leżał dalej, rozważając różne możliwości.

Kiedy się ocknął, było już prawie ciemno, a drzewa zasnuwała mgielka purpury. Zegarek na nocnym stoliku pokazywał godzinę piątą pięćdziesiąt sześć.

Wade ubrał się, umył twarz i przeszedł do salonu.

- Śpiąca królowa - rzekł Claude.

Staruszek siedział przy stoliku do gry naprzeciw kamiennego kominka i układał pasjansa. Mimo płonącego ognia miało się wrażenie, że domek jest przesiąknięty wilgocią i nękany przeciągami.

- Nic jeszcze nie ma, więc proszę nie pytać - rzekł Claude. - Pana przyjaciel Lux zameldował się godzinę temu. Załatwił na jutro nowe łodzie. Na razie bierzemy na wstrzymanie. - Staruszek potasował karty i rozłożył kolejnego pasjansa. - Prześpimy się z Ruth w wolnej sypialni. Nie ma sensu, żeby pan sam pił to piwo.

- To niekonieczne.

- Może i tak. Ale ja wiem swoje.

Wade wzruszył ramionami.

- Więc mnie pan nie wini?

- Za co?

- O Chryste. Niech pan nie będzie taki bojaźliwy.

Staruszek podniósł wzrok i roześmiał się.

- Vinny pana nastraszył, co? On już taki jest. Jak mu pokazać księżyc w pełni, to zawsze się skupi na jego ciemnej stronie.

- Więc pan nie myśli...

- Nie, do diabła. I Ruth też nie. Ale byłoby lepiej, gdyby pan się zaczął zachowywać jak mąż. Niech pan okaże trochę zwykłego niepokoju. To ludzi rozczerze.

Wieczór minął spokojnie. Po kolacji Wade poszedł na krótki spacer nad jezioro, potem wziął prysznic, ogolił się, napełnił dwie szklanki wódką z tonikiem i wyniósł je na werandę. Pomost i hangar były już osnute mgłą. Oparł się o filar i przez prawie godzinę sączył drinki, słuchając lasu. Mały czarny kamień bez przeszkód wirował mu z tyłu za oczami. Dawno temu, jeszcze jako dziecko, poznał sekret przeistaczania swego umysłu w tablicę. Ścierał to, co złe. W tym miejscu rysował śliczne, nowe obrazki.

Koło dziewiątej znów wykręcił numer siostry Kathy. Próbował jeszcze kilka razy o równej godzinie, ale zastał ją dopiero przed północą.

To była trudna rozmowa. Dzieliły ich widma wspólnej znajomości - dystans i

nieufność. Miał wrażenie, że jej głos jest przytłumiony, zniekształcony, jakby zasłaniała usta chusteczką.

- Dwadzieścia minut temu włączyłam telewizję... - W słuchawce rozległy się jakieś trzaski. - Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Wzięła łódź. Tyle wiemy.

- O Boże!

Znów pojawiły się jakieś zakłócenia, które zniekształcały głos. Rozmawiali jeszcze pięć minut, głównie wymieniając pytania i odpowiedzi. Oboje starali się zachować uprzejmy ton. Pat ostatni raz rozmawiała z Kathy w wieczór prawyborów, nie przychodzi jej do głowy nic oprócz oczywistego wyjaśnienia - że to jakiś wypadek. Załamał jej się głos i na chwilę zapadła cisza.

- Słuchaj, już się spakowałam - powiedziała. - Jutro przyjeżdżam. Mam nadzieję, że dotrę z samego rana.

- Nie wiem, czy to...

- Jutro - powtórzyła.

XVI Materiał dowodowy

P: Jak można kogoś ewakuować za pomocą ręcznego granatu?

O: Nie mam pojęcia.

P: To dlaczego tak pan powiedział?

O: To była przenośnia.

P: Co pan miał przez to na myśli?

O: Po prostu... po prostu to, że jedynym środkiem, za pomocą którego mogłem ewakuować tych ludzi, był ręczny granat. Tylko że to niezupełnie ewakuacja.¹

- William Calley (zeznanie przed sądem wojennym)

Wioska Son My leży około dziewięciu kilometrów na północny wschód od miasta Quang Ngai nad Morzem Południowochińskim. W marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku składała się z czterech osad: Tu Cung, My Lai, My Khe i Co Luy, z których każda obejmowała kilka podosad... Wietnamczycy znali wiele z tych podosad pod innymi nazwami niż występujące na amerykańskich mapach topograficznych tych okolic... Na przykład podosada określana na mapach jako My Lai (4) w rzeczywistości nazywa się Thuan Yen.²

¹ Komisja Peersa

P: Co pan robił?

O: Celowałem do nich z karabinu M-16.

P: Dlaczego?

O: Bo mogli zaatakować.

P: To były dzieci i niemowlęta?

O: Tak.

P: Mogły zaatakować? Dzieci i niemowlęta?

O: Mogły mieć przywiązane odbezpieczone granaty. Matki mogły w nas nimi rzucić.

P: Niemowlętami?

O: Tak.

P: Czy matki trzymały je na rękach?

O: Chyba tak.

P: I te niemowlęta szykowały się do ataku?

O: Spodziewałem się, że lada moment posłużą się nimi dla przeciwwagi³

- Paul Meadlo (zeznanie przed sądem wojennym)

Wychowywałam go na dobrego chłopca. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Przyszli i zabrali go do wojska. Walczył za ojczyznę i niech pan spojrzy, jak go skrzywdzili. Od razu zrobili z niego mordercę.⁴

- pani Myrtle Meadlo (matka Paula Meadlo)

...jest taka granica, której człowiek nie odważy się przekroczyć, czyny, których nie odważy się popełnić mimo otrzymanego rozkazu i beznadziejności sytuacji gdyż zniszczyłoby to w nim coś, co ceni wyżej niż życie.⁵

- J. Glenn Gray („The Warriors”)

John miał na to wszystko swój sposób, który - można by rzec - wyniszczał go. Choć może pod wieloma względami już wcześniej był zniszczonym człowiekiem.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Zdumiewa mnie, jak niewiele potrafię, ba, chcę sobie przypomnieć z tamtych wydarzeń...⁶

- pułkownik William V. Wilson (oficer śledczy amerykańskich sił zbrojnych)

Nie pamiętam. To było trzy lata temu.⁷

- Ronald Grzesik (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Czy mówił pan jakiemuś oficerowi o tym, co pan zobaczył?

O: Nie przypominam: sobie dobrze.⁸

- Ronald Haeberle (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Ile osób było w rowie?

O: Nie wiem.

P: Na jakim odcinku rowu znajdowali się ludzie?

O: Nie wiem.

P: Czy mógłby pan podać szacunkową liczbę osób w rowie?

*O: Nie.*⁹

- William Calley (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Co się stało później?

O: (Porucznik Calley) zaczął ich spychać do wąwozu i tam rozstrzeliwać.

P: Ile razy strzelił?

*O: Nie pamiętam.*¹⁰

- Paul Meadlo (zeznanie przed sądem wojennym)

Pamiętam tylko muchy. I smród. Niektórzy chłopcy robili sobie maski gazowe - nasączali koszulki płynem przeciwko moskitom i rozpuszczoną oranżadą w proszku. To trochę pomagało, ale nie na muchy. One mi się bez przerwy śnią. Myśli pan, że sfiksowałem?

- Richard Thinbill

*Najczęstszą odpowiedzią na akt okrucieństwa jest wyparcie go ze świadomości*¹¹

- Judith Herman („Trauma and Recovery j

John rzeczywiście cierpiał podczas kampanii. To nie było w porządku, że opowiadano o nim te okropności. Nie wierzę z tego w ani jedno słowo.

- Eleanor K. Wade

P: Widział pan w wiosce jakichś martwych Wietnamczyków?

O: Tak.

P: Ru?

*O: Prawie wszystkich. Byli wszędzie.*¹²

- Gene Oliver (zeznanie przed sądem wojennym)

*Osoby niebiorące bezpośredniego udziału w działaniach wojennych, włącznie z członkami sił zbrojnych, którzy złożyli broń, oraz ludźmi, którzy stali się niezdolni do walki na skutek choroby, ran, pozbawienia wolności lub z jakiegokolwiek innego powodu, będą w każdych okolicznościach traktowane w sposób humanitarny...*¹³

- „Genewskie Konwencje Praw Wojny”

P: Czy mógłby pan opisać, co zobaczył?

O: W rowie leżała duża sterta martwych Wietnamczyków.

P: Może pan podać w przybliżeniu ich liczbę?

O: To trudno powiedzieć. Jakichś czterdziestu, pięćdziesięciu,

P: Czy mógłby pan opisać ten rów?

O: Miał dwa, trzy metry głębokości i trzy, cztery i pół metra szerokości Ciała leżały wszędzie. Były poukładane jedne na drugich. Jedna sterta znajdowała się na środku, a kilka innych z boku, ¹⁴

- Richard Pendleton (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Skąd pan wiedział, że nie żyją?

O: Nie poruszali się. Wyciekło z nich mnóstwo krwi. Leżeli w stertach i pojedynczo. Byli wśród nich ludzie bardzo starzy i bardzo młodzi, matki też. Krew płynęła wszędzie. Wszystko było zlane krwią. ¹⁵

- Charles Hall (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Widział pan jakichś zastrzelonych ludzi?

O: Tak.

P: Kobiety i dzieci?

O: Tak, kobiety i dzieci, około dwudziestu pięciu ciał, w północno-wschodnim sektorze My Lai (4).

P: Czy widział pan także inne ciała?

O: Tak. Około dziesięciu, na północ od My Lat To były same kobiety, wszystkie nagie.

P: Czy znajdowali się tam jacyś żołnierze z pańskiego plutonu?

O: Tak. Był tam Roshevitz. Miał karabin M-79. Zabił je serią z tego M-79. ¹⁶

- Leonard Gonzalez (zeznanie przed sądem wojennym)

Dowód rzeczowy numer osiem: magiczne pudełko Johna Wade'a, niepełna lista: talia kart (same walety karowe) atrapa koniuszka kciuka fotografie (12) ojca paczka gumy do żucia Brązowa Gwiazda Zwycięstwa ¹⁷

Purpurowe Serca (2) wojskowy medal uznania odznaka strzelca frontowego woskowany sznur przylepne sztuczne wąsy butelka po wódce książka „Magia duchowa” książka „Przypadki lewitacji”

P: Do kogo strzelali?

O: Do wroga.

P: Do ludzi?

O: Do wroga

P: To nie były istoty ludzkie?

O: Tak jest.

P: To były istoty ludzkie?

O: Tak jest.

P: Czy to byli mężczyźni?

O: Nie wiem. Chyba tak.

P: Nie widział ich pan?

O: Słucham?

P: Widział ich pan?

O: Nie zajmowałem się rozróżnianiem płci

P: Czy widział pan kobiety?

O: Nie wiem.

P: Co pan ma na myśli mówiąc, że nie zajmował się rozróżnianiem płci?

O: Nie wprowadzałem rozróżnień w stosunku do osób w wiosce. Wszyscy byli wrogami i wszystkich należało zniszczyć.¹⁸

- William Calley (zeznanie przed sądem wojennym)

Decydującym momentem w życiu żołnierza jest chwila, gdy otrzymuje on rozkaz wykonania zadania stojącego w całkowitej sprzeczności z jego wyobrażeniem o dobru i złu. Odkrywa wówczas, być może po raz pierwszy, że działanie, które ktoś inny uznaje za niezbędne, dla niego jest przestępstwem... Nagle czuje się opuszczony i pozbawiony wszelkiego bezpieczeństwa. W stanie osamotnienia pogrąża go własne sumienie, którego głos ostrzega: jeśli to zrobisz, nigdy nie będziesz ze mną w zgodzie. Możesz to zrobić, ale nie powinieneś. Powinieneś postępować jak człowiek, a nie jak narzędzie cudzej woli.¹⁹

- J. Glenn Gray („The Warriors”)

Naruszenie poczucia człowieczeństwa, a w konsekwencji ryzyko potraumatycznych zaburzeń nerwowych, jest najpoważniejsze, jeśli pozostający przy życiu człowiek był nie tylko biernym świadkiem, ale i aktywnym uczestnikiem czyjejs gwałtownej śmierci lub jakiegoś aktu okrucieństwa.²⁰

- Judith Herman („Trauma and Recovery”)

P: Czy byliście tego dnia ostrzeliwani przez wroga?

O: Nie.²¹

- Frank Beardslee (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Czy wykonywał pan rozkazy? O: Tak jest

P: Jakie to były rozkazy? O: Zabijać wszystko, co oddycha.

P: Czy żołnierze po pana prawej i lewej stronie wypełniali te rozkazy?

O: Tak jest. Wszyscy strzelali²²

- Salvatore LaMartina (zeznanie przed sądem wojennym)

Johnie! Johnie! Oo, Johnie!²³

- George Armstrong Custer

Te pieprzone muchy!

- Richard Thinbill

*Po prostu biegłem. Moje myśli po prostu biegły. Nie byłem jedyny, któremu to się zdarzyło. Z wieloma innymi było tak samo. Po prostu zabijałem. Jak zacząłem... ćwiczenia, tę całą część przygotowującą do zabijania, po prostu samo się stało... Ja tylko się temu podporządkowałem. Po prostu straciłem poczucie kierunku, celu. Zacząłem zabijać wszystko jedno jak. To działało się samo. Nie wiedziałem, że to w sobie mam.*²⁴

- Warnado Simpson (kompania Charliego, drugi pluton)

P: Co się stało potem?

O: Porucznik Calley podszedł do sierżanta Mitchella. Zawrócili i zaczęli karabinami spychać ludzi do rowu.

P: Co pan wtedy robił?

*O: Nic. Odwróciłem wzrok.*²⁵

- Charles Sledge (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Co było potem?

*O: Porucznik Calley przyszedł i kazał zająć się tymi ludźmi. Powiedzieliśmy, że dobrze. Staliśmy i patrzyliśmy na nich. On zniknął, ale po chwili wrócił i powiedział: „Chyba wam kazałem zająć się tymi ludźmi”. „Przecież się zajmujemy”, odparliśmy. A on na to: „Chodzi mi o to, żebyście ich zabili”. Byłem trochę zaskoczony i nie wiedziałem, co zrobić... Stali jeden przy drugim, a ja z tyłu. Więc tamci - Calley i Meadlo - wzięli się do roboty i zaczęli strzelać prosto w ludzi.. To było mechaniczne. Ludzie krzyczeli wrzeszczeli i upadali. Chyba próbowali też wstać. Nie mogli. To wszystko. Byli nieźle zmasakrowani. Wielu miało odstrzelone głowy. Kawałki czaszek i ciała odlatywały im z boków i ramion.*²⁶

- Dennis Conti (zeznanie przed sądem wojennym)

*Zrzućeni z koni kawalerzyści zbiegli w dół wzgórza i zsunęli się do wąwozu. Tam właśnie znaleziono ich ciała.. Musieli mieć poczucie, że są niebezpiecznie odsłonięci, i dlatego popędzili w jedyne miejsce, które mogło ich ochronić. Ale z chwilą skoku do parowu znaleźli się w pułapce. Mogli się tylko kulić albo kucać między krzakami, spoglądając ze strachem do góry, i czekać. Kilku próbowało wydostać się przez południową ścianę - na ziemi było widać ślady butów i bruzdy, które prawdopodobnie wyłobiły ich palce - ale żaden z tych tropów nie prowadził na samą górę.*²⁷

- Evan S. Connell („Son of the Morning Star”)

P: Czy strzelał pan do kur, świń i psów?

O: Tak jest.

P: Czy strzelał pan do wszystkiego, co pan zauważył?

O: Nie.

P: Ale prawie wszystkiego?

*O: Tak. Prawie wszystkiego.*²⁸

- Roy Woods (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Czy może pan ich opisać?

O: To były kobiety i małe dzieci

P: Co robiły?

*O: Leżały na ziemi i wszędzie miały pełno krwi. Były martwe.*²⁹

- Rennard Dolnes (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Czy rozmawiał pan o czymś z porucznikiem Calleyem w tym rowie?

O: Tak.

P: Co on mówił?

O: Kazał mi użyć karabinu.

P: W rowie?

O: Tak.

P: Co pan odpowiedział?

*O: Odmówiłem.*³⁰

- Robert Maples (zeznanie przed sądem wojennym)

P: Czy kiedykolwiek rozpiął pan spodnie przed kobietą w wiosce My Lai?

O: Nie.

P: Czy to nieprawda, że chodził pan tego dnia po My Lai szukając kobiet?

O: Nieprawda.

P: Czy nie niósł pan na rękach półnagiej kobiety i czy nie rzucił jej pan potem na ziemię, mówiąc, że jest zbyt plugawa, żeby ją zgwałcić?

*O: Tak, ale to nie było w My Lai*³¹

- Dennis Conti (zeznanie przed sądem wojennym)

*Każdy człowiek ma w swoich wspomnieniach takie sprawy, z których nie wszystkim się zwierza, jedynie chyba przyjaciółom. Ma też i takie, których nawet przyjaciółom nie wyjawia, lecz bodaj tylko sam sobie, a i to w sekrecie. Istnieją jednak i takie, które nawet sam przed sobą lęka się ujawnić, i takich właśnie spraw u każdego porządnego człowieka gromadzi się bądź co bądź niemało (...) człowiek sam o sobie z pewnością nakłamię.*³²

- Fiodor Dostojewski („Notatki z podziemia”)

*Żonaci weterani albo tacy, którzy ożenili się po powrocie, też mieli kłopoty. Przebudzenie z rękami na gardle żony jest przerażające zarówno dla weterana, jak i jego żony. Może zwariował? Może mnie nienawidzi? Co się, do diabła, dzieje?*³³

- Patience H. C. Mason („Recovering from the War”)

Jak już panu mówiłam, krzyczał przez sen. Różne okropności Kathy uważała, że potrzebuje pomocy.

- Patricia S. Hood

Z tym facetem coś było nie w porządku. Jak rany, prawie to czułem węchem.

- Vincent R. (Vinny) Pearson

*...przestępstwa popełnione na mieszkańcach wioski Son My obejmowały indywidualne i masowe mordy, gwałt hetero - i homoseksualny, okaleczenia, napaść na osoby niebiorące udziału w walce oraz znęcanie się nad jeńcami i ich zabijanie.*³⁴

- pułkownik William V. Wilson (oficer śledczy amerykańskich sił zbrojnych)

Przypisy

¹ W: Richard Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley” (New York, Coward, McCann & Geoghegan, 1971 r.), s. 272.

² „Report of the Department of the Army, Review of the Preliminary Investigations into the My Lai incident”, Volume I, Department of the Army, 14 marca 1970 r., s. 3. Dalej występuje jako Komisja Peersa.

³ Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 161-162. „Wieczorne wiadomości CBS, 25 listopada 1969 r. W: Michael Bilton i Kevin Sim, „Four Hours in My Lai” (New York, Viking, 1970 r.), s. 186.

⁵ J. Glenn Gray, „The Warriors: Reflections on Men in Battle” (1959 r., reprint, Harper Torchbooks, 1970 r.), s. 186.

⁶ Pułkownik William V. Wilson, „American Heritage”, luty 1990 r., s. 53.

⁷ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 151.

⁸ Tamże, s. 91.

⁹ Tamże, s. 269.

¹⁰ Tamże, s. 155.

¹¹ Herman, „Trauma and Recovery”, s. 1.

¹² W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 101.

¹³ „Genewskie Konwencje Praw Wojny”, 1949 r., artykuł 3., punkt 1, „Dziennik Ustaw”, Załącznik do Nr. 38 z 1956 r., s. 171.

¹⁴ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 104.

¹⁵ Tamże, s. 117.

¹⁶ Tamże, s. 193.

¹⁷ Amerykańskie odznaczenie wojskowe, przyznawane za bohaterstwo (przyp. tłum.).

¹⁸ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 263

¹⁹ Gray, „The Warriors: Reflections on Men in Battle”, s. 184-185.

²⁰ Herman, „Trauma and Recovery”, s. 54.

²¹ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 93.

²² Tamże, s. 188.

²³ Evan S. Connell, „Son of the Morning Star” (San Francisco, North Point Press, 1984 r.), s. 307. Connell pisze, że imię „John” było „powszechnie stosowane przez białych w stosunku do Indian”. 25 czerwca 1876 r, w Little Big Horn słyszano, jak pewien przerażony żołnierz „we łzach powtarzał to imię, jakby mogło uratować mu życie. Johnie! Johnie! Oo, Johnie! To błaganie odbija się straszliwym echem sto lat później”.

²⁴ W: Bllton and Sim, Four Hours in My Lal, s. 7.

²⁵ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 132.

²⁶ Tamże, s. 122-124.

²⁷ Connell, „Son of the Morning Star”, s. 309.

²⁸ W: Hammer, The Court-Martial of Lt. Calley, s. 110.

²⁹ Tamże, s. 112.

³⁰ Tamże, s. 114.

³¹ Tamże, s. 127.

³² Fiodor Dostojewski, „Notatki z podziemia”, tłum. G. Karski, Warszawa 1992 r., s. 35.

³³ Mason, „Recovering from the War: A Woman’s Guide to Helping Your Vietnam Vet, Your Family, and Yourself”, s. 181.

³⁴ Wilson, „American Heritage”, s. 53. Liczba cywilnych ofiar działań zbrojnych w wiosce Son My 16 marca 1968 r, jest przedmiotem ciągłych sporów. Komisja Peersa orzekła, że podczas operacji 16 marca zostało zabitych „co najmniej 175-200 wietnamskich mężczyzn, kobiet i dzieci”. Wydział śledczy amerykańskich sił zbrojnych na podstawie spisu ludności ocenił, że liczba ofiar „mogła przekroczyć 400”. Na pomniku w Son My, który widziałem zbierając materiały do tej książki, oszacowano ją na 505. Było to dla mnie, swoją drogą, niezwykle doświadczenie. Thuan Yen jest wciąż cichą, małą, bardzo biedną i bardzo oddaloną od innych siedzib ludzkich wioską rolniczą, upstrzoną krowim łajnem, poprzecinaną wąskimi ścieżkami i wysokimi, bambusowymi płotami. Ogólnie robi bardzo miłe wrażenie:

potakiwania i uśmiechy starców, chichoty dzieci na widok naszych białych, cudzoziemskich twarzy. Rów wciąż tam jest. Znalazłem go z łatwością. Ma zaledwie 1.5-2 metry głębokości, jest płytki i niepozorny, ale miałem wrażenie, jakbym już tam kiedyś był, we śnie albo w innym życiu.

XVII Istota polityki

Pod koniec października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku John Wade przedłużył sobie o rok okres trwania służby. Nie miał sensownej alternatywy. Po wydarzeniach w Thuan Yen stracił kontakt z tą częścią własnej osobowości, która określała jego tożsamość. Nie potrafił wydobyć się ze szlamu. *To decyzja osobista* napisał do Kathy. *Może kiedyś będę umiał to wyjaśnić, ale na razie nie mogę stąd wyjechać. Muszę załatwić parę spraw, bo inaczej nigdy nie wrócę do domu. A przynajmniej nie tak, jak należy.*

Odpowiedź Kathy - kiedy w końcu nadeszła - była enigmatyczna. Kocha go. Ma nadzieję, że nie kieruje nim chęć zrobienia kariery.

Przez kilka następnych miesięcy John Wade robił, co mógł, żeby sztuczka puszczenia w niepamięć się udawała. Skupiał się na służbie. Dwa razy go awansowano. Najpierw został kapralem, a potem sierżantem. W porę nauczył się okazywać pod ostrzałem skromność i godność. Nie było to męstwo, ale zawsze jakiś początek. W pierwszym tygodniu grudnia w górach leżących na zachód od Chu Lai otrzymał paskudną ranę. Miesiąc później zainkasował ćwierć kilo odłamków szrapnela w dolną partię pleców i uda. Potrzebował bólu. Chciał odzyskać swoją cnotę. Czasami specjalnie szukał ryzyka, idąc na czele oddziału lub kierując nocnym patrolem. Były to akty likwidacji, próby pogrzebienia jednej wielkiej okropności pod ciężarem wielu mniejszych.

Czasem sztuczka prawie się udawała. Czasem prawie zapominał.

W listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku John Wade wrócił do domu z całym mnóstwem odznaczeń. Pięć miesięcy później ożenił się z Kathy. Uroczystość odbyła się na powietrzu, a na drzewach wisiały różowe i białe balony. Tuż przed Wielkanocą wprowadzili się do mieszkania w Minneapolis. „Będziemy szczęśliwi - powiedziała Kathy - wiem o tym”.

John roześmiał się i wniósł ją do środka.

Ozdobili mieszkanie wiszącymi roślinami i pasami wzorzystych materiałów, które umieścili nad drewnianymi ramami okien i drzwi. Sprawiały im przyjemność wspólne zakupy, szukanie tanich mebli, dywanów i przenośnego telewizora. Dopóki Kathy nie znalazła przyzwoitego używanego łóżka, kochali się na podłodze.

„Widzisz - mówiła - miałam rację”.

John rozpoczął tej jesieni studia prawnicze, co było częścią planu. Pod koniec sierpnia siedemdziesiątego trzeciego roku za pierwszym podejściem zdał egzamin adwokacki. Tydzień później zaczął pracować jako zastępca doradcy do spraw ustawodawczych Farmerskiej Demokratycznej Partii Pracy stanu Minnesota. Robota polegała na grzebaniu się w detalach za psie pieniądze, ale był gotów do poświęceń. Przez ponad trzy lata pilotował akty prawne w drodze przez parlament stanowy, gdzie nie szczędził uprzejmości, chomikując kwity dłużne w nadziei na przyszłą wypłatę. Oddalił się od wojny o lata świetlne.

W piątą rocznicę ślubu John przyniósł Kathy rano śniadanie do sypialni na plastikowej tacy. Spod przykrywającej ją serwetki wyczarował pięć czerwonych róż.

- To zabawne - powiedziała - ale wydajesz się jakiś inny. Jakbyś był bardziej rozluźniony albo zadowolony.

- Tak sądzisz?

- Tak. I cieszy mnie to.

John przytaknął. Rozłożył puste dłonie, wykonał nimi ruch i pokazał dwa kolczyki ze szklanymi paciorkami. Wyczarował parę nowych białych tenisówek. Na wewnętrznej stronie podeszew napisał wcześniej „JOHN + KATHY” i obwiódł te słowa serduszkami. Wszystkie sztuczki się udawały. Wczesną wiosną tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku zgłosił swoją kandydaturę na senatora stanu Minnesota.

- Chcesz wygrać? - zapytał Tony Carbo.

- Oczywiście.

- Ale czy to prawdziwe pragnienie? Takie z samych bebeczków?

- Tak - odparł Wade. - Dokładnie takie. Z bebeczków.

Tony kiwnął głową i potarł swój podwójny podbródek.

Nie byli bliskimi przyjaciółmi i nigdy nie mieli się nimi stać, ale pasowali do siebie jako dokładne odbicie przeciwieństw. Zamek i klucz, mawiał Tony. Poznali się dwa lata wcześniej w czasie przyjęcia na rzecz zgromadzenia funduszy dla partii. Parę kolacji, parę obiadów, a potem pewne rzeczy zaczęły być zrozumiałe same przez się.

- Pięknie - powiedział Tony. - Jesteś głodny. To dobry początek. Nic nie pokona zdrowego apetytu.

Spojrzał niepewnie na jedną z draperii, którymi Kathy ozdobiła ściany, po czym rozłożył się na kanapie i zwrócił na Johna swe małe, nieco skośne oczka. Nie był imponującym przedstawicielem rasy ludzkiej - otyły, z tłustym podbródkiem i żółtawą cerą. Miał na sobie, jak zawsze, swój typowy zielony garnitur ze sztruksu i poplamiony czerwony

krawat. Oddychał płytkimi sapnięciami.

- Więc jak? - zapytał John. - Wchodzisz w to?

- Jasne. - Tony wyszczerzył zęby w uśmiechu i zerknął na Kathy. Zapalił papierosa. -

Przystojny z ciebie kandydat. I taka oszalamiająca żona.

- Nie zamierzam jechać na urodzie.

- A niech mnie! - rzekł Tony. - To nasz pech.

Kathy popatrzyła na niego z niesmakiem. Tony rzucił jej promienne spojrzenie.

- Wobec tego jaki chcesz chwyt reklamowy? Bohater wojenny?

- Żadnego heroizmu - odparł John. - Czysta rzeczowość.

- Aaa, rozumiem. - Tony opadł ciężko na oparcie i posłał Kathy uśmiech przez zasłonę z dymu. - No, to mamy problem, i to duży, bo na listach wyborczych nie znajdziesz pana Rzeczowego. Będzie tam mnóstwo innych gości, ale nie on. - Zachichotał. - Myślałem, że chcesz wygrać.

- Ale nie w taki sposób - powiedziała Kathy.

- Co takiego?

- John chce działać. Chce coś osiągnąć. O to mu w tym wszystkim chodzi.

Tony wciąż szczerzył do niej zęby w uśmiechu.

- Zdumiewające. Czy ja mówię co innego? Doceniam jego chęci, tylko że w rzeczywistym świecie gównem osiągnie, jeśli nie wygra. Ludzie przegrani tylko przegrywają. - Zmienił ułożenie swego cielska na kanapie. Przez kilka sekund wyglądał, jakby rozważał jakieś zabawne pomysły. - Ta cała zabawa... polityka... jest jak urabianie kobity. Obowiązuje z grubsza ta sama zasada.

Kathy wzniosła oczy do nieba, ale nic nie powiedziała.

- Trzeba się na niej skupić - rzekł Tony. - Powiedzmy, że jesteś na przyjęciu. Zauważasz po drugiej stronie pokoju jakąś seksowną cizję, prawdziwy towar, więc podchodzisz i zaczyna się polityka. Uprzejmy uścisk dłoni, spojrzenie w oczy. Chrzanisz na dowolny temat. Opowiadasz o Arystotelesie i Gandhim, o tym, że kontakt z ich myślą był dla ciebie głębokim, intymnym doświadczeniem i że na zawsze zmienili twoje życie. Mówisz o swoich odznakach dla zasłużonych, o potwornym przeżyciu, jakim była dla ciebie choroba Heinego i Medina, o tym, jaką to jesteś wrażliwą istotą, i po jakimś czasie bardzo uprzejmie zapraszasz swoją laskę na kolację. Przepuszczasz miesięczną pensję, szarpiesz się na ostrygi i kawior. Wkrótce ona zaczyna mieć wobec ciebie zobowiązania. O tym się nie mówi, a przynajmniej nie wprost, ale ta rybeńka zna zasady, wie, na czym polega ta gra - kodeks handlowy, że tak powiem. W każdym razie ty cały czas rozwodzisz się nad swoimi

zdolnościami, opowiadasz, że masz fioła na punkcie publicznej telewizji, i tak dalej, ad gównitum. Bo gadka szmatka się liczy, nie? Wystawne kolacyjki i umizgi to obowiązek. Ta dziewczyna jest w końcu człowiekiem, tak samo jak ty i ja. Ma swoją dumę. Ma swój honor. To żyjąca istota, żywy kawałek dupy i musisz to uszanować.

Wzrok Tony'ego prześliznął się po podłodze i zatrzymał na Kathy.

- To taka metafora - wyjaśnił.

John Wade spędził w stanowym senacie sześć lat. Tony kierował kampaniami, które były efekciarskie i drogie, ale liczba zwolenników Wade'a stale rosła. Od siedemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego roku rezerwa głosów przekraczających niezbędne minimum wzrosła prawie trzykrotnie.

John był uznawany przez swoich kolegów w stanowym parlamencie za pewnego strzelca. Umiał się dogadać z ludźmi i wykręcać innym ręce, nie powodując złamania. Zrozumiał, że motorem działania rządu jest kompromis, i choć pod wieloma względami pozostał idealistą - był postępowcem w stylu Humphreya¹ i wierzył w fundamentalną sprawiedliwość człowieka

¹ Hubert Horatio Humphrey, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1965-1969 (przyp. tłum.).

- największą przyjemność czerpał z codziennego uprawiania rutynowej polityki ustawodawczej, z wypracowywania kompromisów, z manipulacji. Niemal instynktownie wiedział, kiedy ustąpić i czego żądać w zamian. Był sprytny i dyskretny, ludzie go lubili. Stosunkowo wcześnie umiejętnie wzbogacił swe zachowanie na forum publicznym o nutę nieśmiałości, o budzący zaufanie chłopięcy wdzięk. Zanim w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku upłynęła jego pierwsza kadencja, te i inne liczne jego zalety były już zauważone tam, gdzie trzeba. Gazety okrzyknęły go obiecującą młodą gwiazdą na politycznym firmamencie i mówiło się, że ma przyszłość na wyższych szczeblach. John nie ukrywał, co o tym myśli. Ma potrzebę humanitaryzmu. Rzeczywiście pragnie zrobić coś dobrego dla świata. Czasami, w chwilach refleksji, uderzała go niejasna myśl, której nigdy zbyt głęboko nie rozważał - że polityka jest formą zadośćuczynienia, możliwością zbawienia czegoś w sobie i na świecie.

Mimo to Tony Carbo miał rację. Polityka to jego zawód i nie ma nic złego w tym, że przedstawia się jako człowiek sukcesu. Nosił drogie garnitury, kontrolował swoją wagę i zabiegał o przyjaźnie, tam gdzie się one liczyły. Szczupły, rudawy blondyn o kościstej twarzy, dobrze wychodził na zdjęciach, zwłaszcza u boku Kathy, a jako osoba publiczna miał prezencję, która zwracała na siebie uwagę. Na objazdowych kolacjach był skromny i

elocwentny, ale nie uznawał takiej ogłady, którą można by wziąć za nieszczerłość. O to też dbał - o szczerłość. Doskonalił przybierane pozy, doskonalił gesty, wypracował własny styl. Wciąż najbardziej go w tym bawiła możliwość manipulowania innymi.

Praca w stanowym senacie pochłaniała mnóstwo czasu, włącznie z weekendami i większością świąt, na czym cierpiało czasem jego współżycie z Kathy. Oczywiście byli szczęśliwi, ale szczęściem, które nakierowane jest na przyszłość.

Przekładali wiele rzeczy na później. Urlop, dzieci i własny dom. Niekiedy zagłębiali się nocą w stertę folderów turystycznych, sporządzając listy kurortów i eleganckich hoteli, ale zawsze kończyło się na tym, że trzeba zapłacić za kolejną kampanię, za następne wybory, a pieniędzy zawsze brakowało. Rezygnowali więc z części luksusów. Nauczyli się sprawnego korzystania z kart kredytowych. Poza godzinami pracy i kiedy parlament nie obradował, John uzupełniał dochody w firmie prawniczej w St Paul, a Kathy wzięła pełny etat w dziekanacie na Uniwersytecie Minnesota, dzięki czemu łatwiej im było spłacać rachunki. Ale mimo to żyli w pewnym stresie. Czasami mieli wrażenie, że pną się na szczyt wielkiej białej góry, że bezustannie walczą, a momentami nawet wiszą nad przepaścią. Sztuka polegała na tym, żeby oboje zachowali cierpliwość i nie tracili z oczu szczytu, na którym znajdowały się wszystkie trofea. Próbowali patrzeć na życie z optymizmem, ale zdarzały się chwile, gdy było im trudno wytrwać w nadziei. Nieczęsto wychodzili. Nie mieli prawdziwych przyjaciół. Rzadko znajdowali w sobie energię, żeby się kochać.

- To dziwne - powiedziała Kathy pewnego wieczora. - Na studiach cały czas się ciupcialiśmy. Jak para królików. A teraz mam wrażenie... - Ugryzła się w język, jakby chciała najpierw sprawdzić własne myśli. - Sama nie wiem. Czasami mam wrażenie, że żyję z drzwiami. Próbuję przez nie wejść, pcham, ale to draństwo się zacięło i nawet nie drgnie.

- Nie jestem drzwiami - odparł John. - I nie zaciąłem się.

- Tak to odczuwam.

- Wobec tego przykro mi. Naprawimy to.

Spojrzała mu prosto w oczy. Może to kwestia oświetlenia, pomyślał, ale w jej oczach jest jakiś dziwny, srebrny poblask.

- Słuchaj, Johnie. Nie wiem, czy jest coś, co uważasz za święte. Ostateczne i święte.

- My - odparł. - Twój język, moje usta. Nie ma nikogo innego. I nigdy nie będzie.

- Niczego przede mną nie ukrywasz?

- Absurdalny pomysł.

- Naprawdę?

- Tak - odparł. - Kompletnie absurdalny.

Odwróciła na chwilę wzrok, westchnęła i ponownie na niego spojrzała.

- I tak byś mi nie powiedział. Gdybyś miał jakieś tajemnice, i tak nigdy byś mi ich nie wyznał, prawda?

John chwycił ją w ramiona. Zmusił się do niefrasobliwego śmiechu, symulując czyste sumienie. Przeraziła go myśl ojej utracie, zawsze tak było, ale nie powiedział tego.

- Nonsens - rzekł. - Kocham cię, Kathy. Jesteśmy parą asów.

- Jesteś czysty? - zapytał Tony Carbo.

- Tak.

- Żadnych duchów przeszłości?

- Żadnych.

- Ale jeśli coś tam ukrywasz, jakiś wredny epizodzik z małymi dziewczynkami...

- Nie ma nic takiego.

- Na pewno?

John uśmiechnął się i odparł:

- Absolutnie.

- Miejmy nadzieję - rzekł Tony - bo inaczej cholernie cienko zaśpiewasz. Jeśli masz w nosie jakiegoś gila, możesz być pewien, że ktoś ci go wydłubie i rozgniecie na samym środku czoła. Wcześniej czy później, stary. Nie ma siły. To jedno jest pewne. Jak robisz politykę na zadupiu, możesz sobie ukrywać gluty. Ale nie w pierwszej lidze.

- Rozumiem.

- Więc jesteś czysty?

John odwrócił na chwilę oczy. W jego polu widzenia zabłysnął bulgoczący, czerwony rów.

- Tak - odparł. - Jestem.

Tony skinął głową i wziął do ręki notes.

- A co z religią? Jesteś wierzący, mam nadzieję, że w Chrystusa.

- Coś wynajdę.

- Luteranizm.

- Może być.

- Bardzo dobrze. Raz w tygodniu do kościoła, punkt o dziesiątej. - Tony porozumiewawczo poruszył brwiami. - Mam przecucie, że naszym zastępcą gubernatora zostanie luteranin.

John Wade znów zdecydowanie wygrał, przewagą ponad sześćdziesięciu tysięcy głosów. Następne cztery lata spędził na przecinaniu wstęg. Jak można się było spodziewać,

praca zastępcy gubernatora polegała na nicnierobieniu i była więcej niż nudna, ale od samego początku traktował ją tylko jak przystanek na obranej trasie. Załatwiał różne sprawy, nie zapominał o działalności partyjnej i siedział z nosem w papierach. Jeśli jakiś Kiwanis Klub¹ w Duluth potrzebował mówcy do obiadu, jechał tam, opowiadał nad potrawką z kury parę dowcipów, emanując złotą poświatą zwycięzcy. Już mierzył do Senatu Stanów Zjednoczonych. Przyszłość wyglądała różowo. Niemal czuł jej zapach.

¹ Klub Kiwanis: międzynarodowe stowarzyszenie klubów zrzeszających przedsiębiorców i ludzi wolnych zawodów (przyp. tłum.).

W lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku Kathy powiedziała mu, że jest w ciąży.

Tej nocy John przytulił ją do siebie w łóżku. Powiedział jej, że są młodzi. Że mają mnóstwo czasu. Że są niedaleko szczytu, na który się pną, że już prawie tam dotarli, że jeszcze jeden wysiłek i będą mogli się postarać o całą gromadę dzieci.

Rano John umówił się telefonicznie.

Podpisali formularze.

Młoda piegowata lekarka wszystko im wyjaśniła i wysłała ich do poczekalni. Kathy kartkowała pisma, a John próbował skupić wzrok na oprawionej rycinie przedstawiającej pasące się bydło.

Kiedy pielęgniarka ją wywołała, Kathy obciągnęła spódnicę i wstała.

- No, dobrze - powiedziała. - Pilnuj mojej torby.

John popatrzył, jak wahadłowe drzwi sprężają powietrze po jej przejściu. Przez jakiś czas siedział wpatrzony w pasące się bydło. Co dziwne, poczuł, że zaczynają się smutki. To go zaskoczyło. Skierowanie myśli w inną stronę kosztowało go trochę wysiłku. Może parę telefonów. Sprawdzi, co u Tony'ego. Uniósł się i poszukał wzrokiem telefonu, ale jakaś osobliwa siła przygniotła go z powrotem do krzesła. Pomieszczenie nie wyglądało zbyt solidnie. Wydawało się bardzo rozchwierutane. Nagle John poczuł się, jakby wpadł do pudełka o lustrzanych ścianach. Podniósł oczy i zobaczył swoje odbicia w ścianach i suficie kliniki. Były to odbicia jarmarczne - pełne deformacji i dziwacznej perspektywy. Zobaczył małego chłopca, który robi sztuczki. Zobaczył zakochanego do szaleństwa studenckiego szpiega. Zobaczył żołnierza, męża i mężczyznę goniącego za publicznym stanowiskiem. Zobaczył siebie od podszewki i do góry nogami - chemię organiczną, skręcone chromosomy - i na moment zdał sobie sprawę, że jego równowaga wewnętrzna jest wątpliwa.

Wieczorem, przy kolacji, próbował opisać to doznanie Kathy. Było to przedsięwzięcie beznadziejne. Nie potrafił znaleźć właściwych słów. Oczy Kathy przeskakiwały z jednego

przedmiotu na drugi.

W pewnym momencie zaproponował, żeby poszli do kina.

- Do kina? - zapytała.

- Jeśli czujesz się na siłach.

Kathy spojrzała na niego bez wyrazu. Miała jasne, wijące się włosy, które lekko rzedły. Ich wspólne lata pozostawiły swe piętno w kącikach jej oczu.

- W porządku - powiedział. - Nie idziemy do kina.

Siedzieli w milczeniu. Była połowa lipca, ciepły i parny dzień. Przez dłuższą chwilę słyszeć było tylko szcęk noży i widelców.

- Kath - powiedział w końcu. Zamilkł na chwilę i dokończył: - Postąpiliśmy słusznie.

- Czyżby?

- Tak. To nie był właściwy moment.

- Moment - powtórzyła.

- W przyszłym roku możemy... Dobrze się czujesz?

Zamrugła oczami i spuściła wzrok na stół.

- Czy dobrze się czuję? Dobrze? Mój Boże, nawet nie wiem. A co to znaczy dobrze? - Odsunęła talerz. - Cholerne dziecko. Na niczym innym mi nie zależało.

- Wiem.

- O co więcej cię prosiłam?

- O nic.

- Powiedz. O co?

- O nic - powtórzył.

Przez następną godzinę w zupełnym milczeniu oglądali telewizję.

Potem Kathy trochę poprasowała i poszła z książką do sypialni.

John zgasił telewizor, kiedy było już dobrze po północy. Rozebrał się, wziął tabletkę seconalu i położył się na kanapie. W mieszkaniu roило się od dziwnych dźwięków. Kochał ją. Kochał ponad wszystko. Poczł działanie lekarstwa, zamknął oczy i odpłynął, oddając się we władzę luster w swojej głowie. Był zaskoczony i trochę przestraszony mnogością kątów, pod jakimi stały.

Nigdy o tym nie rozmawiali. Ani wprost, ani aluzyjnie. Jeśli ten temat przychodził im na myśl lub jeśli czuli jego obecność między sobą, ostrożnie kierowali rozmowę na bezpieczniejsze tory. Rozmawiali szyfrem albo po prostu milkli i czekali na zmianę nastroju. Ale w życiu obojga, choć dla każdego w inny sposób, zapanował uporczywy chłód. Czasami Kathy budziła się w nocy z płaczem. „To takie straszne”, mówiła, a John obejmował ją, robił

co mógł, a potem leżeli przez dłuższy czas w ciemności, milcząc, i zgadywali nawzajem swoje myśli. Nie wstydzieli się. Znali wszystkie powody. Wiedzieli, że to była pomyłka natury. Wiedzieli, że biologia nie powinna nimi rządzić, że i bez tego ich życie jest zdecydowanie zbyt skomplikowane, że nie są jeszcze gotowi, żeby przyjąć tę odpowiedzialność i obciążenia. Wszystko to rozumieli. Ale leżąc w ciemności rozumieli także, iż poświęcili ważną część siebie dla niepewnych obietnic przyszłości. Mieli poczucie winy, że postawili na złego konia. To także rozumieli i ciążyły im konsekwencje tej decyzji.

Osiemnastego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w sali balowej hotelu Hilton, oddalonego o sześć przecznic od Magicznego Studia Karry, John Wade ogłosił, że będzie kandydować w wyborach do senatu Stanów Zjednoczonych. Byli przy tym Kathy i Tony Carbo oraz rozradowane stadko dygnitarzy w garniturach w drobne prążki i wykrochmalonych niebieskich koszulach. Panował entuzjazm i pogodny nastrój. John miał nienaganny wygląd zwycięzcy. Musiał jeszcze przebrnąć przez prawybory, które mogły być trudne, ale sondaże dawały mu piętnastopunktową przewagę nad starym weteranem o nazwisku Ed Durkee, jego najgroźniejszym rywalem. Zwycięstwo Johna nie było jeszcze zupełnie przesądzone, ale widoki miał znakomite. Przez grubo ponad rok Tony składał elementy układanki w jedną całość i tego ranka w sali balowej stało się jasne, że jego wysiłki nie poszły na marne. Ludzie się uśmiechali. Żołnierze stali w szyku bojowym, uzyskano odpowiednie błogosławieństwa.

Przemówienie Johna było krótkie. Mówił o świeżym powietrzu i o nowych początkach.

Kiedy już było po wszystkim, pojechali w trójkę taksówką na drugi koniec miasta, do ekskluzywnej restauracji koło siedziby stanowego senatu. John i Kathy zamówili sałatki i wódkę z tonikiem, a Tony specjalność zakładu - pieczeń - i dwa kieliszki burbona. Kiedy podano drinki, Tony wstał i podniósł kieliszek. Był ubrany w swój zielony sztruksowy garnitur, świeżo odebrany z pralni chemicznej i przyciasny w ramionach.

- Za nowych senatorów - powiedział. - Za świeże powietrze i nowe początki. Za świeżą krew.

- Amen - dorzuciła Kathy i roześmiała się.

Położyła pod stołem dłoń na kolanie Johna. Restaurację wypełniała charakterystyczna dla północnej pory zbieranina czujnych lobbystów i protektorów. W tle sączyła się muzyka z Broadwayu.

- No, chyba wypłynęliśmy na pełne morze - powiedziała Kathy. - Konferencja prasowa poszła dobrze, prawda?

Tony zachichotał.

- Całkiem nieźle. Cztery ekipy telewizyjne, połowa redakcji „Star Tribune”. Nawet pan Goulet nie wypadłby lepiej.

- Kto?

- „Camelot”.¹ Właśnie go słuchasz. - Westchnął i złożył

¹„Camelot” - musical, którego premiera odbyła się w 1960 r, w Nowym Jorku (przyp. tłum.). dłonie na brzuchu. - Pan Ktoś. To tylko dowodzi, że musicie zadbać o swoją świeżość. Kathy uśmiechnęła się.

- Ale wszystko grało?

- Pewnie. Mężuś został gwiazdą.

- To dobrze. Bo miałam wrażenie... - Zawahała się i przesunęła dłonią po kolanie Johna. - Nie wiem, ale miałam wrażenie, że to, co mówił, było trochę puste. To wszystko. Niezupelnie złapałam, o co chodzi.

Tony puścił do niej oko.

- O zwycięstwo - odparł.

- Nie wierzę, że jesteś aż tak cyniczny.

- Nie?

- Nie.

- Rany Julek, zaintrygowałaś mnie. A jaki jestem? - W jego oczach pojawił się błysk. Dopił kieliszek burbona i wepchnął sobie serwetkę pod kołnierzyk. - No - mruknął.

- Powiedz mi coś miłego.

Kathy wzruszyła ramionami.

- Nie chodzi o nic szczególnego. Przyjąłeś taką absurdalną pozę, grasz cynika. A w głębi duszy jesteś takim samym biednym i smutnym marzycielem, jak my wszyscy.

- Aa, rozumiem. A my wszyscy to kto taki?

- Wszyscy. John i ja.

Przyniesiono Tony'emu pieczeń. Gestem zapytał, czy może zacząć jeść, nabił kartofel na widelec i z półuśmiechem podniósł na nią wzrok.

- John, mówisz? On marzycielem?

- Oczywiście.

- A skąd wytrzasnęłaś tę interesującą teorię?

- Znikąd - odparła Kathy. - Wyszłam za niego za męża.

Tony zerknął na Johna. Przez chwilę przeżuwał w zamyśleniu.

- Zgadza się, wyszłam za niego za męża. Naszemu kandydatowi trafił się prawdziwy lut

szczęścia. Dodałbym, że łut zdumiewający. Czy już wspominałem, że jesteś niesamowitą kobietą?

- Nie dość powściągliwie - odparła Kathy. - Chciałabym, żebyś mu się dał wypowiedzieć.

- Oo, naprawdę?

- Owszem.

- A na jaki temat? O czym taki kandydat może mieć ochotę mówić?

John uśmiechnął się. Był świadom dłoni Kathy na swoim kolanie.

- O różnych problemach - odparł. - Ale nie ma sprawy.

- Wyjaśnij mi to - poprosił Tony. - Poważnie. Umieram z ciekawości, jakie to pasjonujące problemy chodzą ci po głowie. Odpady nuklearne? Nowy plan wykorzystania izotopów?

- Daj spokój, stary, nie zaczynaj...

- Dobrobyt. Założę się, że ta sprawa nie daje ci spać po nocach. Pomoc uzależnionym dzieciom.

John poczuł, że jego krawat jest za ciasny. Odwrócił się do Kathy i spróbował nadać wargom bardziej zdecydowany wyraz.

- On ma chyba rację. Najpierw wybory, a potem będziemy się martwić o resztę.

- Rozumiem.

- To nie znaczy...

- Wygrywać i jeszcze raz wygrywać - powiedziała Kathy. - I to się nigdy nie skończy, prawda?

- Wcale nie to miałem na myśli.

- Wygrywać i wygrywać.

Tony Carbo przyglądał im się z leniwym uśmiechem.

- Niesamowite. Jestem zakochany w żonie szefa.

Dłoń Kathy usunęła się w bok.

Przez chwilę siedzieli, słuchając hałasów, szcęknięcia naczyń i odgłosów dobijania targu.

W końcu Tony odłożył widelec.

- Może się myłę - powiedział wesoło - ale mam wrażenie, że przy tym stole przydałby się powiew świeżego powietrza. Nasza dama ma oczywiście rację. To się nigdy nie kończy. Wygrywać, wygrywać i jeszcze raz wygrywać. Jesteś bardzo spostrzegawcza. Z drugiej strony istnieje coś takiego jak demokracja. Przynajmniej tak to nazywają ci wszyscy sympatyczni patrioci. Liczenie głosów i podział władzy. Po amerykańsku - wypróbowany i

sprawiedliwy sposób. Tylko że jest jedna dziwna sprawa. Te same przyjemniaczki strasznie się denerwują, jeśli ktoś na własną rękę wskakuje do okopów i próbuje sprawić, że coś zacznie działać. Ludzie robią się wtedy nieprzyjemni, zaczynają rzucać mięsem.

Tony się uśmiechał, ale jego zachowanie nie pasowało do tego uśmiechu. Opróżnił drugiego burbona i poszukał wzrokiem kelnera.

- Prawda jest taka, że jeśli nie masz tego w dupie - jeśli wypruwasz z siebie flaki, angażujesz się i widzisz w tym swoje życie - no to niech cię szlag, jesteś jeszcze jednym politycznym palantem. To zakrawa na ironię. Otaczają cię idioci, którzy mają się za świętszych niż ty. Jasie Obywatele. Te tępe skurwysyny nie potrafią zlokalizować własnego parlamentu stanowego bez pomocy Randa McNally'ego i Pastusia, psa-przewodnika. Oglądają trochę telewizyjnych wiadomości i mienią się dobrymi obywatelami. Może głosują raz do roku, ale prawdopodobnie nawet to nie. A tacy faceci jak ja to polityczni kanciarze. Jesteśmy bandą złodziei. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. Czoło pokrywały mu maleńkie kropelki potu. - Wszystko jedno. Pieprzę to - powiedział. - Jak chcą robić to lepiej, to mogą się odpiżdzić. Niech sobie biorą te cholerne stanowiska.

Kathy spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Hurra! Sam jesteś marzycielem. Więc może dałbyś szansę Johnowi?

- Ja?

- Na próbę.

Tony przyglądał się jej przez kilka sekund.

- Słodka Kathleen. Nie łapiesz, co?

- Nie łapię?

- Hierarchii ważności - powiedział i uśmiechnął się do Johna. - Smutna prawda jest taka, że jestem tylko wynajętym pistoletem. Jak chcesz politycznego kaznodziejstwa, to porozmawiaj z tu obecnym szefem.

- Nie rozumiem, co...

- Tu rządzi męzuś. I nie wydaje mi się, żeby był teraz specjalnie zapalony do słusznych spraw. On ma swoje priorytety - najpierw zwycięstwo, dopiero potem sprawy. Ale możesz go sama zapytać.

Kathy pokiwała głową.

Pociągnęła łyk drinka, zamknęła na chwilę oczy, a potem przeprosiła i poszła do damskiej toalety.

Tony patrzył za nią, dopóki nie zniknęła im z oczu.

- Apetyczny egzemplarz - powiedział.

- Nie musiałeś wyskakiwać z takimi żartami.

- Żartami?

- To nie było konieczne.

Tony wyszczerzył zęby w uśmiechu i otarł usta.

- Najmocniej przepraszam. Ona pewnie myśli, że jesteś czysty?

- Bo jestem.

- Oczywiście i bezwzględnie. - Tony wziął do ust kęs pieczeni i rozbawionym wzrokiem zlustrował salę. Przelykał dłuższą chwilę. - Dlatego, że tak chcesz. Po prostu ciut mnie zastanawia, że uporczywie milczysz na pewne nienazwane tematy.

- Takie jak?

- Nie psuj zabawy. Gdybym je wymienił, nie byłyby już nienazwane, prawda? Powiedzmy bum-bum.

- Gównu prawda - rzekł John. - To tylko domysły.

- Może i tak. - Tony zasalutował i pociągnął za wymagowany spust. - Ale nie częstuj mnie tym niemiłosiernym gównem. Żal mi tego biednego gnoja, który wejdzie ci w drogę, jak coś się nie uda. Naprawdę cholernie mi żal. - Poruszył porozumiewawczo brwiami. - Ciągle z siebie stary magik, co? Niektórych dupków nabierasz tylko od czasu do czasu, a innych stale. Ale nie uda ci się nabrać Tony'ego Carbo.

Odsunął talerz łokciem i pomachał ręką w kierunku przeciwległej ściany.

- Już jest, cała świeżo wypudrowana. To dziwne, wiesz? Ale gdybyś dał mi szansę, zrzuciłbym dla niej dwadzieścia pięć kilo. Nie żartuję.

XVIII Hipoteza

Po minięciu Wyspy Magnusona Kathy zwiększyła dopływ paliwa w evinrudzie i, kierując się nadal na północ, zostawiła w tyle American Point i Wyspę Bucketę. Trzymała kurs mniej więcej na zachód od Angle Inlet. Miała wokół siebie prawie wyłącznie otwarte jezioro, rozległe i błękitne. Łódź sunęła do przodu z głośnym, rytmicznym warkotem. Dziób zdecydowanie ciął fale. Czuła się już lepiej. Pomogło jej poranne słońce. Od czasu do czasu mijala małe wysepki, porośnięte lasem wzbijającym się bujnie nad linię brzegową i zupełnie dzikim, ale zbyt odizolowanym, by nadawał się do wyrębu drzew. W jej oczach wszystko wydawało się zbite i jędrne. Nawet woda wyglądała solidnie, i niebo, i jesienne powietrze. Jak ciało, pomyślała, jak tkanka jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia, stwora zbyt masywnego, by dał się objąć jej wielkomięskim umysłem. Wszystko wokół niej było gęste od koloru. Niekiedy dostrzegała jakąś opuszczoną chatę rybacką albo połamany pomost, ale okolica

stawała się coraz bardziej dzika. Kathy słyszała bieg własnych myśli. Nigdy więcej polityki, nigdy więcej. To już skończone. To już nic nie znaczy. Mniej niż nic.

Odchyliła się więc do tyłu i przekręciła zawór o ćwierć obrotu. Poddała się słońcu i prędkości. Był złoty październikowy dzień, świeży, rześki i nowy. Każda rzecz była częścią pozostałych rzeczy. Wszystko zlewało się w gładką, pełną powtórzeń jedność, drzewa, zatoki, woda i niebo - każdy element tego pustkowia był identyczny z resztą. Kathy wystawiła dłoń za burtę i zanurzyła ją w wodzie. Patrzyła, jak jej spieniony ślad nieustannie się zasklepia. Identyczność znosi tożsamość. Albo też jest samą tożsamością. Łatwo tu się zgubić, pomyślała.

I tak właśnie się stało. Być może.

Może jedność rzeczy sprawiła, że straciła orientację. Może Wyspa Bucketete nie była Wyspą Bucketete. Może pomyliła się o ułamek kilometra, może źle wyliczyła gradienty albo stopnie i nie trafiła na szlak prowadzący do Angle Inlet. Może marzyła albo zamknęła na chwilę oczy, albo wyciągnęła się, żeby wchłonąć trochę przyjemnego, porannego słońca. To jedna z możliwości. Nie było żadnego wypadku. Wystarczyła banalna, ludzka pomyłka, żeby bez cienia niepokoju płynęła dalej jeziorem i niebawem dostała się na wody kanadyjskie, w wielką krainę wysp i lasów, ciągnącą się ku północy na przestrzeni wielu setek kilometrów kwadratowych.

Przez ponad godzinę mogła nie zdawać sobie sprawy, jak bardzo zboczyła z trasy. Miała niewytrenowany wzrok. Na otwartej przestrzeni traciła instynkt. Nic nie wiedziała o kątach padania jesiennego słońca, nie umiała określić, gdzie jest rzeczywista północ, i nie miała pojęcia, jak szukać pomocy w naturze. Nie знаła podstawowych zasad poruszania się po lesie, mówiących, że w wypadku jakichkolwiek wątpliwości trzeba się zatrzymać, gdzieś schronić i czekać na pomoc.

Prawie na pewno próbowała znaleźć właściwy kierunek. Prawie na pewno zaczęła się w końcu rozpaczliwie kręcić w kółko.

Tak więc musiała tego ranka poczuć w pewnym momencie pierwsze delikatne ukłucie niepokoju. Za długo to trwa, pomyślała. Dwa razy pokonała wcześniej z Johnem drogę łodzią do Angle Inlet - zajmowało to raptem czterdzieści minut od przystani do przystani.

Spojrzała na zegarek. Oczywistym wyjściem było zawrócenie. Skierowanie łodzi na południe i wypatrywanie.

Była na szerokim, łagodnie zakręcającym szlaku, oskrzydłonym z dwóch stron przez cztery małe wysepki. Nie była pewna kierunku, więc zatrzymała się na chwilę. Otworzyła czerwony kanister z paliwem, napełniła silnik, po czym zawróciła łódź powolnym łukiem i

wzięła kurs na sosnowy zagajnik jakieś półtora kilometra w dół szlaku. Wietrzyk przybrał na sile. Nie był to jeszcze wiatr, ale fale na jeziorze urosły, a na szyi i ramionach czuła ostre ukąszenia powietrza. Nie rozlegał się żaden dźwięk z wyjątkiem odgłosu zardzewiałego, starego evinrude'a.

Kathy zapięła sweter. Nie ma sprawy, pomyślała. Wystarczy połączyć punkty w przestrzeni.

Potem przez z górą godzinę płynęła na południowy wschód. Sunęła przez bujną, przepiękną krainę, w której wszystko zostało pomalowane na niebiesko i zielono, a silnik wydawał monotony warkot, co dodawało jej otuchy. Odpowiednia historia na kolację. Niebezpieczeństwo i wielka przygoda. Może dostarczy Johnowi parę tematów do przemyśleń. Na przykład hierarchia wartości w jego życiu, miejsce w niej małżeństwa i fakt, że ryzykuje przegranie czegoś więcej niż wyborów. Można tracić na wiele sposobów - takich, które nigdy nie przyszły mu do głowy - i ona mu o tym powie.

Mrucząc do siebie pod nosem, Kathy poprawiła ustawienie rumpla i zaczęła układać jadłospis kolacji - dwa duże steki, sałatka i zimne piwo. Zastanawiała się, jak opisać wszystko, co ją tu spotkało. Wyłudzi trochę współczucia. Dla odmiany skupi jego uwagę na sobie.

Ta myśl ją pokrzepiła. Oczyma wyobraźni już widziała szczęśliwe zakończenie.

Po dwudziestu minutach szlak rozwidlił się przed dużą skalistą wyspą, zwęził na jakieś półtora kilometra, a potem rozpadł na trzy mniejsze, ginące w drzewach szlaki. To miejsce wydało się jej jednocześnie znajome i obce. Pod wpływem impulsu wybrała środkowy szlak i przez pewien czas, który zdecydowanie za bardzo jej się dłużył, płynęła w tunelu sosen i zarośli. Co jakiś czas szlak się rozszerzał, otwierając na śliczne małe zatoczki, po czym znów szczelnie zamykał. To wygląda jak rzeka, pomyślała, tylko że nie płynie. Woda pod nią sprawiała wrażenie czegoś statycznego i bezcelowego, pozbawionego realności, która byłaby czymś więcej niż tylko mglistym związkim z resztą świata - jak jej małżeństwo.

O dziwo, wcale nie czuła lęku. Uświadomiła sobie, że ta sytuacja prawie jej odpowiada. Wydawała się sobie samej silna i zręczna. Czuła taki sam spokój jak w chwili otwierania nowej krzyżówki - tyle nieubłaganej geografii, z którą trzeba się uporać; ustalony diagram, pełen ukrytych związków i ukrytych znaczeń. Lubiła odkrywać tajemnice, znajdować rozwiązania. Od ponad dwudziestu lat zaczynała dzień od krzyżówki i filiżanki kawy. Przywykała do dziennego światła, z przyjemnością witając miękkie uczucie rozkwitania, które wypełniało jej kości, gdy bryły przestrzeni nabierały nagle klarowności i

charakteru. To było coś więcej niż przyzwyczajenie, miała to w genach. Już jako dziecko żyła w świecie układanek, w którym powierzchnie przypominały maski, w którym najzwyklejsze przedmioty zdawały się uporczywie żyć własnymi smutkami i pragnieniami. Pamiętała, że wielu przedmiotom nadawała sekretne nazwy, że prowadziła rozmowy z krzesłami i drzewami. Owszem, to było osobliwe, ale nie umiała się opanować. Zawsze wydawało się jej niewiarygodne, że światu może być obojętne jego własne istnienie, i choć już dawno rozczarowała się do kościołów, nie opuszczała jej wiara w jakiś fundamentalny czynnik sprawczy pod powłoką rzeczywistości, w przejaw świadomości, który można uchwycić poprzez akty ludzkiego współczucia.

Na przykład taki John, pomyślała. Pod płaską, szarą powierzchnią jego gałek ocznych kryje się tyle smutku. Co za ulga, że się od tego oddaliła.

Szlak rozszerzył się i ukazał połąć otwartej, lodowato wyglądającej wody w kolorze głębokiego błękitu. Mrużąc oczy, Kathy spojrzała na słońce, by ocenić, ile dnia jej jeszcze zostało. Do zmroku ma jakieś pięć godzin. Angle Inlet musi być na południu, trochę w prawo. Pewnie widać je jako jedną z ciemniejszych plam na południowym zachodzie.

Przytaknęła sobie głową, powiedziała: „Dobrze, w porządku” i wzięła kurs na południe lub raczej na coś, co uważała za południe, co jakiś czas sprawdzając kierunek według położenia słońca. Dzień był słoneczny i wietrzny. Na wschód sunął sznur lekkich, białych obłoków. Przykręciła zawór i przez ponad dwie godziny przecinała pasmo srebrzystych zatok i jezior, które ciągnęły się jedno za drugim aż po horyzont. Nie było wokół żadnych chat ani łodzi. Wzdłuż brzegu kiwały się z wiatrem na boki gęste kępy wierzb. Od czasu do czasu wzbijały się w powietrze stada kaczek i nurów, ale przeważała monotonia lasów i wody. Po jakimś czasie Kathy poczuła, że ogarnia ją pełne zubożenia lenistwo, jakby coś się zatrzaśniało. W pewnym momencie zorientowała się, że śpiewa stare piosenki z przedszkola. Trochę później roześmiała się na wspomnienie jednego ze sprośnych dowcipów Harmona - o wiewiórce ziemnej, o głuchym nosorożcu. Przeszyło ją kłujące poczucie winy. Nigdy nie kochała tego człowieka, daleka była od tego, ale mimo to wstydziła się tamtych wydarzeń. Wyobraziła sobie jego nagi biały tors i palce - zadziwiająco grube i serdelkowate jak na kogoś, kto żyje z leczenia zębów. Trudno uwierzyć, że kiedyś coś do niego czuła.

Dość tego, pomyślała. Daj spokój.

Trudno jej było jednak skoncentrować się na prowadzeniu łodzi. Nad jej głową płonęło pozbawione żaru, wielkie blade słońce. Dzień z wolna przechodził w zmierzch.

Jej umysł także.

- Harmonie, Harmonie - powiedziała.

Pięć minut później skończyła się jej benzyna. Nagła cisza zaskoczyła ją. Mimo wiatru popołudnie wydawało się niezwykle puste. Łódź kołysała się na falach trzydzieści metrów od kolejnej zadrzewionej wysepki.

Przez jakiś czas Kathy siedziała bez ruchu. W gruncie rzeczy najbardziej potrzebowała drzemki. Powinna zwinąć się w kłębek i poczekać, aż fale ukołyszają ją do snu. Ale zamiast tego uklękła, otworzyła czerwony kanister i ostrożnie dołała benzyny do zbiornika evinrude'a. Dobrze przynajmniej, że była przewidująca i zabrała zapasowe paliwo. Teraz najważniejsze, żeby go nie zmarnować. Musi płynąć ze stałą prędkością i prostymi liniami, od punktu do punktu. Zamknęła oczy i potrząsnęła kanistrem. Doszła do wniosku, że zostało jeszcze jakieś piętnaście litrów. To mnóstwo. Powiedziała na głos: „Mnóstwo”, po czym pochyliła się i pociągnęła za linkę. Evinrude wydał z siebie anemiczne stęknienie. Spróbowała jeszcze raz, potem dwa razy, ale bez skutku.

Bądź dobrej myśli, powiedziała do siebie w duchu. Dobre dziewczynki są dobrej myśli. Chwyliła linkę obiema rękami, zapała się i mocno szarpnęła do tyłu.

Rozległo się krótkie kaszlnięcie. Evinrude zakrztusił się i chwycił.

Kathy dodała trochę gazu. „Dobre dziewczynki są dobrej myśli”. Było to jedno z przysłów, które jej drużynowa wycinała z pism metodystów i recytowała dziewczętom, by wbić im do głowy uczciwość. Ta staruszka - pani Brandt - sypała banałami jak z rękawa. Miała sentencję na każdą okazję: urodziny, menstruację, pierwszą miłość.

Kathy zawróciła łódź na otwartą wodę. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

„Żadnych dąsów, żadnych wahań, bo harcerka nie ma stracha”.

Tylko że teraz było jej trudno pozbyć się obaw. Cienie wydłużały się błyskawicznie, a powietrze wypełniał ostry, metaliczny zapach zimy. Może jakaś zmiana w powłoce ozonowej. Pani Brandt miałyby na podorędziu wszelkie fachowe wyjaśnienia. „Zabłądziłaś? Trudna rada. Położenie mchu wybadaj. Leży zawsze od północy, a więc w drogę, gdzie masz oczy?”

Minęło prawie dwadzieścia minut, zanim przepłynęła otwartą przestrzeń. Tym razem żaden szlak nie prowadził na południe. Na przedzie majaczyła niewyraźna, lekko pofalowana linia brzegowa zlepiona ze skał i sosen. Jak wzrokiem sięgnąć rozciągała się przed łodzią długa, zielona ściana. Kathy zredukowała gaz i zaczęła wolno płynąć wzdłuż brzegu, próbując wymyślić właściwy plan działania. Nie przychodziło jej do głowy nic sensownego. Spojrzała na gęsty las, a potem w niebo. Fakty były oczywiste. Zabłądziła i jest zupełnie sama. A świat rzeczy nie ma własnego zdania. Drzewa nie mówią. Za chmurami nie kryje się niczyja twarz. Nie ma praw natury, tylko sama natura. Taka jest prawda, powiedziała sobie w duchu, więc

mogę sobie robić, co mi się podoba.

Zawróciła łódź i popłynęła wzdłuż brzegu w kierunku, który uznała za grubsza za zachodni, wypatrując szlaku na południe. Dzień pograżył się w upiornej szarości. Była pod wrażeniem ogromu zjawisk - tyle wody, nieba i lasów. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że żyła niemal wyłącznie w czterech ścianach. Jej wspomnienia ograniczały się do wnętrza, ich granice wyznaczały sufity i gipsowe białe ściany. Całe jej życie było zamknięte w geometrii: w podmiejskich czworobokach, w kwadratach parków. Najpierw w domu, gdzie się wychowała, potem w akademikach i mieszkaniach. Otwarta przestrzeń była dla niej tylko obszarem tranzytu, miejscem umożliwiającym istnienie pokoi.

Kathy zamknęła oczy i przez krótką chwilę czuła, że się rozplacze. Ścisnęło ją w gardle. „Nie bądź idiotką - powiedziała do siebie. - Wymyśl coś, do cholery”. Ruszyła wzdłuż krętej linii brzegu i przez dłuższy czas płynęła na wolnych obrotach, patrząc, jak słońce opada za drzewa na wprost niej. Wiatr się ochłodził. Przepłynęła między dwoma maleńkimi wysepkami, skręciła na północ, by wyminąć skalisto-piaszczysty cypel, po czym skierowała się na zachód, ku szerokiej płaszczyźnie wzburzonej wody. Przez ponad godzinę nic się specjalnie nie zmieniło. Była na pełnym pustkowiu, gdzie wszystko jest ze sobą splątane. Oceniała, że w najlepszym wypadku zostało pół godziny nadającego się do wykorzystania dziennego światła, dwadzieścia minut bezpieczeństwa. Zawahała się, po czym ruszyła na lewo, ku niedużej wyspie o kopulastym kształcie. Nie mam wyboru, pomyślała. Przebiegnę trochę. Potem zacznę od nowa.

Trzydzieści metrów od brzegu wyłączyła silnik. Zmrok zapadał szybko.

Mała wysepka zdawała się unosić przed nią na falach w fioletowym zmierzchu, częściowo przesłonięta gąszczem wierzb i trzciny. Odwiązała pagaje, włożyła je do dulek i zaczęła wiosłować ku czemuś, co wyglądało zza trzciny jak wąski pas plaży. Było to bardziej wyczerpujące niż myślała. Fale odwracały łódkę i już po kilku ruchach poczuła tępy ból w szyi i ramionach. Wysiłek wyczerpał ją. Dwa razy zniosło ją w trzciny, musiała się więc wycofać i zdecydować na podejście pod innym kątem. Przy trzeciej próbie zrezygnowała i wciągnęła wiosła do łodzi. „Pieprzę to - powiedziała - nie jestem dzieckiem”.

Zdjęła tenisówki i dzinsy, przeszła na rufę i wskoczyła do wody, która sięgała jej powyżej kolan. Skóra natychmiast ścierpła jej z zimna. Na połę brnąc po dnie, a na połę płynąc, chwyciła łódź od tyłu i przepchnęła ją przez zaporę z wierzb na wąską plażę. Przymocowała łódź do wielkiej brzozy, a potem położyła się na piasku, głęboko oddychając. Przyjemnie było znaleźć się na lądzie.

Zapadła już prawie zupełna ciemność. Jest szósta, zawyrokowała Kathy.

Przez kilka minut leżała, wsłuchując się w dobiegające ją dźwięki, odgłos fal i nocnych owadów, a potem wstała, zdjęła figi i wyjęła je. W łódce znalazła kawałek ceraty, którym się osuszyła. Włożyła dzinsy, odgarnęła do tyłu włosy i skorzystała z ostatnich strzępów zmierzchającego światła, żeby przeprowadzić inwentaryzację swoich zasobów. Nie było tego dużo. Żadnych zapalek ani latarki. Nic do jedzenia. Miała kamizelkę ratunkową, którą teraz włożyła, żeby się ogrzać, portmonetkę, paczkę cukierków, skrzynkę bosmańską, trochę chusteczek higienicznych, benzynę, dwa wiosła i łódź. W kieszeniach swojego ubrania znalazła grzebień i kilka monet.

Wciągnęła łódź głębiej na piasek i podparła rufę kilkoma kamieniami.

W gruncie rzeczy to nie była plaża, tylko piaszczysty próg, który kształtem przypominał grot strzały, miał u podstawy szerokość dwunastu-piętnastu metrów i zwężał się ku jezioru. Tam, gdzie próg łączył się z resztą wyspy, Kathy dostrzegła długie, ciemne pasmo gęstego lasu.

Klasnęła w dłonie. „No, chodźmy” - powiedziała, co dodało jej otuchy. Szybko zbliżyła się do linii drzew, zebrała naręcze sosnowych gałęzi i zaniósła je na plażę koło łodzi. W ciągu pięciu minut miała materac. Przykryła go ceratą i usiadła. Nie jest źle, pomyślała. Do świtu nic więcej nie mogę zrobić. Wyjęła cukierek, oparta się o łódź i podniosła wzrok na jasny, żółty księżyc, który wstawał znad sosen na północy. Nie umrze z głodu. W jeziorze jest mnóstwo ryb. Grzyby, jagody i różne różności.

John, pomyślała, pewnie właśnie organizuje poszukiwania. Helikoptery i reflektory. Cała armia trwoniących słowa harcerek.

Jakoś to będzie.

Jest silna. Ma mocne zdrowie i jest inteligentna.

Tak, rano wyjmie skrzynkę bosmańską, trochę połowi i będzie miała duże, pyszne śniadanie. Jakoś rozpali ogień. Potem poszuka szlaku na południe. Będzie płynąć, dopóki ktoś jej nie znajdzie albo dopóki nie trafi bez pudła na ląd w stanie Minnesota.

To przecież proste, pomyślała. Jak dwa razy dwa.

Kathy włożyła ręce do kieszeni kamizelki ratunkowej. Przez chwilę wsłuchiwała się w szum fal i szmer drzew. Potem złapała się na tym, że myśli o Johnie. O pewnym sylwestrze w czasie studiów, kiedy to poszli tańczyć do „Zakrętki” na Hennepin Avenue. Przypomniała sobie, jak na nią patrzył - bez żadnych sztuczek. Po prostu młody i zakochany. Może i sentymentalny, ale to była jedna z tych chwil, kiedy wszystkie tajemnice świata zdają się zagęszczać w coś zwarte. Mimo otaczających ich ludzi, mimo perkusji i gitar byli sami w swojej malej bańce mydlanej. Właściwie nie tańczyli, tylko poruszali się i uśmiechali

uśmiechami z samego wnętrza. W pewnym momencie objął dłońmi jej głowę. Położył kciuki na jej powiekach. „Boże, ależ ja cię kocham” - powiedział, a potem zrobił ręką ledwo zauważalny gest, jakby chciał coś wypuścić, i wyszeptał: „Jesteś dziewczyną z moich snów”.

Nigdy nie odkryła, co wypuścił z ręki tamtej nocy. Może siebie samego. A może jakąś część siebie.

Nie miało to jednak znaczenia. Bo rano znów stał pod jej akademikiem, znów grał w swoją starą gierkę. Po tylu latach nic się właściwie nie zmieniło. Tajemnice i szpiegowanie nigdy się nie skończyły, a przynajmniej nie na długo, i czasami czuła nieprzewartą potrzebę oddzielenia się od niego, zniknięcia.

W końcu tak się stało.

Ta historia z Harmonem... to nie była miłość.

Ani namiętność, ani romans, tylko potrzeba ucieczki. Do kogoś miłego i przyzwoitego.

Kathy wsunęła brodę pod kamizelkę ratunkową i zamknęła oczy.

Miłość to nie wszystko. Taka jest prawda. Najsmutniejsza ze wszystkich.

Przytuliła się do łodzi.

Rano zacznie od nowa. Zorganizuje coś do jedzenia, napełni zbiornik benzyną i zobaczy, co przyniesie dzień. Od nowa, pomyślała.

XIX O tym, co znaleziono

Wcześniej rano następnego dnia, dwudziestego pierwszego października, w zorganizowanych poszukiwaniach brało już udział blisko stu ochotników, trzy samoloty stanowej policji, dwie łodzie patrolowe policji prowincji Ontario i samolot Patrolu Granicznego USA wyposażony w urządzenia badające zgodność terenu z mapą i noktowizyjny wykrywacz ciepła firmy General Electric. Na jeziora wypłynęło ponad trzydzieści prywatnych łodzi; w drodze z Warroad i Baudette były kolejne. Strefa poszukiwań obejmowała ponad sześćset mil kwadratowych jezior i lasów.

Nie znaleziono absolutnie nic.

Ani łodzi, ani ciała.

John Wade prawie całe przedpołudnie spędził przy telefonie. Claude i Ruth Rasmussenowie odgrywali na zmianę rolę sekretarza, eliminując donosicieli, ale i tak Wade nie potrafił przywołać w wyobraźni twarzy wszystkich ludzi, do których coś bredził. Czuł się zmęczony i bezradny. Tuż przed północą zadzwoniła z International Falls siostra Kathy z wieścią, że przyleci hydroplanem o pierwszej.

Rozmawiała z nim oschłym, niemal opryskliwym tonem.

- Byłoby dobrze, gdyby ktoś po mnie przyjechał - powiedziała. - Oczywiście, jeśli to nie kłopot.

- O pierwszej - powtórzył Wade.

- Jakież nowiny?

- Żadnych. Cały czas mówią, żeby trzeba być cierpliwym.

W słuchawce rozległo się buczenie, po czym Pat powiedziała: „O Chryste” i przerwała połączenie.

Wade wziął prysznic, włożył czyste ubranie i pojechał do odległego o dwadzieścia minut drogi miasta. Znów był pogodny, prawie upalny dzień. Drzewa wzdłuż drogi mieniły się rozświetloną czerwienią i złotem. Co jakiś czas po prawej stronie prześwitywało - jezioro, co przypominało mu twarz Kathy, ale powiedział sobie, że dosyć tego. Rozmyślenia nic tu nie pomogą. Ani jemu, ani nikomu innemu. Droga wyprostowała się i wybiegła na otwartą przestrzeń. Wade usiłował przygotować się na spotkanie z Pat. Ich kontakty cechowało napięcie, które nigdy nie słabło. W najlepszym wypadku chłodna uprzejmość. Od samego początku, jeszcze w czasach studenckich, Pat bezustannie lustrowała go lodowatym, badawczym wzrokiem, przeszywała swymi płomiennymi, błękitnymi oczami, wypatrując różnych niedociągnięć. Po części wynikało to z generalnego braku zaufania do mężczyzn. Miała za sobą dwa małżeństwa i długi łańcuch przyjaciół, z którymi mieszkała. Cztery lata temu zadzierzgnęła bliższą znajomość z trenerem z modnej siłowni w St Paul. Po trenerze dawno ślad zaginął, ale Pat była teraz właścicielką tej siłowni i trzech innych na przedmieściach. Był to jedyny związek, który dobrze się dla niej skończył - kwitującym interesem i ciałem nie do pogardzenia. Ciężki przypadek, pomyślał Wade. Teraz sztuka polega na tym, żeby utrzymać między nimi bezpieczną odległość, zachowywać się uprzejmie, ale z dużym dystansem.

Wjechał na zwirowaną zatoczkę na zapleczu stacji Texaco Pearsona. Zaparkował i wysiadł z samochodu. Art Lux siedział nad dwiema radiostacjami.

Szeryf wstał, nalał kawy do kubka z plastikowej pianki i podał go Wade'owi.

- Nie powiem, żebyśmy mieli cholernie dużo do przekazania - rzekł. - Ciągle szukamy. Kupa jeziora jest do sprawdzenia. Siądzie pan?

- Na chwilę. Jakie są plany?

- Nic odkrywczego. Szukać. - Lux wskazał na przypiętą do ściany dużą mapę topograficzną. - Cały ten teren mamy pod obserwacją. Sprawdziliśmy ośrodki wypoczynkowe. Wszystkie są pozamykane o tej porze roku, nic tam nie znaleźliśmy. Nasza

wielka niewiadoma to benzyna. Zależy, ile jej ma, jak jej używa. Te małe skubańce evinrude'y potrafią chodzić bez końca na nędznej łyżce paliwa.

Wade pokiwał głową. Spojrzał na Luxa, który nalał sobie pół kubka kawy i usiadł naprzeciw radiostacji. Szeryf był ubrany w swój szary kombinezon pracownika mleczarni. Na głowę nasadził zieloną czapkę z napisem „Cargill”.

- Jakoś się pan trzyma, prawda?

- Jako tako. O pierwszej przylatuje siostra Kathy.

Lux uśmiechnął się z aprobatą.

- Miło mi to słyszeć. Człowiek potrzebuje towarzystwa.

- Owszem, ale to i tak nic nie...

- Proszę się nie gniewać, że to mówię, ale taka historia odsuwa wszystko inne na plan dalszy. Pokazuje, co jest ważne, a co nie. Politykę i inne sprawy. - Lux zerknął na radiostację, a potem opuścił wzrok na betonową podłogę. - To może bez znaczenia, ale ja głosowałem na pana. Postawiłem przy pana nazwisku wielki, ogromny krzyżyk.

Wade wzruszył ramionami.

- Jeśli liczyć mnie, było nas dwóch.

- Zasłużył pan na coś lepszego.

Spojrzeli na siebie z czymś na kształt zainteresowania. Ani przyjaznego, ani też wrogiego. Lux założył ręce na kark i odchylił się na oparcie krzesła.

- Powinienem być z panem całkiem szczery. Vinny Pearson uważa, że pan... jak to powiedzieć? Uważa, że nie o wszystkim pan mówi.

- Vinny się myli.

- Naprawdę?

- Tak - odparł Wade. - Kocham swoją żonę.

- Ma się rozumieć. Ja to widzę. Tylko że Vinny mówi, że pan powinien jej szukać. Cały czas o tym klepie... „Ten facet nawet jej nie szuka”. To jego własne słowa.

- Serio?

- Tak.

- W takim razie - rzekł Wade - niech pan mu powie, żeby się odpiardolił. To moje własne słowa.

Szeryf uśmiechnął się szeroko.

- O, to, to, dlatego na pana głosowałem. Za te jaja z pieprzem. Ale dam panu radę. Może by pan trochę odetchnął świeżym jeziornym powietrzem.

- No, dobrze. Zrobię to.

Wade spojrzął na zegarek i odwrócił się w kierunku drzwi.

- Jeszcze jedno - powiedział Lux. - Jak będzie pan miał okazję, proszę tu przywieźć tę siostrę. Chodzi o parę prostych pytań.

Kiedy Wade wyszedł na zewnątrz, dochodziła pierwsza. Minął budynek poczty, skręcił i poszedł do suchego portu za Mini-Martem Arndahla. Był zavalony drutem kolczastym, gnijącymi rupieciami i kilkunastoma starymi łajbami w różnym stadium rozkładu. Przy samej wodzie znajdowała się tablica z żółtym odręcznym napisem: „Przystań miejska”. Okolica sprawiała wrażenie wymarłej - żadnych samochodów ani ludzi.

Wade wszedł na jeden z drewnianych pomostów i spojrzął przez zatokę w kierunku czarnego lasu na horyzoncie. Ból głowy wrócił. Zdecydowanie za dużo gorzały. Czas na pewne reformy, powiedział sobie. Na pozytywne podejście do życia. Pożegna się z alkoholem i weźmie w garść. Od jutra, pomyślał. Na pewno.

Piętnaście po pierwszej z pluskiem wylądował hydroplan. Osiadł na pontonowym podwoziu i skierował się w stronę pomostów. Pat wysiadła pierwsza. Nie mógł jej nie poznać - była wyższą, bardziej umięśnioną kopia Kathy. Miała na sobie czerwoną obcisłą bluzkę bez rękawów, czarne dżinsy i białe trampki. Już z daleka jej ramiona połyskiwały jak nowe miedziane tulejki.

Kiedy ich policzki się zetknęły, Wade poczuł dziwną nieśmiałość.

- Wciąż nic - powiedział. - Pomogę ci.

Wziął walizkę Pat i zaprowadził ją do samochodu. Szybko wyrzucał z siebie słowa, próbując streścić poczynania Luxa. Czuł się niezręcznie i miał kołek zamiast języka.

Pat wyglądała na rozkojarzoną.

- Żadnych śladów?

- Żadnych. Przynajmniej na razie.

- Ile to czasu minęło?

- Dwa dni. Może trochę więcej. - Wypróbował jeden ze swoich uśmiechów. - Pogoda jest całkiem przyzwoita, więc odpada nam jeden powód do niepokoju. Pewnie nic jej się nie stało.

- Cholera.

- Prawie na pewno.

Pat wsiadła do samochodu, zapięła pas i założyła ręce na piersiach. Przez pierwsze dwa, trzy kilometry patrzyła prosto przed siebie.

- Dwa dni - powiedziała wreszcie. - Mogłeś zadzwonić trochę wcześniej. Fakt, że dowiedziałam się o tym z telewizji, nie sprawił mi szczególnej frajdy.

- Nie wiedziałem, czy... Myślałem, że ona zaraz wróci.

- To moja siostra.

- Przepraszam. Masz rację.

- Cholernie dużo racji.

Pat nerwowo zmieniła pozycję. Przez resztę drogi właściwie nic nie mówili.

Kiedy dojechali do domku, Wade zaparkował koło werandy i wniósł walizkę Pat do środka. Wewnątrz unosił się stęchły zapach niezamieszkanego pomieszczenia, wilgotny i duszny. Na stole w kuchni leżała wiadomość od Claude'a i Ruth, że pojechali przywieźć jakieś rzeczy i wrócą za godzinę.

Pat pociągnęła nosem i zrzuciła trampki.

- Wezmę prysznic - powiedziała - a potem porozmawiamy.

- Jesteś głodna?

- Może troszkę.

Wade zaprowadził ją korytarzem do wolnej sypialni, wygrzebał czysty ręcznik, po czym wrócił do kuchni i otworzył puszkę zupy minestrone. Spróbował wyobrazić sobie szczęśliwe zakończenie tej historii. Telefon od Luxa. Kathy otwiera drzwi i wchodzi. Uśmiecha się do niego i pyta, co jest na obiad.

Fantazje nie poprawiły mu humoru.

Przełał zupę do rondla, wyjął chleb i masło. Słyszał dobiegający z głębi korytarza odgłos lejącej się wody.

Teraz, pomyślał, najważniejsza jest ostrożność. Prawie na pewno Kathy zwierzyła się Pat z niektórych rzeczy. To może być problem. Poza tym w jej wzroku jest jakaś uraza, podejrzliwość, czy jak to nazwać.

Zamieszał zupę.

Przez chwilę stał w zupełnym bezruchu, płynąc tu i ówdzie w powietrzu. Za dużo tu luk, za dużo zamąceń pamięci. Jego wzrok padł na żelazny imbryk. Pod wpływem nagłego impulsu chwycił go, wyniósł na dwór i wrzucił do śmietnika.

Kiedy wrócił, Pat siedziała przy stole w kuchni. Była ubrana w luźne niebieskie szorty i koszulkę z nadrukiem „University of Minnesota”. Włosy miała mocno ściągnięte do tyłu.

Wade postawił dwie miski zupy.

- No, dobrze - rzekła. - Opowiadaj.

Była zainteresowana przede wszystkim praktyczną stroną całej historii - zdrowiem Kathy, przebiegiem poszukiwań, stanem łodzi - i przez następne pół godziny Wade starał się z całego sił udzielać krótkich, rzeczowych odpowiedzi.

Łódź, zapewnił, jest absolutnie sprawna. Kathy nie ma żadnych problemów zdrowotnych. Akcja poszukiwawcza jest prowadzona dobrze i profesjonalnie.

Nie idzie tak źle, pomyślał, chociaż łatwo też nie jest.

Czasami dostrzegał kielkujące w jej spojrzeniu wątpliwości, cały bagaż osobistej niechęci, więc poczuł ulgę, kiedy wstała i poprosiła, żeby poszli do hangaru. Sprowadził ją ze zbrocza, otworzył dwuskrzydłowe drzwi i usunął się na bok. Spojrzała na podłogę z ubitej ziemi. Przez chwilę nie odzywała się.

- To bez sensu - powiedziała wreszcie. - Czegoś tu nie pojmuję.

- Nie pojmujesz?

- Tamtego dnia. Dokąd ona popłynęła?

Wade odwrócił wzrok.

- Trudno powiedzieć. Chyba do miasta. Albo może... nie wiem... może na wycieczkę.

- Na wycieczkę?

- Może.

- Bez powodu?

Wade wzruszył ramionami.

- Nie potrzebowała powodów. Czasami wypuszczała się gdzieś bez... Po prostu wstawiała i wychodziła.

- Niezupełnie. Miała powody, i to dużo.

- Szczerze mówiąc...

- Aż nadto powodów.

Pat odwróciła się, wyszła na dwór i stanęła nad brzegiem jeziora, obejmując się ramionami. Po paru minutach Wade podszedł do niej.

- Nic jej nie będzie - powiedział. - Wszystko się wyjaśni.

- Mam przeczucie...

- Załatwię jutro Łódź. Wypłyniemy i pomożemy w poszukiwaniach. Lepsze to niż bezczynność.

- To prawda - odparła.

Stali, wpatrując się w jezioro. Pat pochyliła się, nabrała w dłonie wody i ochlapała twarz.

- O Boże - powiedziała. - Boję się.

- Wiem.

- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam... Sama nie wiem, wydawała się taka szczęśliwa. Miałam wrażenie, że wreszcie się rozluźniła i może stawić czoło życiu.

- Szczęśliwa? - zapytał Wade.

- Dlatego, że to się wreszcie skończyło. Ta cała polityka.

- Nie wiedziałem.

- A powinienes. - Pat zamilkła na chwilę, po czym westchnęła i wsunęła mu dłoń pod ramię. Ten gest zaskoczył go: mało brakowało, a byłby się odsunął.

- Nie odpowiada ci? - zapytała. - Kontakt fizyczny?

- Jestem tylko zdziwiony.

- No, myślę. Chodź, pospacerujmy trochę. Nie zaszkodzi rozprostować nogi.

Przeszli jakieś pół kilometra leśną drogą, a potem skręcili na południe w krętą ścieżkę, która prowadziła przez gęsty las w kierunku strażackiej wieży obserwacyjnej. W powietrzu czuło się zapach jesieni, intensywny i liściasty, ale popołudnie miało w sobie jakąś łagodność i niemal jedwabistą miękkość, charakterystyczną dla pełni lata. Przeszli przez starą kładkę i ruszyli wzdłuż strumyka, którego spienione wody płynęły w lewo. Wade mimo woli lustrował wzrokiem krzaki. Od chwili, gdy zamieszkali w domku, Kathy chodziła tą trasą prawie codziennie, stąpała po tej porowatej ziemi. Ogarnęło go uczucie, że ona jest gdzieś blisko. Może obserwuje go zza sosen. Gra w jakąś upiorną grę o jego życie.

Po dwudziestu minutach doszli do wieży. Zielono-biały znak służb leśnych ostrzegwał przed wejściem na ten teren.

- Ładne miejsce - powiedziała Pat. - Bardzo majówkowe.

Usiadła na plamie słońca, przyglądała mu się przez chwilę, po czym ziewnęła i wystawiła twarz do słońca.

- Jestem taka zmęczona - rzekła. - Potwornie, potwornie zmęczona.

- Możemy wracać.

- Zaraz. Jeszcze trochę.

Wade położył się w cieniu. Las zdawał się obmywać go jak woda, bujny i giętki. Zamknął oczy i dał się ponieść płynięciu. Znajomemu uczuciu łaskotania. Było w tym popołudniu coś, dzięki czemu łatwiej mu się oddychało - może łagodne jesienne powietrze albo zapach sosen. Napłynęły przyjemne wspomnienia. Śmiech Kathy. Widok żony śpiącej na boku z kciukiem przy nosie. To, że zjadała dziennie pięć, sześć paczek dropsów. Tyle rzeczy. Tyle dobrych rzeczy. Pamiętał, jak chodzili w czasach studenckich tańczyć. Patrzyła na niego tak, że kręciło mu się w głowie z radości, że czuł się absolutnie pełny, absolutnie pusty.

Radość. Taka była prawda.

A teraz jej miejsce zajęło coś innego. Ambicja i stracony czas. Wszystko, co dobre, gdzieś się zgubiło.

Przez chwilę poddawał się narastającemu poczuciu winy. Potem usłyszał, że Pat siada i odchrząkuje. W lesie za ich plecami stukał jakiś dzięcioł.

- John?

- Tak:

- Nic. Nieważne. - Upłynęło kilka minut. - Wiesz, o czym cały czas myślę? Że ona jest takim dobrym człowiekiem. Po prostu dobrym.

- Wiem.

- W miłości też. Ona za tobą szaleje.

- To było wzajemne.

Pat potrząsnęła głową.

- Jak mała dziewczynka, cała w zasupłanych kokardkach. Nawet nie potrafiła pomyśleć o sobie - John to, John tamto. Doprowadzała mnie tym do szału.

- Rozumiem.

- Naprawdę?

- Tak. Chyba tak.

Pat strząsnęła z ramienia wiązkę sosnowych igieł. W smugach słońca jej włosy przybrały kolor, który dzielił od szarości zaledwie ton czy dwa.

- Chcę przez to powiedzieć - rzekła - chcę powiedzieć, że prawie się w tobie zatraciła. W twojej karierze zawodowej, w twoich problemach.

- Jeśli nie liczyć dentysty - zauważył Wade.

- To było bez znaczenia.

- Podobno. Dla mnie miało znaczenie.

- Daj spokój. Ten facet był chodzącym kłębkim strachu. Miał tylko pomóc ci się obudzić. O to chodziło w tym wysoku - żebyś sobie uświadomił, co tracisz. Poza tym ty też miałeś swoje małe ułomności.

- Ale nie takie. Ja byłem wierny.

- Wierny - mruknęła Pat. Machnęła ręką. - A co z Panią Polityką? Umizgałeś się do tej dziwki dniem i nocą. Jeśli to się nazywa wierność, to ja jestem dziewicą.

Wade spojrzał jej w oczy.

- Miałem swoje marzenia - powiedział. - Kathy też je miała. To nas łączyło.

- Nie mówisz poważnie.

- Owszem.

- Człowieku, ty jej chyba w ogóle nie znałeś! Kathy tym gardziła. Gardziła każdą pieprzoną minutą rutynowych zajęć żony polityka: przyklejonymi uśmiechami i udawanym

oddaniem. To się z czasem robi poniżające jak cholera.

- Ale mieliśmy takie wspólne...

- John, posłuchaj mnie. Tylko posłuchaj. Nienawiść jest najłagodniejszym określeniem, które by tu pasowało. Kiedy podawała na oficjalnych przyjęciach mrożone koktajle, gołym okiem było widać, że naprawdę ma na sobie lodowy pancierz. To było jasne jak słońce. Wystarczyło tylko popatrzeć.

- Patrzyłem.

- Wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Do tego jeszcze nie doszliśmy. Do tematu wielkiego szpiega.

Wade potrząsnął głową.

- Może i mieliśmy problemy, ale nie szliśmy osobnymi drogami. Ja czegoś pragnąłem, ona czegoś pragnęła.

- Pragnęła?

- Pragnie. Nadal pragnie.

- Nie będę się spierać.

- Bo tu nie ma o co się spierać, Pat.

Przez chwilę kiwała się przód i w tył, obracając na nadgarstku ciężką, srebrną bransoletkę, po czym ledwo zauważalnie, z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Trzeba wracać.

- Racja, chodźmy - rzekł Wade. - Ale tak dla jasności: Kathy i mnie coś łączyło. Nie było tak strasznie.

- Nie w tym rzecz.

- A w czym?

Pat jak gdyby się wzdrygnęła.

- Nie powinniśmy o tym mówić.

- O czym?

- Może byśmy...

- Nie. Jaka to odkrywcza rzecz?

Patrzyli na siebie ze świadomością, że dotarli do zakazanej granicy. Pat wstała i otrzepała ubranie.

- Skoro chcesz prawdy, proszę bardzo - powiedziała. - Kathy miała czasem niezłego pietra. Ta twoja zabawa w detektywa. Rzeczy, które krzyczałeś przez sen. Dostawała od tego zajoba.

- Sama ci o tym powiedziała?

- Nie musiała. No i te tytuły w gazetach. Budzi się pewnego dnia i widzi wołami na pierwszej stronie te ohydztwa. Dowiaduje się, że jest związana z przestępcą wojennym.

- Gówno prawda - odparł Wade. - To nie było takie proste.

- Nie?

- Absolutnie nie.

- No, nieważne. Ale to twoja żona. Powinieneś być się przed nią otworzyć, spróbować to wytłumaczyć.

Wade spojrzał na swoje dłonie. Zadał sobie pytanie, czy może jeszcze powiedzieć coś, co miałyby jakieś znaczenie.

- Bardzo szlachetny pomysł, ale to nie jest coś, co można wyjaśnić ot, tak sobie. Co ja jej mogłem powiedzieć? Chryste, ledwo... teraz to się wydaje biało-czarne... bardzo proste... ale tam wszystko człowieka oślepiało. Nie było wyraźnych konturów. Tylko mnóstwo blasku. O takim koszmarze chce się jak najszybciej zapomnieć. A przede wszystkim nic nie wydawało się wtedy rzeczywiste.

- A te trupy?

- Słuchaj, nie mogę...

- Dla nich to było rzeczywiste jak cholera. - Pat odwróciła się raptownie i spojrzała na niego surowo. - Czy ty tego nie zrobiłeś?

- Tego?

- Nie udawaj. Wiesz, o czym mówię.

Przez chwilę patrzyła na niego badawczo. Na drzewach widać było ptaki i smugi słońca.

- Nie - odparł Wade. - Nie zrobiłem tego.

- Ja tylko...

- Jasne. Musiałeś zapytać.

Ruth i Claude czekali na nich w domku. Wade dokonał prezentacji, przeprosił i poszedł do telefonu, żeby zadzwonić do Luxa. Głos szeryfa brzmiał głucho i bardzo odlegle.

- Figa z makiem - powiedział. - Przykro mi. - Po krótkiej chwili wydał z siebie cmoknięcie, które mogło znaczyć wszystko, od współczucia po irytację.

Wade odłożył słuchawkę i spojrzał na zegar, który wisiał nad zlewem w kuchni. Pora koktajlu: nawrócenie może poczekać. Przygotował cztery mocne drinki, wyjął paczkę krakersów i zaniósł to na tacy do salonu. Claude i Ruth rozmawiali po cichu z Pat, która siedziała po turecku na kanapie.

Staruszek uniósł brew.

- Ciągłe nic - rzekł Wade. Rozdał drinki. - Chciałbym na jutro łódź. Pewnie na cały dzień.

Claude skinął głową.

- Punkt o wpół do siódmej. Tylko niech pan będzie gotowy.

- Świetnie, ale nie ma potrzeby, żebym pana z sobą ciągnął.

- Nie truj pan. Jeszcze mi brakuje dwojga nowych klientów na jeziorze. I dodatkowej reklamy.

Wade wzruszył ramionami.

- Wobec tego dobrze. Dziękuję.

- Nie ma za co. Wpół do siódmej.

Kwadrans później Pat poszła do sypialni. Claude i Ruth zostali na jeszcze jednego drinka, a potem Wade odprowadził ich do łazika. Kiedy odjechali, wrócił do środka, rozpałił ogień w kominku, zrobił sobie nowego drinka i usiadł nad „StarTribune”, którą Claude przywiózł z miasta. Wiadomość o Kathy była na drugiej stronie. Bez specjalnej uwagi przewertował szybko gazetę. Znalazł wypowiedzi Tony’ego Carbo, który wyrażał zaniepokojenie, gubernatora, przewodniczącego partii i kilku koleżanek Kathy ze studiów. Na rozkładówce zamieszczono niewyraźną fotografię z dnia prawyborów. Kathy stała, jedną ręką obejmując Wade’a w pasie, a drugą podnosząc w obronnym geście. Miała trochę rozkojarzony wzrok, ale nie było wątpliwości, że blask w jej oczach oznacza najwyższe uniesienie.

Wade odłożył gazetę. Przez kilka minut siedział, wpatrując się w ogień.

- Och, Kate - szepnął.

Skończył drinka i poszedł do kuchni po dolewkę.

Ta noc była kiepska. Wypił za dużo wódki. Cały czas zapadał się w sobie, pół we śnie, pół na jawie, a jego sny snuły się wokół tematu zepsucia - wokół spraw, które pamiętał, i takich, których nie mógł pamiętać.

Koło północy wstał.

Włożył dzinsy i koszulę, odnalazł latarkę i udał się do hangaru.

Nie bardzo wiedział, co go tam ciągnie. Może sny, a może potrzeba upewnienia się. Otworzył drzwi i wszedł do środka, wyławiając latarką z ciemności przypadkowe przedmioty: kotwicę, zardzewiałą skrzynkę bosmańską, stertę przynęt. Ogarnęło go poczucie, że jest w przedsionku wspomnień. Coś tu się stało. Coś zostało powiedziane, coś zostało zrobione. Ukucnął, przesunął dłonią po podłodze i przytknął rękę do nosa. Zapach dał mu do myślenia. Przez jedno mgnienie zobaczył siebie z góry, jak gdyby przez soczewkę obiektywu. Były

czarodziej, były kandydat do senatu Stanów Zjednoczonych. A teraz żałosny, skacowany palant bez jednej sztuczki w zanadrzu.

Jeszcze raz powąchał dłoń i pokręcił głową. Wilgotna woń ożywiła fakty, których nie chciał ożywiać.

Żelazny imbryk był faktem. Podobnie jak „śmierć Jezusowi”. Klęska też była faktem. I wściekłość. Faktem pozostawała para i martwe geranium. Inne rzeczy były mniej pewne. Prawie, lecz niezupełnie, za fakt można uznać to, że tamtej nocy poszedł korytarzem do ich sypialni, gdzie przez jakiś czas obserwował śpiącą Kathy, podziwiając opaleniznę na jej szyi i ramionach, jej pełne usta i ułożenie kciuka przy nosie. Pamiętał, że w pewnej chwili jej powieki się uniosły.

Przez chwilę stał bez ruchu. Miał wrażenie, że wiatr uniósł dach hangaru, przytrzymał go przez moment w górze i z hukiem opuścił. Nawet w tak słabym świetle Wade widział bruzdy i zarysowania w miejscu, które dy łądz przeciągnięto do wody. Spróbował wyobrazić sobie, jak Kathy boryka się z tym sama, jak sama niesie evinrude'a, ale nie umiał stworzyć przekonującej sekwencji obrazów. To nie jest wykluczone, ale nie jest też prawdopodobne, co zostawia otwarte pole dla domysłów.

Doszedł do wniosku, że problem z faktami polega na tym, iż są dostarczane według rozmiarów. Należy je przymierzyć, by mieć pewność, że pasują. Przykład: odpowiedzialność, która na nim ciąży. W tej chwili nie może się pozbyć palącego poczucia winy. Taka wygodna luka w pamięci.

Wyszedł z hangaru, zamknął drzwi, zgasił latarkę i ruszył pod górę do domku.

Pat siedziała na werandzie i czekała.

- Zrobiłeś sobie spacer? - zapytała.

XX Materiał dowodowy

Ten człowiek był jak cebula. Obierasz warstwa po warstwie, ale wciąż znajdujesz nową pod spodem. Mimo to lubiłam go. Ją też. Pod pewnymi względami bardzo do siebie pasowali, bardziej niż się wydaje. Dwa groszki w strączku, mawiał Claude, ale dla mnie zawsze byli jak cebule.

- Ruth Rasmussen

Mnóstwa rzeczy nie mówił. Mnóstwa. Mam ochotę pójść tam kiedyś i przekopać ziemię wokół tego starego domu albo osuszyć Jezioro. Założę się, że znalazłbym kości

- Vincent R. (Vinny) Pearson

Żyjemy w naszych duszach jak w nieobjętej mapą krainie, której kawałek

wykarczowaliśmy pod nasz dom. Nawet w przypadku najbliższych nam osób znamy tylko granice, które stykają się z naszymi ¹

- Edith Wharton

Wyprawiał stale różne dziwne rzeczy. Na przykład chodził za nią po uniwersytecie jak jakiś tajniak, tylko że Kathy zawsze o tym wiedziała, bo był palantem. Nazywała go inspektorem Clouseau, jak ten jełopowaty detektyw z „Różowej pantery”. Oczywiście nie przy nim... Nie rozumiem, jak ona to znosiła. Musiała być zakochana po uszy. ²

- Deborah Lindquist (koleżanka z roku Kathleen Wade, Uniwersytet Minnesota)

Johnny miał zręczne dłonie. U iluzjonisty to zaleta. W wieku dziesięciu, Jedenastu lat mógł już uprawiać styl dowolny, bez żadnych przyrządów, tylko swoimi ślicznymi rączkami. I umiał trzymać język za zębami

- Sandra Karra (Magiczne Studio Karry)

Nigdy nie wyjaśniał swoich sztuczek [widowni], bo choćby podstęp był najsprytniejszy, wytłumaczenie nie zaspokoi pragnienia wiary w czynniki nadprzyrodzone, a podziw dla sprytu jest marnym substytutem rozkoszy zdumienia. ³

- Robert Parrish („The Magician’s Handbook”)

Niech pan się odczepi od tego dentysty! To zbyt osobista sprawa. Ona była moją siostrą... nie może pan zostawić jej w spokoju? Chyba ma pan jakąś obsesję. ⁴

- Patricia S. Hood

SŁOWNIK

Efekt: profesjonalny termin na wywoływanie magicznej iluzji

Karty Szulerskie: talia kart, których boki lub rogi mają odcisnięte wypukłości w kształcie stożka, dzięki czemu przełożoną kartę można wymacać po wystającej krawędzi

Zniknięcie: termin specjalistyczny oznaczający efekt, w którym doprowadza się do zniknięcia przedmiotu lub osoby.

Transpozycja: sztuczka magiczna, polegająca na tajemniczej zmianie miejsca dwóch lub więcej przedmiotów.

Zniknięcie wykonawcy: termin specjalistyczny oznaczający efekt, w którym znika sam czynnik sprawczy, np, iluzjonista powoduje własne zniknięcie.

Podwójny efekt: wyprowadzenie widzów w pole poprzez upewnienie ich przed rzeczywistym zakończeniem sztuczki, że już dobiegła końca. ⁵

Prowadził podwójne życie: jawne i znane wszystkim, którzy się z nim stykali (...) i tajemne, płynące w ukryciu. ⁶

- Antoni Czechow („Pani z pieskiem”)

P: Ile osób panowie zgromadzili?

O: Od trzydziestu do pięćdziesięciu. Mężczyzn, kobiet i dzieci

P: Jakich dzieci?

O: Po prostu dzieci

P: Skąd ich sprowadzono?

O: Niektórzy byli w chatach, inni na polach ryżowych.

P: Po co panowie ich zgromadzili?

O: Podejrzewaliśmy, że są z Vietkongu. Jeśli o mnie chodzi wciąż tak uważam.⁷

- Paul Meadlo (zeznanie przed sądem wojennym)

Nikogo nie zastrzeliłem. Zabiłem tylko parę krów.

- Richard Thinbill

(...) miłość i wojna to jedno, i jak na wojnie dopuszcza się i zwyczajnie używa podstępów i wybiegów, aby nieprzyjaciela zwyciężyć, tak i miłosne zatargi i współzawodnictwa słusznie i sprawiedliwie używają zasadzek i sztuczek, aby dojść do upragnionego celu (...).”

- Miguel de Cervantes („Don Kichot”)

Znalazłam jego ojca w garażu. Wiedziałam o tym. Naprawdę. Wiedziałam, zanim tam weszłam.

- Eleanor K. Wade

[Ojciec Houdiniego] zabrał małego Houdiniego na występy wędrownego iluzjonisty doktora Lynna. Doktor Lynn przedstawiał magiczną scenę zatytułowaną „Reinkarnacja”. Udawał w niej, że podaje pewnemu mężczyźnie chloroform, a następnie, związawszy go we wnętrzu szafki płata ogromnym rzeźnickim nożem, odcina mu nogi i ręce, a wreszcie także i głowę (która była dyskretnie zakryta czarną płachtą). Potem wrzuca kawałki ciała do szafki i zapada kurtyna. Chwilę później ofiara pojawiała się znów w jednym żywym ciele, najwyraźniej nie doznawszy szwanku w tej ciężkiej próbie. Wiele lat później Houdini nabył prawa do tej sceny... To znaczące, że w młodości Houdini był zafascynowany tą konkretną sceną, w dosłowny sposób podejmującą temat śmierci i zmartwychwstania. Był to motyw, który powtarzał się przez całą karierę zawodową Houdiniego we wszystkich jego pokazach.⁹

- Doug Henning („Houdini: His Legend and His Magic”)

Mówiłam panu, jaki był skryty... człowiek nigdy nie wiedział, o czym myśli., to się tylko pogorszyło po tym, jak jego ojciec się powiesił.

- Eleanor K. Wade

Osobiste wspomnienia [Woodrowa] Wilsona z młodości dostarczają obfitych

*świadectw dziecięcego lęku zrodzonego z przekonania, że jest głupi, brzydki, bezwartościowy i nie kochany... Być może właśnie w tym głębokim poczuciu nie-adekwatności, zasadniczego braku własnej wartości, które domaga się bezustannego samoobalania, należy szukać źródeł jego nienasyconej potrzeby uczucia, władzy i sukcesów oraz przymusu dążenia do doskonałości Jednym ze sposobów, do których uciekają się ludzkie istoty dręczone niskim poczuciem własnej wartości, by uśmierzyć wewnętrzny ból, jest mnożenie osiągnięć i zdobywanie władzy.*¹⁰

- Alexander i Juliette George („Woodrow Wilson and Colonel House”)

*Właśnie zaczęliśmy lekcję gimnastyki. Dzieciaki rzucały piłkę do kosza, gdy po pięciu czy dziesięciu minutach weszła dyrektorka szkoły, wywołała mnie za drzwi i przekazała tę nowinę. - Potem sobie poszła - co za tchórz. Ja nie zachowałem się dużo lepiej. Powiedziałem Johnowi, żeby leciał pod prysznic, bo mama czeka Dzieciakowi w tym wieku to mogło złamać serce.*¹¹

- Lawrence Ehlers (nauczyciel wychowania fizycznego)

*Inna kuzynka Jessie Bones, wspomina typowy „żart” doktora Wilsona. Cała rodzina zasiadła do weselnego śniadania. Tommy (Woodrow) spóźnił się do stołu. Ojciec przeprosił w imieniu swojego syna, wyjaśniając obecnym, że Tommy’ego tak podnieciło poranne odkrycie nowego włosa w wąsach, iż dłużej musiał się myć i ubierać. „Bardzo dokładnie pamiętam rumieniec wstydu, który pojawił się na twarzy chłopca”, powiedziała pani Brower.*¹²

- Alexander i Juliette George („Woodrow Wilson and Colonel House”)

Ojciec nigdy nie znęcał się nad nim fizycznie. Kiedy Paul nie zaglądał do kieliszka, bywał bardzo zainteresowany sprawami chłopca i niezwykle opiekuńczy. John kochał go do szaleństwa. Wszyscy go kochaliśmy. Mój mąż miał w sobie jakiś cudowny magnetyzm... taką jasność... kiedy patrzył tymi niewiarygodnie niebieskimi oczami, miało się wrażenie, że człowieka ogrzewa wielkie, gorące słońce... Tylko że potem wracał do gorzały i to słońce jak gdyby samo się spalało. Był w gruncie rzeczy smutnym człowiekiem. Chciałabym wiedzieć, skąd się w nim brat ten smutek. Wciąż się nad tym zastanawiam.

- Eleanor K. Wade

*Kiedy Lyndon Johnson był studentem, jego koledzy... nie tylko uważali, że bezustannie kłamie, w sprawach ważnych i błahych, i to kłamie tak notorycznie, iż jest - według powszechnie używanego określenia - „największym łgarzem na uczelni”, ale także mieli wrażenie, że do kłamstwa zmusza go jakiś pierwiastek psychiczny.*³

- Robert A. Caro („The Years of Lyndon Johnson”)

Był ambitny, nie ma dwóch zdań, ale dla mnie to nie wada. Bez ambicji nie ma polityki

- to prosta zależność. Ale John miał też swoje ideały. Był dobrym, postępowym demokratą. Pełnym poświęcenia Pomagał potrzebującym itede. Aż do przesady. Z perspektywy czasu, wiedząc to, co teraz wiem, uważam, że zależało mu na jakiejś rekompensacie za to, co się stało na wojnie. Wydaje mi się, że wrócił stamtąd nieźle rozbity, nieźle skopany. Potem ożenił się z Kathy i zaczęła się wielka miłość. Nigdy nie widziałem dwojga ludzi tak pazernych na uczucie. No, i John znów ustawia swoje życie. Nie mówi nic o tym wietnamskim gównie - ani żonie, ani mnie, ani nikomu innemu. Po jakimś czasie już nie może o tym powiedzieć. Wpada we własne sidła, rozumie pan? To moja teoria. Nie sądzę, żeby się zaczęło od zamierzonego kłamstwa, on po prostu pomijał temat milczeniem - zresztą, kto zachowałby się inaczej? - i pewnie dość szybko sam sobie wmówił, że to się nigdy nie stało. Ten facet był magikiem. Umiał nabierać ludzi. Mnie nabrał z palcem w dupie... Chował w sobie ten gnój i to go musiało czasem doprowadzać do oblędu. W każdym razie myślę, że kłamstwa były jakby wbudowane w tę jego potrzebę naprawiania swojego życia - w ambicje, w marzenia o Waszyngtonie - i rzecz sprowadza się do jednego wielkiego samooszukaństwa. Co innego władze stanowe. Ale to była walka o miejsce w Senacie Stanów Zjednoczonych. To musiało wyjść na jaw, takie są zasady polityki. Więc rozbijają nas w proch i John jest znów w punkcie wyjścia. Znów zdruzgotany. Znów ma ten pusty wzrok nieboszczyka, o którym panu mówiłem.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Nie wiedziałam, co robić. Na pogrzebie jego ojca Tak strasznie wrzeszczał... nie mógł przestać. To było żenujące.

- Eleanor K. Wade

*Śmierć Jezusowi!*¹⁴

- John Wade

Wyjąłem jednorurkę, która należała do mego ojca. Często mi obiecywano, że ją dostanę, jak dorosnę. Tak uzbrojony wszedłem po schodach na górę. Na pierwszym piętrze natknąłem się na matkę.. Wychodziła z pokoju żaloby... była cała we łzach. „Dokąd idziesz?” - zapytała Do nieba!” - odpowiedziałem. „Co? Do nieba?”. „Tak, nie zatrzymuj mnie”.

*„A co ty chcesz robić w niebie, biedactwo?”. „Zabiję Boga który zabił ojca”.*¹⁵

- Alexandre Dumas („My Memoirs”)

John nigdy się z tym nie pogodził. Nocami słyszałam, jak rozmawiał na niby ze swoim ojcem. Tak samo jak ja chciał wyjaśnić - chciał się dowiedzieć, dlaczego - ale chyba w końcu oboje musieliśmy znaleźć własną żalosalną odpowiedź.

- Eleanor K. Wade

Rzeczywiście wiele małych dzieci wyraża złość, bo wierzą, że rodzic umierając

umyślnie je porzucił... Wnoszenie w dorosłość nieprzetrawionego dziecięcego żalu ma negatywne konsekwencje. 1⁶

- Richard R. Ellis („Young Children: Disenfranchised Grievers”)

Wstyd... może być rozumiany jako rana na osobowości Często jest nabywany w podatnym wieku na skutek internalizacji pogardliwych komunikatów, głównie ze strony rodziców.

Mogą nań wpłynąć upomnienia, ostrzeżenia, docinki, kpiny, szykany oraz inne formy zaniedbania i przemocy. 1⁷

- Robert Karen („Shame”)

Podszedłem do chaty i wtedy wyskoczyła z niej kobieta Strzeliłem i ranilem ją, a ona wskoczyła do środka i wyszła z dzieckiem i paroma innymi ludźmi.. Był tam mężczyzna, kobieta i dwie dziewczynki... Jakiś chłopak z drugiego plutonu podszedł, złapał mój karabin i powiedział: „Zabić ich wszystkich!” I zastrzelił ich. 1⁸

- Roy Wood (zeznanie przed sądem wojennym)

P: *Kto strzelał?*

O: *Prawie wszyscy. Czasem przez przypadek. Mój kumpel Czarodziej na przykład...*

P: *Kto taki?*

O: *Czarodziej. Zastrzelił jednego staruszka niechcący. Tak mi powiedział. Chyba odruchowo.*

P: *Kto to jest Czarodziej?*

O: *Jeden gość. Nie pamiętam, jak się naprawdę nazywał.*

P: *Mógłby pan spróbować sobie przypomnieć?*

O: *Mógłbym 1⁹*

- Richard Thinbill (zeznanie przed sądem wojennym)

Johnie! Johnie! Oo, Johnie!

- George Armstrong Custer 2⁰

P: *Więc co pan zobaczył w tym rowie?*

O: *W środku były ciała.*

P: *Potrafi pan powiedzieć, ile?*

O: *Jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści*

P: *Co ci ludzie robili?*

O: *Wyglądali na martwych. 2¹*

- Ronald Grzesik (zeznanie przed sądem wojennym)

Tam śmierdziało, a zwłaszcza w rowie. Muchy latały wszędzie. Błyszczały w ciemności

*Jakby się było w świecie duchów.*²²

- Richard Thinbill

Przypisy

¹ Edith Wharton, „The Touchstone” (1900, reprint, New York, Harper Perennial, 1991), s. 102.

² Wywiad, Worthington, Minnesota, 2 kwietnia 1993 r.

³ Parrish, „The Magician’s Handbook”, s. 16.

⁴ Obsesję? Patrz przyp. 22.

⁵ Kaye, „The Stein and Day Handbook of Magic”, s. 304-307.

⁶ Antoni Czechow, „Pani z pieskiem”, w: „Opowieści i opowiadania”, t. IX, Warszawa 1959 r., Czytelnik, s. 376.

⁷ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 153-154.

⁸ Miguel de Cervantes, „Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manchy”, t. II, tłum. Anna i Zygmunt Czerny, Warszawa 1983 r., PIW, s. 139-140.

⁹ Doug Henning, „Houdini: His Legend and His Magic” (New York, Times Books, 1977 r.), s. 26.

¹⁰ Alexander L. George i Juliette L. George, „Woodrow Wilson and Colonel House: A Personality Study” (New York, The John Day Company, 1956 r.), s. 8.

¹¹ Wywiad, St Paul, Minnesota, 1 marca 1994 r.

¹² Alexander L. George i Juliet L. George, op. cit., s. 8

¹³ Caro, „The Years of Lyndon Johnson: The Path to Power”, s. XX.

¹⁴ Przytoczone przez Patricję S. Hood z rozmowy z Kathleen Wade. ¹⁵ Alexandre Dumas, „My Memoirs”, w: D.J. Enright, éd., „The Oxford Book of Death”, (New York: Oxford University Press, 1983), s. 275

¹⁶ Richard R. Ellis, „Young Children: Disenfranchised Grievors”, w: Kenneth J. Doka, red., „Disenfranchised Grief: Recognizing Hidden Sorrow” (Lexington, Mass.: Lexington Books, 1989 r.), s. 202, 206.

¹⁷ Robert Karen, „Shame”, The Atlantic Monthly, Luty 1992 r., s. 42.

¹⁸ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 110.

¹⁹ Richard Thinbill, kopia protokołu, rozprawa przed sądem wojennym porucznika Williama Calleya, Państwowe Archiwa USA, pudło nr 4, teczka nr 8, s. 1873.

²⁰ Generał amerykański (1839-1876) (przyp. tłum.). ²¹ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 150.

²² To był świat duchów. Wietnam. Duchy i cmentarze. Przyjechałem do tego kraju w

rok po Johnie Wadzie, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, i przemierzyłem dokładnie te same ścieżki: Pinkville i okolice, wioski Thuan Yen, My Khe i Co Luy. Wiem, co się stało tamtego dnia. Wiem, jak do tego doszło. Wiem, dlaczego. To wina słońca. To wina nikczemności, która przenika człowiekowi do krwi, powoli się rozgrzewa, aż wreszcie zaczyna wrzeć. Trochę także rozczarowania. Trochę wściekłości. Wrogowie byli niewidoczni. Byli duchami. Zabijali nas za pomocą fugasów albo pułapek minowych. Znikali w mroku nocy albo w tunelach, albo w głębi zasnutych mgłą pól ryżowych i zarośli bambusowych. Ale chodziło też o coś więcej. O coś bardziej tajemniczego. Może o zapach kadzidła. O nieznaną, o niepoznawalną. O puste twarze. O wszechogarniającą obcość. Nie piszę tego po to, by usprawiedliwić wydarzenia z 16 marca 1968 r., gdyż w moim przekonaniu usprawiedliwienia takie są jednocześnie daremne i oburzające. Raczej po to, by dać świadectwo tajemnicy zła. Dwadzieścia pięć lat temu ja także czułem smak tamtego słońca jako przerażony starszy szeregowiec. Ja też czułem zapach grzechu. Ja też czułem z tyłu gałek ocznych skwierczący tłuszcz masakry.

XXI Istota ducha

Mordowanie trwało godzinami. Było dokładne i systematyczne. W porannym słońcu, które zmieniało kolor z różu na fiolet, ludzi zabijano, płatano nożami, gwałcono, przebijano bagnietami i rozdzierano na strzępy. Ciała leżały w stertach. Koło jedenastej, kiedy kompania Charliego rozproszyła się na żarło, starszy szeregowiec Richard Thinbill usiadł obok Czarodzieja przy rowie nawadniającym pole ryżowe na skraju Thuan Yen. Otworzył puszkę brzoskwiń i nastawił uszu.

- Ten dźwięk - powiedział. - Słyszysz?

Czarodziej przytaknął. To nie był jeden dźwięk. To było wiele tysięcy dźwięków.

- O rany, stary - rzekł po chwili Thinbill. - Mówili nam, że nie będzie cywilów. Prawda? Nie będzie cywilów. - Dojadł brzoskwinie, wyrzucił puszkę i rozpakował tabliczkę czekolady. - To chyba były komuchy.

- Prawdopodobnie.

- Ilu zaliczyłeś?

- Dwóch - odparł Czarodziej.

Thinbill oblizał wargi. Był młodym, przystojnym chłopakiem, czystej krwi Chippewą o nerwowym spojrzeniu i delikatnych ruchach. Przez chwilę patrzył na swoją tabliczkę czekolady.

- Ten dźwięk.

- To minie.
- Gówno prawda. Ja przynajmniej nikogo nie zabiłem.
- Dobrze. To dobrze.
- Tak, ale... Co tam się stało?
- To słońce - odrzekł Czarodziej.
- Powtórz.
- Jedz czekoladę.

Thinbill zaczął coś mówić, ale urwał i zatkał sobie uszy dłońmi.

- Chryste, stary. Co ja bym dał za zatyczki.

Kolejne sondaże były złe, fatalne, i wreszcie beznadziejne, więc sromotna porażka 9 września nie stanowiła zaskoczenia. Około dziewiątej wieczorem Tony Carbo wyłączył telewizor.

- Na co czekamy? - zapytał.

John Wade poszedł do telefonu i zadzwonił do Eda Durkee. To było łatwe. Czuł tylko chłodny cień emocji. W pewnej chwili, jeszcze rozmawiając, skinął porozumiewawczo głową w kierunku Kathy i podniósł kciuk.

Dziesięć minut później zjechali windą do hotelowej sali balowej, gdzie John wygłosił krótkie przemówienie pożegnalne. Jego kariera się skończyła, wiedział o tym, ale mimo to mówił o polityce jako o wielkiej próbie dla człowieka. Podziękował Kathy, Tony'emu i innym. Pomachał dłonią zebranemu tłumowi, wziął Kathy za rękę, pocałowali się, zeszli z mównicy, wrócili do pokoju, rozebrali się, zdjęli telefon z widełek, zgasili światło i położyli się do łóżka, słuchając odgłosów ruchu ulicznego pod oknem.

Po godzinie ponownie się ubrali.

John zadzwonił do paru osób, odebrał kilka telefonów, a potem zamówili spóźnioną kolację. Około północy zapukał Tony Carbo. Trzymał pod pachą butelkę. Jego pulchna biała twarz była zroszona kropelkami potu.

- Strzemiennego - powiedział.

Wyplukał dwa kieliszki i usiadł na łóżku obok Kathy.

- Kathy to prawdziwy kawalerzysta - zwrócił się do Johna. - Kocham twoją żonę. Bardzo, bardzo.

Kathy uśmiechnęła się. Nigdy nie wyglądała na szczęśliwszą.

Tony napełnił dwa kieliszki, podał obojgu, a sam zatrzymał butelkę. Klapy jego sztruksowej marynarki były poplamione czymś żółtym.

- O, Boże, spójrzcie tylko - powiedział. - Ale ze mnie świnia. - Pociągnął łyk z butelki

i otarł usta. - Rozmawiałem z twoim koleśkiem Durkeem. Przyjął mnie do roboty; pieskie godziny, pieska płaca.

- Szybki jesteś - powiedział John.

- Szybki, bo żywy.

- To skurwysyństwo.

- Robota jak każda. Świnia będzie miała czym się zająć. - Zerknął na Kathy i spróbował się uśmiechnąć. - Poza tym nie dam sobie przykleić etykiетки Tony'ego-winowajcy. Milion razy pytałem o te szkielety.

- Nie o tym...

- Trzeba było coś powiedzieć. Wybroniłbym nas. Byłaby inna gadka. - Przyłożył dłoń do piersi. - Śmierć całej wioski jest czymś strasznym.

- Powinienem cię wyrzucić przez to pieprzone okno.

- Tak, powinienes. Ale jestem trochę za gruby.

Przez chwilę milczeli. Kathy bardzo ostrożnie odstawiała kieliszek, poszła do łazienki i zamknęła drzwi.

- No, tak - powiedział Tony.

Obejrzał swoje dłonie, chrząknął i wstał. Nie wyglądał dobrze.

- To jest najtrudniejsze. Twoja żona i ja... skończyły się marzenia. *C'est la politique*. Szkoda, szkoda. Powiedz jej, że takie są zasady gry.

- Odpierdol się.

- Dobra. Odpierdolę się. - Podszedł do drzwi łazienki, delikatnie je pocałował i zwrócił twarz w kierunku Johna. - Serce mi pęka, wiesz? Ona jest kochana.

- Możesz wyjść.

- Momencik. Potrzebny ci pasek?

- Nie.

- W imię starych czasów. Jeden pasek.

- Jeśli to ci pomoże wyjść,

- No, jasne. Cóż za żywy dowcip. - Tony zatoczył się, złapał równowagę i wlał trochę scotcha do kieliszka Johna. - Tylko że wyglądasz jak nieboszczyk.

- Dziękuję.

- Za nieboszczyków. Niech nam żyją.

Wypili i spojrzeli na siebie. Z łazienki dobiegał odgłos odkręcania wody.

- Nasza dama się wkurzyła - rzekł Tony. - Tak przypuszczam. Naprawdę. Wy tłumaczysz jej, mam nadzieję, że pracować trzeba. Nie można żyć samym tłuszczem.

- Mogłeś trochę poczekać.

- Mogłem. A ty mogłeś wspomnieć o pewnej zaszrannej liczbie ciał. Oszczędziłbyś mi trochę kalorii. Dużo mogłesiów lata w powietrzu w tę chłodną noc. Po ostatnim maluchu?

- Nie.

- Dobrze na zgałę. Postawiłoby na nogi umarłego.

- Nie.

Tony podszedł do drzwi łazienki i przyłożył do nich ucho. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem westchnął.

- Niestety wszyscy coś mamy na sumieniu. Tak, tak. Jakieś brudy itede. Chcesz usłyszeć o moich?

- Chcę, żebyś wyszedł.

- Słodka Kathleen. Wstyd się przyznać, ale nocami leżałem w łóżku, miętosilem sadelko i głośno powtarzałem jej imię. Smutny przypadek. Choroba z miłości. Pocięzałem się myślą, że wystarczy, bym popracował nad formą, a ona ze mną ucieknie. Nawet poszedłem do jednego klubu na Lake Street. Wielkie plany i prawdziwa tortura. Biły ze mnie siódme poty. Osiemdziesiąt dolców za sesyjkę i nie zrzuciłem ani kilograma.

John poczuł nagle śmiertelne zmęczenie.

- Fajnie. Możesz już spływać.

- Słodkie marzenia.

- Idź sobie - powiedział John.

Tony wsadził butelkę do kieszeni i ruszył chwiejnie w stronę drzwi.

- Gdybym wiedział, że to będzie tyle warte, spłynąłbym miesiąc temu. Trzymała mnie tylko nadzieja na promyk miłości. Przykra sytuacja. - Pokiwał głową i uśmiechnął się. - Marny mój los, mamy twój los. Te szkielety - dom wariatów.

- Baw się dobrze u Durkeego - powiedział John. Tony roześmiał się cicho.

- Jestem świnią. To jedno o sobie wiem.

Po południu kompania Charliego przygotowała się do wymarszu i ruszyła na wschód, w kierunku morza.

Czarodziej trzymał się samotnie tyłu kolumny. Liczył kroki ze spuszczoną głową i zgarbionymi plecami, usiłując odpędzić od siebie zło. Nie było to proste. Brzęczenie przerzuciło się do jego głowy. To od much, pomyślał, ale nie tylko. Od ziemi, od nieba i od słońca. Wszystko się ze sobą zbiegło.

Późnym popołudniem rozbili obóz nad brzegiem morza. Na zachodzie, nad górami, niebo zabarwiło się woskowatą czerwienią, a następnie fioletem i wkrótce zmierzch zaludniły

dziwne kształty i postacie.

- Świat duchów - powiedział Thinbill.

Zapadła krótka cisza, po czym ktoś dodał:

- Te ścierwa nie umierają.

Siedzieli w swoich dołkach, rozproszeni w grupy, jedni milcząc, inni kraszając dzień umoralniającym kadzidłem. Calley należał do tych rozmownych. Żółtki to tylko żółtki, powiedział. Kazano im zniszczyć to miejsce, więc jest zniszczone, i kogo to może ruszyć na spalonych łąkach Pana? Boyce i Conti roześmieli się. Thinbill spojrział na porucznika, wstał i gdzieś odszedł.

Calley zerknął na Czarodzieja.

- A Apacz co znowu? Chyba mu nie odbiło?

- Thinbill jest z plemienia Chippewa - rzekł Czarodziej.

- Naprawdę?

- Tak jest.

Calley skierował wzrok w pustą przestrzeń. Jego ubranie i skóra wyraźnie śmierdziały krwią.

- Przyznaję, że nie znam się na naszych szczepach, ale możesz mu powiedzieć, że to była ładna akcja. Zabezpieczyć broń, załadować i do roboty.

- Tak jest - odparł Czarodziej.

- Przeszukać i zniszczyć.

- Tylko że tam specjalnie nie było broni. Żadnych obcych. Tylko kobiety i dzieci.

Calley strącił z rękawa muchę.

- Jakie znów dzieci?

- No... Wie pan.

- Zaraz, zaraz, jakie dzieci? - Calley unióś brwi, spoglądając porozumiewawczo na Boyce'a i Mitchella. - Czy widzieliście tam, żołnierze, jakieś dzieci komuchów?

- Skąd - odparł Boyce. - Nie było śladu dzieci.

Calley pokiwał głową.

- No, proszę. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, winny nie powinien rzucać kamieni.

To też słynny nakaz biblijny.

Ktoś zachichotał w ciemności. Ktoś inny powiedział:

- Trele - morele.

Noc była ciemna i ciężka. Czarodziej siedział jeszcze przez chwilę, przysłuchując się rozmowie, po czym wstał i poszedł na drugą stronę obozu do dołka Thinbilla. Ten siedział

sam, wpatrując się w pola ryżowe.

Minęło pięć czy dziesięć minut, zanim Thinbill powiedział:

- Porucznik Tępacznik. Smarknij mu w twarz, a powie, że to wieje monsun. I do tego morderca.

- Nie tylko on.

Thinbill wydał z siebie płytkie, bezradne westchnienie.

- Stary, zamykam oczy, a ciągle to widzę... To jakaś jatka. Jak myślisz, ilu...?

- Nie liczyłem.

- Trzystu. Co najmniej.

- Może.

- Nie może, ale na pewno. - Thinbill położył się na plecach i spojrzał na gwiazdy. Po chwili z jego gardła wydobył się miękki dźwięk. - I ten smród. Nie mogę go z siebie strząsnąć.

- Znajdziemy jakąś rzekę. Zmyjesz to z siebie.

- To się nie da zmyć. Jezu Chryste, jak ja mam z tym żyć? Co ty, kurwa, piszesz w listach do domu?

- Nie wiem - odparł Czarodziej. - Próbuję zapomnieć.

- Jakim cudem?

- Koncentruję się. Myślę o czymś innym.

Znów zamilkli, słuchając much, ich wszechobecnego, głębokiego i monotonnego brzęczenia.

- O rany - powiedział Thinbill.

Rano kompania Charliego ruszyła na południe, w kierunku rzeki o nazwie Song Tra Khuc. Był gorący i pusty dzień. Po półgodzinie pierwszy pluton odbił na zachód i ruszył w górę niskiego, łagodnie wznoszącego się wzgórza, które wyrastało z pól ryżowych niczym powstający na kolana, znużony, stary zwierz. „To słoń” - rzekł Maples, ale ktoś inny pokręcił głową i powiedział: „Skąd, to raczej sfatygowany bawół”. I po drodze rozgorzała na dobre dyskusja.

Czarodziej nie rozumiał, jakie to może mieć znaczenie. Wyobrażał sobie starca z motyką, który ślizgając się brnie w czerwonym pyle. Motyka biedaka wznosi się wysoko jak batuta, migocząc w porannym słońcu, i opada nieschwytana. Mniejsza z tym, pomyślał, ale obraz nie chciał zniknąć.

W połowie stoku kolumna zatrzymała się na odpoczynek, a Calley i Meadlo poszli dalej z wykrywaczem min. To był paskudny kawałek, pełen min i pułapek minowych, więc

chłopcy z uwagą wybierali nieszkodliwie wyglądające miejsca, by na nich się usiąść lub uklęknąć. Kilku zapaliło papierosy, ale większość po prostu siedziała i czekała. Skórę mieli przesiąkniętą zapachem krwi. „Rabusie grobów” - powiedział Conti. Zachichotał i zaczął wydawać dźwięki mające przypominać ducha, aż w końcu Thinbill kazał mu się zamknąć.

Czarodziej próbował tego nie słuchać. Potarł oczy i spojrzał w dół na płaski, zielony krajobraz. Na północy, w odległości jakiegoś kilosa, widać było wioskę Thuan Yen, która wyglądała na tle pól ryżowych jak ciemna, zalesiona plama. Znad kilku chat jeszcze unosił się dym.

- Patrol zombi - rzekł Conti - czyli my. - Wydał z siebie upiorny skowyt, a w sekundę później mina oderwała Paulowi Meadło lewą stopę.

Eksplozja nie była wielka. Rozległ się tylko krótki, głuchy odgłos.

Czarodziej obejrzał się przez ramię. Zapadła chwila pełnej konsternacji ciszy, potem zaczęły się rozlegać coraz donośniejsze głosy, a potem znów pojawiły się muchy.

Ojciec mówił na niego John Trzęsibrzuch, chociaż nie był gruby. John wiedział, że to tylko pijackie gadanie, ale mimo to był zmieszany i zawstydzony.

Czasem chciało mu się płakać. Czasem zadawał sobie pytanie, dlaczego ojciec go nienawidzi.

Johnowi Wade'owi najbardziej zależało na tym, by być kochanym, by dawać ojcu powód do dumy, toteż gdy był w szóstej klasie, zamówił pewnego razu specjalną dietę, której reklamę zobaczył w jakimś piśmie. Kiedy kilka tygodni później nadeszła pocztą wraz z rachunkiem na trzydzieści osiem dolarów, ojciec przyniósł kopertę do pokoju Johna i rzucił ją chłopcu na kolana. Nie uśmiechał się. „Trzydzieści osiem dolców - powiedział - to cała góra tłuszczu w bekonie”.

Kiedy John wreszcie zaczął rosnąć, poczuł ulgę. W ósmej klasie był już wysoki i szczupły, niemal chudy. Dobrze prezentował się w lustrach.

„John Tyczka” - rzekł ojciec z lekkim chichotem, klepiąc go w plecy.

Lustra mu pomagały. Tworzyły w jego głowie coś w rodzaju szklanego pudełka, kryjówki. Przez pozostałe lata szkoły podstawowej wkładał się do swojego szklanego pudełka i znikał w nim, gdy tylko działo się coś złego. Był marzycielem. Miał niewielu kolegów, żadnego bliskiego. Wolny czas po szkole i większość weekendów spędzał w piwnicy, zupełnie sam, doskonaląc swą magiczną sztukę. Nie słyszał żadnych docinków i nic nie rozpraszało jego uwagi. Było w tym coś kojącego, a jednocześnie jakaś siła i ład. Dawało mu to trochę władzy nad własnym życiem. Co jakiś czas prezentował piętnastominutowe pokazy iluzjonistyczne na apelach szkolnych albo na przyjęciach urodzinowych, ze zdumieniem

odkrywając, że oklaski zdają się wypełniać pustkę, którą w sobie ma. Ludzie patrzyli na niego inaczej. Nie była to jeszcze sympatia, ale coś bardzo zbliżonego. Lubił być na scenie. Patrzyło na niego tyle oczu i wszyscy śledzili jego poczynania z napiętą uwagą. W głębi duszy oczywiście nadal był samotnikiem, nadal czuł pustkę, ale przynajmniej pustka ta stawała się dzięki sztuce magicznej godna szacunku.

W ósmej klasie zdawał już sobie sprawę, że skrytość niesie ze sobą pewne przywileje. Tak właśnie zaczęło się szpiegowanie. Było kolejną sztuczką umożliwiającą przeżycie. Zdarzało się, że w domu dla treningu chodził za ojcem do garażu i stawał za drzwiami, nasłuchując. Kiedy teren był już czysty, wkradał się do środka i przetrząsał pomieszczenie, dopóki nie znalazł butelek. Czasem po prostu stawał i na nie patrzył. Kiedy indziej wykonywał jeszcze jedną maleńką sztuczkę: wznosił butelki, odkręcał kurek i zmieniał wódkę w zimną wodę.

Później, w domu, było mu trudno powstrzymać się od śmiechu. Siadał przed telewizorem i uśmiechał się od ucha do ucha.

Czasem ojciec podnosił na niego wzrok.

„Co ci jest?” - pytał, ale John tylko wzruszał ramionami i odpowiadał: „Nic”.

„Więc przestań. Wyglądasz idiotycznie”.

Oczywiście wszyscy mieli swoje sekrety, włącznie z jego ojcem, a dla Johna Wade'a szpiegowanie było czymś w rodzaju zawilej gry detektywistycznej, dzięki której mógł przedostać się do umysłu ojca i zabawić tam przez jakiś czas. Badał jego wnętrze, myszkował w poszukiwaniu odpowiedzi. Skąd się bierze jego złość? Czym konkretnie jest? I dlaczego nic go nigdy nie cieszy, nie skłania do uśmiechu albo nie każe przestać pić? Nie znajdował żadnych rozwiązań - żadnych odpowiedzi - ale mimo to szpiegowanie mu pomagało. Zbliżało go do ojca. Stanowiło więź. Było czymś, co ich łączy, czymś osobistym i upragnionym.

Późnym rankiem siedemnastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, kiedy już zabrano Meadlo, pluton otrzymał rozkaz powrotu do wioski Thuan Yen. Oznaczało to dwadzieścia minut niezbyt forsownego marszu. Przecięli dwa rozległe pola ryżowe i podążyli w porannym upale prosto przed siebie. Po dziesięciu minutach zaczęli obwiązywać twarze ręcznikami i koszulkami.

Do północnego skraju wioski dotarli tuż przed dwunastą. Miejsce było martwe - głośnie, żywą martwością. Wzdłuż głównej ścieżki prowadzącej ze wschodu na zachód znaleźli kilka świeżo wykopanych mogił oznaczonych białymi kamieniami, ale większość ciał nadal leżała w pełnym słońcu. Były paskudnie wzdęte, ubrania opinały się na nich, jakby były gumową skórą. Rany roiły się od much. Były ich miliony - końskich much, robacznic i

opalizujących, niebieskich muszek. Ciało zdawało się wiercić w jaskrawym tropikalnym słońcu. Czarodziej wiedział, że to iluzja. Nie nabrał się.

Nieco głębiej, tuż przy szlaku, natknęli się na młodą kobietę bez piersi. Ktoś wyciął nożem półksiężyc na jej brzuchu.

Boyce i Maples poszli na stronę, żeby zwymiotować. Czarodziej schronił się za swoimi lustrami. Widział, jak Calley zbliża się do ciała kobiety, pochyla, opierając ręce na kolanach, i drobiazgowo bada je wzrokiem. Wydawał się autentycznie zaniepokojony.

- Ale bajzel - powiedział.

Złowił w garść kilka much i przytknął je do ucha. Po chwili uśmiechnął się.

- Słyszycie? Pieprzone muchy twierdzą, że tu popełniono jakieś przestępstwo. Jedna wielka plota. Ktoś oprócz mnie to słyszy?

Nikt się nie odezwał. Niektórzy wbili wzrok we własne buty, inni w ciało kobiety.

Calley podszedł do Thinbilla.

- Słyszysz te ploty, stary?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Tak jest.

- Coś takiego. - Calley uśmiechnął się szeroko i przystawił garść z muchami do ucha Thinbilla. - Teraz lepiej?

- Chyba tak.

- Słyszysz jakieś głędzenie o zabójstwie?

Thinbill zrobił krok do tyłu. Był silniejszy i wyższy od Calleya, ale młodszy.

- Nie - odpowiedział.

- Posłuchaj dobrze.

- Nic nie słyszę. Nic.

- Na pewno?

- Tak jest.

Wargi Calleya zwężyły się. Podszedł do Czarodzieja i uniósł pięść z muchami.

- A ty, magiku? Jak tam twój słuch?

- Nie najlepiej - odparł Czarodziej.

- Mnie się nie śpieszy.

- Jestem głuchy.

- Głuchy?

- To taka sztuczka.

Ktoś się roześmiał. Boyce i Maples już wrócili i wycierali usta. Mitchell stał, wpatrując się smutnym wzrokiem w rozplataną klatkę piersiową kobiety.

- No, dobrze - rzekł Calley. - A co ze wzrokiem?

- Słucham?

- Pytam o wzrok. Zauważyłeś ostatnio jakieś akty okrucieństwa?

- W żadnym wypadku. Jestem też ślepy.

Niski porucznik stanął na palcach i wyprężył ramiona jak przystało na prawdziwego dowódcę. Spojrzał po obecnych.

- Plan jest taki. Dość mielenia ozorem. Dowództwu i tak włożył kaktus w dupę od tego gadania o kupie martwych cywilów.

Osobiście tego nie rozumiem. - Uśmiechnął się do Czarodzieja. - Czy te żółtki wyglądają na cywilów?

- Nie.

- Oczywiście, że nie. - Calley zgniótł muchy w pięści, przystawił pięść do nosa i powąchał ją. - Rozwalcie tę wiochę na strzępy. Może znajdziemy jakąś broń komuchów.

Rozbili się na dwuosobowe grupy. Nie mieli czego szukać, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, ale poszukiwania trwały całe popołudnie. O zmierzchu rozbili obóz nad rowem irygacyjnym na samym skraju Thuan Yen. Odór był coraz silniejszy. Przybrał materialną postać oleistej substancji, która powleka płuca i skórę. Z rowu docierało uporczywe brzęczenie. Unosiły się nad nim świetliki, ważki i wielkie robaczniczki z fosforyzującymi skrzydłami. Rów zdawał się jarzyć w ciemności.

- Odjazd - szepnął ktoś.

Po godzinie ten sam głos powiedział:

- Wyłączcie to.

Dręczony bezsennością, zupełnie rozbudzony Czarodziej robił sztuczkę polegającą na oczyszczaniu myśli. Myślał o Kathy, o jej kędzierzawych włosach i zielonych oczach, o jej uśmiechu, o wspianym życiu, które będą kiedyś wspólnie wieść. Myślał o różnicy między morderstwem i wojną. Uznał ją za oczywistą. On sam jest przyzwoitym człowiekiem. Nie miał złych intencji. Tak, a to, co się stało, nie było tworem jego serca. Nie chciał tego, nienawidził tego i pragnął, by to zniknęło.

Zamknął oczy. Odchylił się do tyłu i przycisnął znajdujący się w samym środku jego myśli guzik „Kasuj”.

Tej nocy Thinbill przyszedł do dołka Czarodzieja. Wspólnie obserwowali muchy.

Thinbill wyglądał w pewnym momencie, jakby zasnął. Po chwili zapytał:

- Nie uważasz, że powinniśmy... Że powinniśmy coś zrobić?

- Co mianowicie?

- No, wiesz. Powiedzieć komuś. Porozmawiać o tym.

- I co potem?

Thinbill wykonał rękami nieokreślony ruch. Twarz miał błyszczącą od potu.

- Moglibyśmy o tym zameldować, ty i ja... Byłoby trochę lżej, prawda? Zrobilibyśmy to zespołowo.

- A co z Calleyem?

- To gnój.

- A inni?

- Nie zapisywałem się do mafii. Nie wiąże nas zмова milczenia.

Czarodziej spojrział w noc. Wszystko się poruszało. Dokładnie naprzeciw niego gęste roje much wirowały nad samym skrajem rowu, tworząc w ciemności nieokiełznany neon wściekłości. Przez ich brzęczenie trudno było skupić myśli. Musiał wziąć pod uwagę własną przyszłość, wszystkie swoje marzenia. Pozostawał problem staruszka z motyką. I starszego szeregowca Weatherby'ego. Nie winił siebie - to był odruch, nic więcej - ale dziwnie się czuł na myśl o spowiedzi. Żadnych zapadni, żadnych ukrytych przewodów.

Thinbill trącił go w ramię.

- Nie ma innego wyjścia - powiedział. - Przynajmniej będziemy spokojnie spać.

- Nie wiem.

- Musimy to zrobić.

Czarodziej przytaknął. Nadszedł ważny moment i poczuł nieprzyjemny przymus dokonania moralnego wyboru. Zachichotał.

- No, co ty? - szepnął Thinbill - chyba nie...

Czarodziej nie mógł się opanować. Zakrył twarz dłońmi, położył się na plecach i poddał fali chichotu. Cały się trząsł. Ktoś syknął na niego w ciemności, żeby się zamknął, ale nie potrafił tego zrobić, nie mógł złapać tchu, nie umiał odpędzić nocnego brzęczenia. Ta makabra była w jego głowie. Pamiętał, że się odwrócił, zaskowyczał i zastrzelił staruszka z motyką - automatycznie, bez udziału myśli - a potem wyczołgał się przez płot na rozległe, suche pole ryżowe, pełne słońca i kolorowego dymu. Pamiętał to słońce. Pamiętał długotrwałą, wymytą pustkę, i pamiętał, że stał później nad rowem irygacyjnym, gęsto wypełnionym kobietami, dziećmi i starcami.

Na ten widok zrobiło mu się niedobrze.

- Nic ci nie jest, stary? - zapytał Thinbill, ale Czarodziej nie był już Czarodziejem, był

tylko bezradnym dzieckiem, które nie potrafi opanować chichotu.

Tarzał się po ziemi i wsadzał nos w trawę. Ale nawet wtedy mu nie przechodziło. Widział matki rzucone na własne dzieci, widział ich poszarpane, brązowe twarze. Calley strzelał z ramienia. Meadlo strzelał z biodra. To niemożliwe, pomyślał Czarodziej, ale te kolory są bardzo jasne i rzeczywiste. Mitchell z wprawą akrobaty strzelał przez ramię. Starszy szeregowiec Weatherby puścił dwadzieścia serii, wytarł karabin, ponownie załadował, pochylił się nad rowem, pokręcił głową, po czym wyprostował się i strzelał dalej. To trwało i trwało. Czarodziej zobaczył, jak seria czerwonych pocisków smugowych wypala pupę dziecka. Zobaczył, jak otwiera się czaszka pewnej kobiety. Zobaczył, jak mały chłopiec gramoli się z rowu i zaczyna uciekać, ale Calley go chwytą, przemawia mu do słuchu, zaciąga z powrotem, spycha w dół i zabija. Ciała wyczyniały różne wygibasy. Puszczaly gazy. Bryzgały krwią i kawałkami kości. Z góry, z prawie bezchmurnego nieba, napierało pastelowe słońce, jasne i ciepłe. Ludzie długo umierali w stertach i warstwach.

Były kłopoty z amunicją. Broń Weatherby'ego ciągle się zacinała, więc ją wyrzucił i pożyczył karabin od kogoś innego. Wytarł lufę, wcisnął świeży magazynek, ukląkł i dalej strzelał w szyje i brzuchy. Dzieciaki płakały. Śmierdziało gównem. Z czoła Calleya zwisało coś wilgotnego i żółtego, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Otarł to coś i strzelał dalej. Ciała zwały się w jedno ciało i przemieniły w papkę. „Jakby mnie kto pytał - rzekł Calley - to całe towarzystwo zdecydowanie ma problemy zdrowotne”, a Weatherby odparł: „Chrząż to”, po czym obaj załadowali i otworzyli ogień do papki. Paul Meadlo płakał. Łkał i strzelał z zamkniętymi oczami w kierunku dołu. Mitchell poszedł się wysikać. Znow minęło trochę rozciągliwego czasu, wypełnionego słońcem i wrzaskami, a potem Czarodziej poczuł, że coś mu się osuwa w środku, jakby spadało, i po chwili znalazł się na dnie rowu irygacyjnego. Był w szlamie. Nie mógł się poruszyć, nie mógł trafić na właściwy szlak.

Miał wrażenie, że chichot unosi go do góry.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał Thinbill - nie denerwuj się.

Czarodziej pochylił się i ugryzł go w rękę. Skulił się i zaczął nasłuchiwać ciemności. Wszedł już półksiężyc, blady i chłodny, a nad rowem unosiła się fosforyzująca, niebieska poświata much.

Thinbill cmoknął.

- Oddychaj głęboko - powiedział. - Jakbyś pił wiatr, stary, jakbyś go w siebie wsysał.

- Już mi przeszło.

- Pewnie. Bez dwóch zdań.

Czarodziej opanował się.

Chichot prawie zupełnie ustał. W ciemności objął się mocno ramionami i zaczął się kiwać, próbując nie pamiętać rzeczy, które pamiętał. Próbował nie pamiętać rowu, jego śliskiego wnętrza i tego, że dużo później znalazł go tam starszy szeregowiec Weatherby. „Hej, Czarodzieju”, powiedział Weatherby. Zaczął się uśmiechać, ale Czarodziej go zastrzelił.

- Brawo - rzekł Thinbill. - Wyglądasz już nieźle. O niebo lepiej.

- Już się dobrze czuję.

- Ma się rozumieć.

Wyrzeli w kierunku rowu. Ktoś płakał w pobliżu. Rozlegały się też inne dźwięki. Szczęk menażek, zamka karabinu.

- Już w porządku?

- Jasne. W najzupełniejszym porządku. Thinbill westchnął.

- Zdaje się, że tak do tego trzeba podchodzić. Obracać to w śmiech. Pieprzyć ten świat duchów.

XXII Hipoteza

Może tak było.

Może w bladych promieniach świtu Kathy ułożyła na plaży stertę gałązek. Była sprytną, zaradną kobietą. Pewnie podważyła stalową osłonę evinrude'a. Przyłożyła garść chusteczek higienicznych do świec zapłonowych, pociągnęła za linkę rozrusznika i modliła się szeptem, dopóki bibułka nie zajęła się ogniem.

„Jesteś genialna” - powiedziała pewnie na głos. Może potem uśmiechnęła się do siebie. Może zobaczyła oczami wyobraźni pełną dumy twarz swojej drużynowej.

Potem, osłaniając płonące chusteczki od wiatru, ostrożnie przeniosła je pod stertę gałązek. Patrzyła, jak drewno zaczyna się tlić i wreszcie strzela w górę mocnym płomieniem. Wrzuciła jeszcze parę gałązek, a potem grubsze kawałki. Kiedy ogień rozpalił się na dobre, ściągnęła sweter i koszulę i rozłożyła je na skałach, żeby nabrały ciepła.

Na śniadanie zjadła cukierek.

Doszła do wniosku, że głód, który czuje, nie jest jeszcze najgorszy. Na pewno nie dokuczliwy. W tej chwili potrzebowała tylko trochę ciepła. Przykucnęła, pochyliła się i wyciągnęła dłonie do ognia, wdychając ciepło nosem i ustami. Po przygnębiającej nocy przygnębiający ranek. Płachty mgły wciąż wisiały nad jeziorem, mokre i trwałe. Chłodne powietrze zdawało się wywiercać w jej skórze mikroskopijne dziurki.

Włożyła do ognia kolejną grubą gałąź i spróbowała wymyślić rozsądny plan dnia.

Wysuszyć ubranie, to po pierwsze. Potem napełnić zbiornik na benzynę. Następnie

skierować łódź na południe i płynąć, dopóki nie trafi na zwarty ląd Minnesoty. Po prostu popłynąć przed siebie. Cokolwiek się zdarzy. Później, jeśli głód się zaostry, może spróbować połowić ryby, ale na razie musi w myślach wytyczyć linię przez wodne przestrzenie i podążyć nią do domu. Prosto na południe i nic więcej.

Zacisnęła wargi. To już postanowione. Nie ma co dłużej o tym rozmyślać.

Kiedy ubranie wyschło, wciągnęła je, założyła osłonę na evinrude'a i wlała do zbiornika resztę benzyny. Jeszcze bardziej się ochłodziło. Prawie jak w zimie, gdyby nie ta gęsta mgła. Przestrzeń wody zdawała się uginać pod własnym ciężarem. Dzień był mokry i duszny. Przez chwilę poczuła, że jej zdecydowanie zupełnie się ulotniło. Nic z tego nie będzie, pomyślała. Zgubiłam się, to niezaprzeczalny fakt, i byłoby głupotą udawać, że jest inaczej. Jej niewiedza w dziedzinie natury jest olbrzymia. Północ czy południe to dla niej wszystko jedno, więc albo ją ktoś znajdzie, albo ona nie przeżyje.

Była w niej jednak jeszcze potrzeba ruchu. Mogła przynajmniej wybrać okoliczności, w których będzie się poruszać.

- Więc dość marudzenia - powiedziała do siebie. - Rzuć wyzwanie leniwej rzece.

Zanim zdążyła zmienić decyzję, szybko zapakowała skrzynkę bosmańską i ceratę. Zepchnęła łódź na płytką wodę, wsiadła, włożyła kamizelkę ratunkową, uruchomiła evinrude'a i ruszyła na puste jezioro. Kiedy obejrzała się za siebie, ognisko było już tylko nieznacznym przebarwieniem wśród mgły. Za chwilę znikło zupełnie. Wsadziła jedno ramię pod kamizelkę ratunkową, sterowała drugą ręką. Śmiertelne zimno przesywowało ją do kości. Słońce znajdowało się gdzieś po lewej stronie, za chmurami, więc tam musiał być wschód. Wyczarowała w wyobraźni mapę i stalową linijkę, które miały ją utrzymać na kursie. Mapa była duża i pusta. Kathy napisała u góry „północ”, przyłożyła linijkę i wyobraziła sobie, że łódź płynie wzdłuż niej z góry na dół.

Wykonanie tego zadania dodało jej otuchy. To przecież proste. Posłucha praw geometrii.

W ciągu następnej godziny mgła powoli rozproszyła się na pojedyncze smugi. Niebo było nadal zachmurzone, ale przynajmniej Kathy widziała przed sobą ciemne plamy lasu. Przestrzeń wokół niej wydawała się wyludniona nad wszelkie pojęcie. Z rzeczy zmyło wszystkie kolory, blade, popielate barwy zlewały się z głębokimi, stalowymi szarościami. Miała wrażenie, że pada bezdeszczowy deszcz. Wszystko było mokre, smutne, posępne i mroczne. Nawet ptaki wyglądały ponuro - parę gęsi, parę samotnych nurów. W krajobrazie przebijała rozpustna jednakowość, która obudziła w niej tęsknotę za tablicą reklamową, wieżowcem albo gigantycznym szklanym hotelem, czymś, co byłoby krzykliwe i zrobione

ręką człowieka.

Ta myśl przyniosła jej pewną ulgę.

Może kiedyś zbuduje tu kasyno. Oczko pod plastikowym sklepieniem. Mnóstwo neonów. Ruchome schody na zewnątrz budynku. Przypomniała sobie podróż do Las Vegas przed paroma lary. Byli na jednej z wielu politycznych konferencji, gdzie nie ma nic do roboty - na koszt partii - a John i Tony namówili ją, żeby się z nimi powałęsała. To zabawne, pomyślała, ale po dwóch czy trzech godzinach wsiąkałam po uszy. Zachwycali ją światła. Zachwycali ją odgłos rzucanych kości i automatów do gry. To nie pieniądze nie pozwalały jej zasnąć przez całą noc. Chodziło raczej - w pewien sposób, na którego zgłębieniu jej nie zależało - o możliwość zagarnięcia znajdującej się na wyciągnięcie ręki fantastycznej puli. O możliwość jako taką. O złotą przyszłość. Wszystko było tuż, tuż - kolejny plik banknotów, kolejna karta, kolejna godzina, kolejny szczęśliwy stolik. To miasto, krzykliwe i sztuczne, tandetne w najbardziej dosłownym sensie, reprezentowało wszystko, co ją najbardziej brzydziło, lecz mimo to nie potrafiła się oprzeć zachwytowi na widok czarnego asa spadającego na uśmiechniętą, czerwoną królową. Nie miało znaczenia, że sama zarabia tylko pięć dolarów za godzinę. Liczyło się pulsowanie krwi w żyłach. Pogoń za cudem, upojenie szczęśliwym zakończeniem.

Kathy posłała uśmiech w pochmurny poranek.

- No, dalej - powiedziała, mrugając powiekami. - Bij.

Dziesięć minut później na wprost niej zmaterializowała się porośnięta niskim lasem wyspa. Idealna na kasyno. Na połyskujący, okazały obiekt. W kształcie statku kosmicznego albo może ładnego, młodego penisa.

Opłynęła wyspę wzdłuż wschodniego brzegu i poprawiła w myślach linijkę.

Później, kiedy jezioro znów się otworzyło, powędrowała w myślach do ostatniej, niezwyklej nocy w Vegas. Ona i Tony tkwią przy drgającym od emocji stoliku do gry w oczko, przed nimi cudowne sterty żetonów, mnóstwo zielonych i czarnych. Zapamiętała, że nawiedzały ją zawroty głowy. Przez cały wieczór nad stolikiem wisiał stożek miękkiego, białego - i gorącego - światła, delikatna, skrząca, rozżarzona luna. Wszystko było możliwe. Luksus i szczęście. Od bitych dwóch godzin żadne z nich się nie ruszyło.

Koło północy podszedł do niej od tyłu John. Położył jej dłonie na ramionach i przez chwilę stał w milczeniu. W jego uścisku było coś sztywnego.

- Zyskowna zabawa - powiedział w końcu. - Ładna kasa. Może czas to zwijać.

Zapamiętała swój śmiech.

- Chyba żartujesz - powiedziała.

- Ale nie powinniśmy...

- Tylko patrz...

Zapamiętała, że rzuciła Tony'emu roześmiane spojrzenie i pchnęła przed siebie cztery zielone żetony. Czowała gorąco na skórze. Była ledwo świadoma dotyku wbijających się w jej ramiona palców Johna. Kiedy krupier dostał furę, krzyknęła z zachwytu i uderzyła dłońmi o stół. John wzmocnił uścisk.

- Bardzo ładnie - powiedział.

- Bardzo! Dużo ładniej niż bardzo - odparła.

- I do tego późno.

- Późno?

- Niedługo będzie późno.

- Nieprawda. O Boże, chyba musieliby zbombardować ten budynek.

- No, dobrze. Tylko to do ciebie niepodobne.

Tony podniósł wzrok z wymuszonym, bladym uśmiechem.

- A którą ją masz na myśli? Wygląda na to, że ma ona mnóstwo wcieleń. Jedna tu, druga tam.

- Czyżby?

- Owszem. Tak.

Po chwili wahania John zmusił się do krótkiego, niepewnego śmiechu.

- Nie rozumiem.

- Chyba rzeczywiście nie rozumiesz.

Zapamiętała, jak dłonie Johna zsunęły się z jej ramion. Znow roześmiał się sztucznie i oddalił, ginąc w tłumie.

- Nie przejmuj się - powiedział Tony.

- Nie będę. Już się nie przejmuję.

- To bez znaczenia.

- Oczywiście.

Grali jeszcze przez kilka minut, obserwując wędrujące przez stół w przeciwnym kierunku żetony, potem wymienili resztę na pieniądze, przenieśli się do hałaśliwego baru ze skórzanymi fotelami i zamówili drinki. Mimo chwili złej passy Kathy zarobiła ponad osiemset dolarów, a jednak nie czuła nic oprócz bólu w żołądku. Kasyno stało się ponownie tylko kasynem.

- Karta przychodzi, karta odchodzi - rzekł Tony. Spojrzał na nią uważnie. - Takie jest życie. To nie jego wina.

- Drań.

- Nieprawda.

- Jest zepsuty - powiedziała. - Nie może znieść, że coś się udaje.

- Masz kupę forsy w portmonetce.

- Nie chodzi o pieniądze.

- Nie?

- Ani trochę. Chodzi o coś więcej. - Była świadoma urazy w swoim głosie, lepkiej goryczy, która przywierała jej do podniebienia. - To było niewiarygodne uczucie, prawda? Straszliwe i jednocześnie fantastyczne. Jakbyśmy mieli... sama nie wiem... jakby ktoś na nas rzucił czar.

- To nie był czar. To był uśmiech losu.

- Wszystko jedno. Stanowiliśmy wspaniałą drużynę.

Tony spuścił wzrok na swojego drinka i zamieszał go czubkiem kciuka.

- Owszem - powiedział - ale nie lekceważyłbym znaczenia pieniędzy.

- Po prostu świetnie się czułam i tyle. A on wszystko zepsuł, rozwiął czar.

- Nie zrobił tego specjalnie.

- Kto wie?

- On taki jest - rzekł Tony. - Taki ma charakter.

- Nie mówmy o tym.

- A o czym?

- O czymś przyjemnym. O emocji.

- Przeżyliśmy długą chwilę zwycięskiej emocji.

- Tak - przyznała Kathy.

- Możemy spróbować jeszcze raz.

- Za moment. Przyjemnie mi się tu siedzi.

Zapamiętała, że Tony wydał krótki pomruk przypominający odgłos przetwarzania nowej informacji przez komputer. Przebiegł swymi szybkimi, małymi oczkami po kasynie. Jest zdenerwowany, pomyślała, albo się czegoś obawia, bo jego spojrzenie nie zatrzymuje się na żadnym przedmiocie. Dziwne z niego stworzenie. Szorstki i nieśmiały, cyniczny i zarozumiały, nieuprzejmy i niepewny siebie aż do samonienawiści. Te cechy nie godzą się ze sobą. Tak samo jak elementy jego dzisiejszego ubioru - sztruksowe spodnie od garnituru, różowa sportowa koszula i sfatygowane czarne buty. Zabawne, gdyby nie to, że takie smutne. Ta koszula dodaje mu w brzuchu dziesięć kilo. Włosy, które zaczesał równo do tyłu, wydają się cienkie i bezbarwne.

Dziwaczny, to jest odpowiednie słowo. Zwłaszcza te oczy. Ciągłe myszkuje spojrzeniem, ciągle szpera wzrokiem po kątach.

Kiedy się odezwał, jego głos był jednak łagodny i pełen troski. Nie patrzył na nią.

- Powinniśmy chyba mieć na uwadze - powiedział - że twoja ważniejsza połowa nie pokłada zbytnej wiary w kobiecej łut szczęścia. Nie wierzy w ryzyko. Ten iluzjonista w jego wnętrzu lubi wcześniej ułożyć karty. Uśmiech losu jest dla niego nieistotny.

- Bronisz go?

- Nie. Nie ująłbym tego w ten sposób.

- A jak byś to ujął? To ciekawe.

- On taki już jest - rzekł Tony. Dopił drinka. - To ty za niego wyszłaś.

- No tak. Racja. - Spojrzała na drugą stronę kasyna, gdzie stał John z grupą młodych senatorów. Wszyscy mieli świeże twarze. Wszyscy byli eleganccy, spryskani wodą kolońską i dokładnie ogoleni. - Tak czy inaczej - powiedziała - on nie układa kart.

- Skoro tak mówisz.

- Nie układa.

- Chcesz jeszcze jednego drinka?

- Jasne. Ogromnego. On nie jest kanciarzem.

Tony podniósł wzrok i uśmiechnął się, ale jego spojrzenie jak gdyby ześliznęło się po jej czole. Zachichotał.

- Nie, chyba nie jest. Wyrzynać smoki, karmić biednych.

Ja to podziwiam. Tylko że jego mało interesuje przegrywanie. - Opadł ciężko na oparcie fotela. - Weźmy jego hobby. Jak facet wyciąga królika z kapelusza, to nie wrzeszczysz: „Kanciarz!”, prawda? Każdy wie, że to sztuczka. To ma być sztuczka. Więc tylko klaszczesz jak wariatka i myślisz sobie: „Rany, sprytny z niego sukinsyn”. Tak samo jest z polityką. To banda oszustów. Wszyscy robią jakieś ukryte ruchy. - Zamilkł i uśmiechnął się do niej szeroko. - Otwarta podłość wyklucza skuteczność. Taka jest istota przedstawienia.

- Ciebie to też dotyczy?

Uśmiechnął się.

- Jestem zaufanym pomocnikiem. Podaję rekwizyty. Ładuję mu króliki.

- Przecież uwielbiasz intrygi.

- Niestety, Niestety. Rzeczywiście je uwielbiam.

- A John?

- Jest moim panem i mistrzem. - Tony westchnął. Dał kelnerowi znak ręką i postawił swój kieliszek do góry dnem. - Moim Davidem Copperfieldem. Może pewnego dnia

przetransportuje mnie do Waszyngtonu i odegramy tam razem wielkie przedstawienie.

- Postaw na karierę solową - powiedziała Kathy. - Sam zostań gwiazdą.

- Jeszcze czego.

- Mówię poważnie.

Tony wywrócił oczy.

- Bardzo pomysłowe. Wyglądałbym superwysmukło w ciuchach Copperfielda.

Obcisłe spodnie, błyszcząca kamizelka.

- Nie bądź śmieszny.

- Co takiego?

- Przecież nikogo to nie obchodzi.

Wydał z siebie krótki dźwięk na granicy wściekłości.

- Nikogo nie obchodzi, że co? Że potrzebny mi peryskop, żebym mógł znaleźć własnego kutasa? Tacy jak ja, spaślaki, znają swoje miejsce. I nie truj mi o zrzucaniu kilogramów.

- Nie będę.

- Miałaś to już na końcu języka.

Przytaknęła.

- Masz rację.

- Tak. Mam rację.

- I co z tego?

- I nic.

- Koniec meczu - powiedziała i położyła dłoń na jego ręce. - Przykro mi. Bądźmy dla siebie po prostu mili. Gdzie ten kelner?

- Prawda. Kelner.

- Przykro mi.

- Elegancka, pomysłowa Kathleen.

Przez następną godzinę robili wszystko, co w ich mocy, żeby odzyskać utracone emocje. Zapamiętała śmieszne szczególiki. Różową koszulę przylegającą do jego okrągłego brzucha. Jego dłonie, które nie mogły uleżeć spokojnie. To, że ciągle mieszał drinka i ślizgał się spojrzeniem po jej twarzy, wędrował nim w dół wzdłuż linii jej ramion, a potem zbaczał w ciemność za jej plecami.

Nawet teraz, spoglądając na płaską, szarą przestrzeń jeziora, czuła skrepowanie w jego gestach, widziała maskę drwiny i cynizmu, za którą się ukrywa.

Dziwne stworzenie, pomyślała znowu. Dziwaczne.

Lekko poprawiając położenie rumpla, Kathy przyłożyła łódź do wymyślonej linii. Mgła już się prawie podniosła. Na wschodzie wisiało za chmurami bezkształtne białe słońce, rozmyte i pozbawione ciepła. Gdzieś połykiwały wśród fal plamy metalicznego błękitu. Nie pada, pomyślała. Przynajmniej to dobre. Ale poranek wyraźnie się ochłodził. Przejmujący ziąb kłuł jak drut kolczasty. Poczowała przelotną tęsknotę za porannym ogniskiem. To błąd, że je zostawiła. Chyba poważny błąd.

Postanowiła, że przestanie o tym myśleć.

Pomyśli o czymś innym.

Jaki mamy dzień?

Któregoś września - chyba dwudziestego. Albo dwudziestego pierwszego. Co oznacza, że jeszcze jest kalendarzowe lato. Nie zamrznie. Los można odwrócić. Jej się to uda - znów poczuje tamtą żarliwość. Tak. Również z Johnem. Wbrew wszystkiemu bardzo go kocha, po prostu bardzo. Zawsze go kochała. Ale kiedyś towarzyszyła im ta zdumiewająca żarliwość. Żyli w niej niczym w jasnej, białej poświacie, która zdawała się ich wciągać i unosić poza granice zwyczajności. Trwali w zawieszeniu. Właśnie tak trzeba nazwać to uczucie. Inne małżeństwa mogły czerstwieć, ale nie ich, bo uległo w nim zawieszeniu prawo przeciętności, czy też oni zawisli ponad przeciętnością. Tylko parę zwycięstw w wyborach, potem jeszcze parę, a później miało ich już czekać wspaniałe życie, którego pragnęli i na które zasłużyli - postawili na nie, a stawką było dziecko w jej brzuchu - ale żarliwość gdzieś zniknęła, sromotnie przegrali i najwyraźniej nadal przegrywają.

Chciała odzyskać to uczucie. Chciała znów wierzyć, chciała tylko mieć nadzieję i jej nie tracić.

Kathy zamknęła na moment oczy. Kiedy je otworzyła, na skos od dziobu, w odległości mniej więcej pół kilometra, spostrzegła grupkę ostro zarysowanych wysepek; jezioro dzieliło się na sześć wąskich kanałów, rozchodzących się w gęstwinie jak szprychy w rowerze.

Sprawdziła swoje położenie względem słońca i wybrała szlak, który zdawał się biec na południe.

Idź za głosem emocji.

Płyń za głosem emocji.

Pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Przypomniało jej się, że tamtej nocy w Vegas Tony wytłumaczył jej po trzech czy czterech drinkach z drobiazgową, pijacką ścisłością, że uśmiech losu można sprowokować. Wystarczy, powiedział, otworzyć się jak okno i czekać na łut szczęścia. Wtedy zaczęli rozmawiać o zaklinowanych oknach. Tony zaproponował, żeby

Kathy się odklinowała. Wzruszyła ramionami i odparła, że raz spróbowała, ale nie poszło jej dobrze. A właściwie bardzo kiepsko. Nie wymieniła imienia Harmona ani nie wyjaśniła, co się stało w Loon Point. Wspomniała tylko, że odklinowanie skończyło się wyjątkowo niezręcznie. Wynik okazał się nieprzyjemny, powiedziała. Totalna klęska. Żadnej żarliwości. Tony słuchał jej, błędząc wzrokiem gdzie indziej, a kiedy skończyła, pokiwał głową i powiedział: „Rozumiem sens tej opowieści”, a ona dodała: „Obawiam się, że to nie ma sensu”. Zapytała, czy chce dowiedzieć się czegoś więcej. Odparł, że dziękuje, ale nie. Może i tak wiedział. To prawdopodobne. Ale nie miał pojęcia o jej bólu i cierpieniu, więc opowiedziała mu tę część historii. Powiedziała, że potem nie mogła spać przez wiele miesięcy. Powiedziała, że to odklinowanie było potworne, a kiedy dobiegło końca, zależało jej tylko na jednym: żeby nie wyszło na jaw. Wkrótce sekret okazał się jednak straszniejszy niż jego treść.

- Więc się dowiedział? - zapytał Tony.

- Częściowo. Nie o wszystkim.

- I co?

- Płacz, coś potwornego. Powiedział, że byłem dla niego święta. Mój język, moje wnętrze. Nasze my. Gdyby to się powtórzyło, odszedłby na zawsze.

- A powtórzy się?

- Oto pytanie. - Zapamiętała, że potrząsnęła głową i wstała. - Niepotrzebnie cię zanudzam. Idiotka ze mnie.

- Nie zanudzasz mnie.

- Ale jestem idiotką. Chodź, spróbujmy szczęścia.

Grali jeszcze przez godzinę, głównie przegrywając, a potem wjechali windą na siódme piętro. Przed drzwiami do jej pokoju Tony powiedział: „Pocałowałbym cię, gdybym nie był takim grubym wieprzem”. Ona roześmiała się i odparła: „Ty pocziwino”, a potem pocałowała go w policzek.

- Teraz mogę żyć wiecznie - rzekł Tony.

- Dobranoc - powiedziała.

- Jeszcze jak.

Otworzyła drzwi i popatrzyła, jak oddala się korytarzem.

John leżał w pokoju, tuląc w ciemności poduszkę. Oddychał ciężko i płytko. Może udaje, że śpi - stać go na to. Zapamiętała, że zdjęła ubranie, odsunęła przykrycie i położyła się obok Johna, nie dotykając go. Była zmęczona ciągłymi próbami. Tyle ich już było. Nie teraz. Może sam się podotykać. Przekręciła się na swoją stronę łóżka i leżała tak przez dłuższą

chwile, wsłuchana w odgłosy kasyna i zapatrzona w rosnącą przed nią stertę kolorowych żetonów. Wygrała blisko siedemset dolarów. Tygodniową pensję. Ale w gruncie rzeczy nie chodziło o pieniądze. Liczył się odległy poblask wszystkiego, co w świecie możliwe, rzeczy, których zawsze dla siebie pragnęła, choć nie potrafiła ich nazwać i z braku innego słowa opisywała jako szczęście. Może za bardzo liczyła na pomoc Johna w nazwaniu tych rzeczy. Niewykluczone. Ale nie miała takiego wrażenia. Przeważało inne odczucie - że wspina się na górę, która wznosi się ku chmurom, która nie ma szczytu i nie ma końca. Przypomina to pracę. Nie ma w tym wesołości, nie ma towarzyszącej im niegdyś radości. Wróciła myślą do studenckiej zabawy w „Spróbuj tylko” w narożnym zakątku przytulnego baru. Ryzykowali, prowokowali się nawzajem i dobrze na tym wychodzili. Była wtedy między nimi żarliwość. Nie mogli przegrać.

Zapamiętała, że wyśliznęła się z łóżka. John mamrotał coś ze złością przez sen.

Nawet wówczas go nie dotknęła.

To by nie pomogło. Nic by nie pomogło.

Włożyła po ciemku czystą jedwabną suknię i uczesała włosy. Odszukała torebkę, wyszła na korytarz, zamknęła za sobą drzwi na klucz i zjechała windą do kasyna. Była trzecia rano, ale gwarne kasyno tętniło życiem. Wybrała stolik, który wyglądał na szczęśliwy, i wcisnęła się między dwóch azjatyckich dżentelmenów. Od razu poczuła się lepiej. Światło było obiecujące. Zamówiła kawę i sok pomarańczowy, kupiła za siedemset dolarów zielone żetony, uśmiechnęła się do krupiera, poprosiła go o tłustą wygraną i trafiła ją za drugim razem.

Werona, pomyślała. Wygra sobie przyszłość.

Płyn za głosem emocji.

Ustawiła łódź wzdłuż wymagowanej linii. Była kompletnie zagubiona i kończyła jej się benzyna. Patrząc na niezmierzone szare przestrzenie nieba, lasu i wody, nie dawała sobie wielu szans. Trzeba rozdać karty, pomyślała. Zawsze istnieje jakieś prawdopodobieństwo. Bez gry nie ma wygranej.

XXIII O tym, gdzie szukano

Dwudziestego drugiego września o wpół do siódmej rano Claude Rasmussen dobił swoim pięćipółmetrowym chris-craftem do pomostu, leżącego u stóp żółtego domu w hrabstwie Leśne Jezioro. John Wade pomógł staruszkowi zacumować, podał ramię Pat, żeby mogła wsiąść, i pobiegł na werandę po styropianową chłodziarkę, do której Ruth włożyła napoje i kanapki. Czuł, że wzbiera w nim fala świeżości. Nie był to jeszcze optymizm, ale już

coś zdrowego, jakaś jasność, której nie miał w sobie od dawna.

Kiedy wrócił do łodzi, Claude pochylał się właśnie nad postrzępionym atlasem.

- Przydałaby się nam, cholera, różdżka - powiedział. - Marne nasze widoki, chyba że się wykażemy szaloną intuicją.

Wade zapakował chłodziarkę i usiadł obok Pat. Nie patrzyła na niego. Spojrzała przelotnie na jezioro, a potem wskazała ręką na sznur odległych o dwa, trzy kilometry wysp.

- Tam - powiedziała. - Blisko domu.

Claude przytaknął. Odepchnął się lekko od pomostu, kierując wielką łódź dziobem w stronę fal.

- Trzymać się mocno - powiedział. - Mamuśka rusza w drogę.

Przez dziesięć minut trzymał kurs prosto na wschód, w kierunku wysp. Płynął na pełnym gazie. Był nieprzyjemny, mglisty poranek, jak gdyby zaczynała się zima. W anemicznym świetle Wade widział, jak wiatr porywa jego oddech, jak małe, srebrzyste podmuchy znikają w połaciach głębszego srebra. Niebo było pochmurne i ciężkie. Kiedy zbliżyli się do pierwszej wysepki, Claude zredukował gaz i popłynął na północ wzdłuż brzegu. Okolice była wstrząsająco odludna - skały, las i nic więcej. Okrążyli wyspę, po czym ruszyli na wschód, mijając kilka mniejszych wysepek. Nie było śladu ludzkiej obecności, ani teraźniejszej, ani przeszłej. Po godzinie Wade zdał sobie sprawę, że pogrąża się w rozmyślaniach. Nie miał nic do powiedzenia i nie czuł potrzeby mówienia. Siedział oparty plecami i nucił coś cicho, lustrując powierzchnię wody w poszukiwaniu czegokolwiek, co zwróciłoby na siebie uwagę. Może kawałek łodzi albo wiosła, albo białej tenisówki. Czy tenisówki unoszą się na wodzie? Czy przetrwałoby narysowane przez niego serce? JOHN + KATH? A ludzkie ciało? Jak długo unosi się na powierzchni? Ile czasu utrzymują się gazy?

Nie mógł się skoncentrować. Próbował dzielić jezioro na kwadraty, a potem dokładnie badać wzrokiem każdy z nich. Nucił melodię starego marsza wojskowego. Uświadomił sobie, że jego słowa chodziły mu po głowie od samego rana „Znam jedną dziewczynę, co Jill ma na imię!” Nie mógł się od nich odczepić, melodia opadała i zawracała... „Znam jedną dziewczynę, co Jill ma na imię, o, mój kotku!...” Przypomniawszy sobie, jak grzązł w błocie w porze monsunów, wszystko było mokre i brudne, wojna chlupała mu w płucach jak płyn, a cała kompania maszerowała w deszczu ze śmiechem i śpiewem na ustach. Wracały też inne piosenki, pojawiały się inne duchy, dziwne przebliski różnych obrazów - Kathy ganiająca go po mieszkaniu z pistoletem na wodę, starzec z motyką, starszy szeregowiec Weatherby, który zaczyna się uśmiechać, coraz gładsza, wilgotniejsza skóra Kathy, gdy kochali się w lipcowym upale, ich przywierające do siebie brzuchy, odgłos ruchu ulicznego za oknem, jej spojrzenie,

mięknące, odpływające i uciekające daleko w głąb, sposób, w jaki czasem mamrotała przez sen, tak, i inne szczęśliwe chwile - czasy, gdy był Frankiem Sinatrą, gdy robił striptiz, pisał po sypialni goły jak święty turecki i śpiewał „Ciosy mnie nie ominęły”, sadząc wielkie susy i kręcąc tyłkiem, a Kathy piszczała, śmiała się, radziła, żeby odłożył tego siurka, padała na łóżko, łapała się za stopy jak dziecko i kołysała z piskiem i śmiechem, i nie mogła się opanować.

- Senatorze, jest pan tutaj?

Wade podniósł wzrok. Staruszek, który sięgał właśnie do tyłu po puszkę wody sodowej, spojrział na niego z ukosa. Płynęli wzdłuż wyspy, która wyglądała identycznie jak wszystkie pozostałe.

- Przepraszam. Byłem myślami gdzie indziej.

- Zauważyłem.

Wade usiłował sklecić stosowne zdanko. Czuł na sobie presję niejawną cenzury.

- Jest pan zielony na twarzy - powiedział Claude. - Przez chwilę myślałem, że zwrócił pan śniadanko. Rzuć pan hasło, to trochę odsapniemy, poszukamy jakiegoś miejsca na postój.

- Nie ma mowy - rzekła Pat.

- Ale jeśli on...

Pat odwróciła się gwałtownie.

- Przecież dopiero zaczęliśmy, na litość boską. Mógłby chociaż trochę się postarać.

- Staram się - powiedział Wade - wcale nie...

- Gówno prawda.

- Pat, przestań.

- Znów to samo. Cholera jasna. - Jej wzrok ślizgał się po powierzchni jeziora. Wiatr wydawał donośny świst.

- Słuchajcie oboje - powiedział Claude - może by tak trochę wzajemnej uprzejmości. Buzie zamknięte, oczy otwarte. Ta zasada naprawdę się tu przydaje.

- Ale on nawet nie... Siedzi tylko i podsypia.

- Słuchaj, ja nie...

- Dość tego - rzekł Claude. - To przesada.

Wade spojrział na wodę. Przyszło mu do głowy, żeby skorzystać z okazji i ogłosić swoją niewinność. Oburzyć się. Wygłosić donośną, pełną gniewu orację. Wyjaśnić, że ta sprawa to jedna wielka tajemnica, że on kocha swoją żonę i chce ją odzyskać, a cała reszta się nie liczy.

Zacisnął dłonie.

- Posłuchaj, Pat - powiedział. - Nie wiem, co sobie wyobrażasz. Ale cokolwiek by to było, jest mi przykro.

- Cudownie.

- To nie przeprosiny.

- Nie mam wątpliwości - odparła.

Dwukrotnie zauważyli przesuwające się bezgłośnie w pewnej odległości inne łodzie uczestniczące w poszukiwaniach. Później, kiedy już się zbliżali do Wyspy Magnusona, nad ich głowami wykonał skręt mały czerwony hydroplan. Przeleciał tak blisko, że zauważyli brodę pilota i jego słomkowy kapelusz. Głównie jednak widzieli pustą płaszczyznę wody. Przy Wyspie Buckete skręcili na zachód i popłynęli w kierunku American Point, gdzie przez godzinę z górą sunęli tuż przy brzegu na półobrotach.

Wczesnym popołudniem niebo już się nieco wypogodziło. Wciąż wiał wiatr, który napędzał wysokie fale, ale od zachodu, przy horyzoncie, rozsypały się na powierzchni jeziora promienie słońca. Pat zdjęła marynarkę i rozprostowała ramiona. Miała na sobie żółty sportowy sweter, który był o numer za mały, dało się więc zauważyć, że podnoszenie ciężarów przyniosło rezultaty. Okazałe stworzenie, pomyślał Wade. Ta jej postawa, sposób atakowania świata. Siedział prosto, pamiętając o miękkiej, podwójnej fałdzie na swoim brzuchu.

Koniec z gorzałą, postanowił. Ani kropli więcej.

W południe zjedli kanapki, po czym ruszyli dalej na północ, przez prawie puste przestrzenie wody. Wade był nadal zamknięty w sobie. Wciąż miał uczucie, że jest obserwowany - ten przemyślny sposób odwracania głowy przez Pat, jej spojrzenie, które zawsze spoczywało na przedmiotach w jego pobliżu. Mówił sobie, że powinien to ignorować. Nic nie może na to poradzić. Jest głównym podejrzanym. Nie tylko w oczach Pat - w oczach wszystkich. Arta Luxa i Vinny'ego Pearsona, gazet, partyjnych szych i całego czepialskiego stanu Minnesota. Nie może ich winić. Próbował wykonać sztuczkę, która jest niewykonalna, czyli stworzyć się od nowa, zlikwidować wszystko, co było, i wymienić to na rzeczy dobre i nowe. Powinien był przewidzieć, że to się tak skończy. Powinien był usunąć tę część z przedstawienia. A przede wszystkim nie powinien był nigdy dawać tego pieprzonego spektaklu. To żałosne, pomyślał. I wszystkich głównie obchodzi, jaki on przeżywa stres. Dwadzieścia lat pracy. Uśmiechów, kochania się, wspólnych śniadań, odstawiania gadki, odpędzania sennych koszmarów i prób wymyślenia dla siebie jakiegoś przyzwoitego życia. Nigdy nie miał złych intencji. Owszem, może chciał użyć podstępów, ale jego motywy były jak najuczciwsze.

Nikt o tym nie wie. I jest oczywiste, że nikogo to nie obchodzi.

Kłamca i oszust.

Takie podjął ryzyko. Trzeba żyć wewnątrz swoich sztuczek. Trzeba być Czarodziejem. Wiara albo klęska. Więc przez dwadzieścia lat wierzył.

Teraz to się kończy, pomyślał.

Jeszcze jeden palant bez kart w rękawie.

Już prawie zapadł zmrok, kiedy przycumowali do przystani w Angle Inlet. Panowała przygnębiająca atmosfera. Ponad tuzin łodzi podskakiwało na falach przy pomostach, niespokojnym drganiem kadłubów witając zapadający zmrok. Na plaży paliło się ognisko, wokół którego stali ogorzali mężczyźni, paląc papierosy i pijąc piwo. Wade doszedł do wniosku, że nawet z daleka w ich głosach wyraźnie pobrzmiewa coś żałobnego. Co jakiś czas rozlegał się śmiech, lecz nawet on zdawał się częścią głębszego, trwalszego smutku. To mu przypomniało rozmowy toczące się przez kilka godzin po walce. Po śmierci Webera czy Reinharta, czy starszego szeregowca Weatherby'ego. Była w nich ta sama melancholia. Ta sama wznosząca się i opadająca melodia.

Claude stał i przez chwilę przyglądał się scenie. W gasnącym świetle jego twarz wydawała się wymizerowana.

- Coś mi się wydaje - powiedział - że to nie wesele.

- Wciąż mam nadzieję...

- Rany boskie. Wszyscy ją mamy.

Staruszek podciągnął spodnie, wziął Pat za rękę i pomógł jej zejść na plażę. Wade szedł kilka kroków za nimi. Czuł, że zawartość jego żołądka robi się dziwnie pienista. Kathy nazywała to bulgoczącymi flakami. Objaw napięcia związanego z byciem w centrum uwagi. Fizycznie czuł, że odwracają się głowy, a powietrze za jego plecami zamiera. Szedł prosto przed siebie, w kierunku ogniska, usiłując zrównoważyć proporcje między opanowaniem i męžowską troską. Gdzieś rozlegały się głosy wsparcia - ciemne brody, pochmurne spojrzenia - a kiedy sunął do przodu, miał wrażenie, że popychają go wzbierające szepty.

Przed nim, przy ognisku, Art Lux i Vinny Pearson witali się z Pat. Wade, który nie był pewien, co ma ze sobą zrobić, zatrzymał się i czekał.

Ktoś klepnął go w ramię. Ktoś inny podsunął mu puszkę piwa.

- Jutro będzie jutro - powiedział Lux, a jego głos na moment zginął w warkocie wielkiej, dwusilnikowej łodzi, która właśnie zbliżała się do pomostów. Odwrócił się i skinął głową w kierunku Wade'a. - Obawiam się, że nie mamy szczęścia. Rano znów ruszymy. Nikt nie daje za wygraną.

Silniki wielkiej łodzi zamilkły. Zablęskły jej światła pozycyjne i ciężka cisza wypełniła ciemność.

Lux zrobił krok do przodu. W świetle ogniska jego spojrzenie wydawało się łagodne i troskliwe.

- Cieszę się, że jest pan znów na nogach. Zdrowo pan wygląda.

Vinny Pearson roześmiał się.

- Jak rybka - powiedział. - Wreszcie może zdrowo pierdnąć. Potrzebował na to trzech dni.

Szeryf machnął ręką. Spojrzał na Wade'a, jakby spodziewał się usłyszeć dowcip.

- Niech go pan olewa. Pani Hood i ja pójdziemy teraz poszukać jakiegoś miejsca na rozmowę. A wy, chłopcy, może byście zawarli rozejm.

- Nie, dziękuję - odparł Wade.

- Ja tylko rzucam pomysł.

Wade spróbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

- O, Chryste - powiedział. - Gdzie tu sens?

- Słucham?

- Wszyscy myślą... - Odwrócił się. - Mam, cholera, dość. Powyżej uszu.

- Biedaczek - rzekł Vinny Pearson.

- Zwłaszcza tego typa.

- Pewnie, gdybym był na pana miejscu...

- Wielki detektyw-albinos.

Vinny pochylił głowę. W jego oczach zablęskły pełne słodczy, żółte ogniki.

- Nie jestem albinosem - powiedział. - Jestem Szwedem.

- To świetnie.

- Zgadza się.

Stali bokiem do siebie, unikając swego wzroku. Claude wśliznął się między nich.

- Hej, odsuńcie się. Tylko tego nam brakuje.

Vinny prychnął.

- Nie jestem, do diabła, albinosem.

- Tylko embrionem - powiedział Wade.

- No, tego to już...

- Nasz wielki, biały albinoski embrion.

Palce Vinny'ego zacisnęły się na chwilę. Wade'owi przyszło do głowy, że łączy ich intuicyjna wiedza o tym, co jest istotą zwierzęcia o nazwie człowiek. O tym, co jest możliwe,

a co nie.

Czuł się rozluźniony i niebezpieczny - znów pojawiło się uczucie płynięcia.

- Powiem coś panu, do cholery - wycedził Vinny. - Czy jestem albinos, czy nie, nigdy nie brałem udziału w masowym mordzie.

- Teraz ma pan szansę.

- Odpierdol się.

- Dobra. Ale ty też.

Vinny odczekał chwilę, odwrócił się i zatrzymał dopiero w ciemności poza zasięgiem światła z ogniska.

- Przydałaby się surowica prawdy - warknął. - I beczki nie byłoby za mało. - Zachichotał i oddalił się.

Wade był świadom głosów za plecami. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, jak Lux prowadzi Pat na ławkę po drugiej stronie plaży. Claude położył rękę na ramieniu Wade'a.

- Niech pan nie zwraca na to uwagi. Ubawił mnie ten albinos.

- Tak. Ubawił.

- Chodźmy się gdzieś ulokować.

Zbliżyli się do ogniska. Sześć czy siedem śniadych twarzy skłoniło się pod czapkami, gdy Claude go przedstawił, a potem

Wade przez dłuższy czas siedział i słuchał rozmowy prowadzonej - jak mu się zdawało - w innym języku. Była nieprawdopodobnie abstrakcyjna: pływy, wiatry i prądy w kanałach. Miał trudności ze skupieniem się. Częściowo z powodu Vinny'ego, częściowo na skutek swego płynięcia. Raz czy dwa zdał sobie sprawę, że zniosło go na manowce rozmowy i buja bez celu w obłokach. To inny świat, pomyślał. Logika dnia powszedniego stanęła na głowie. Podstawowe treści jego codziennego bytu przeistoczyły się w coś mglistego i krańcowo niestałego. Co jest rzeczywiste? Co nie jest rzeczywiste? Na przykład Kathy - żadnej trwałości. Trudno byłoby wyobrazić sobie, że tu i teraz, w tej chwili, patrzy na to samo rozgwieżdżone niebo.

Niewiele czuł. Wypił łyk piwa i spróbował wziąć się w garść.

- Ci goście - mówił Claude - to wodniacy pełną gębą.

Prawdziwi fachowcy. Wydobędą ją spod ziemi.

Z ciemności dobiegły potakujące mruknięcia.

Po drugiej stronie plaży Lux i Pat byli pogrążeni w rozmowie. Wade obserwował ich przez chwilę, zastanawiając się, czy nie podejść i nie zażądać kajdanek. Wyśpiewać parę sekretów. O imbryku i o hangarze. Przyznać, że nie jest pewien. Przynajmniej raz w życiu

powiedzieć wszystko. Porozmawiać o ojcu. Wy tłumaczyć, że całym jego życiem rządziły lustra, a teraz jest zupełnie zbity z tropu, zupełnie zdezorientowany, i nie ma pojęcia, jak z tego wybrnąć. To była prawda. Gównu rozumiał. Nie wiedział, gdzie jest, jak się tu dostał, ani dokąd ma iść dalej.

Dużo później, jak mu się zdawało, Claude poklepał go po ramieniu. Wstali i podeszli do miejsca, gdzie rozmawiali w ciemności Pat i Art Lux. Vinny Pearson zniknął.

Wade zapiął kurtkę na suwak.

- Zapadł wyrok skazujący? - zapytał uprzejmym tonem.

Rano wypłynęli znowu, podobnie jak każdego następnego dnia przez kolejne dwa tygodnie. Jezioro było ogromne i puste.

Ósmego października Policja Stanu Minnesota odwołała swoje trzy samoloty poszukiwawcze. Cztery dni później Patrol Graniczny USA zredukował swoje działania do zwykłych rutynowych czynności, a siedemnastego października intensywne poszukiwania prowadziły już tylko trzy łodzie prywatne.

Na ogół utrzymywała się dobra pogoda - rześkie dni, zimne noce. Rano dziewiętnastego października spadł śnieg, a dwa dni później złapał lekki mróz, ale niebo wkrótce się roz pogodziło, z południa zaczął wiać ciepły wiatr i jesienne słońce znów jasno świeciło.

Ta codzienna rutyna pozwalała Wade'owi przetrwać.

Rano Ruth Rasmussen szykowała pojemnik z kanapkami i napojami. Claude i Pat oglądali atlas, nanosząc nań czerwonym ołówkiem adnotacje, potem schodzili wszyscy do łodzi i przez cały dzień zataczali na jeziorze wielkie, srebrzyste łuki. Przestrzeń wody była potężna. Wade z czasem zrozumiał, że tu praktycznie wszystko się gubi. Woda w jednym miejscu to ta sama woda, która jest w innym miejscu. Nie ma indywidualności, tylko sama powszechność. Lasy mieszają się z lasami, niebo połyka niebo. Samotność zwraca się ku samej sobie. Wszędzie jest nigdzie. Panuje tu doskonała jedność, doskonała identyczność; płaskie, zwierciadlane wody ukazują dokładne odbicie innych odbić, wszystko istnieje w zwielokrotnieniu, wszystko jest hipnotyczne, niebieskie, pozbawione sensu i zawsze takie samo. Wade doszedł do wniosku, że to tu trafiają wszystkie zgubione rzeczy. Upuszczone monety. Igły ze stogów siana.

Nie było czego szukać - wiedział o tym - ale wpatrywanie się w bezkresne lasy i wody napawało go dziwnym spokojem.

Przypominało lustrzane pudełko w jego głowie, do którego wkładał się, żeby na jakiś czas zniknąć.

- Nie i już - rzekł Claude.
- Objęlibyśmy poszukiwaniami większy obszar.
- Nie.
- Ale to by przecież... Miałbym przy sobie mapy.
- Mapy srapy. Jak mówię, że nie, to nie.
- I tak mogę to zrobić.
- Może pan.
- Więc dlaczego nie?

Staruszek westchnął.

- Po prostu nie.

Przy kolacji Wade znów poruszył ten temat. Nie interesuje go strona praktyczna. Czuje, że powinien to robić. Staruszek spojrzał na niego.

- Zgadzam się - powiedział. - Już pan to robi.
- Ale chcę sam.
- Niech pan mnie nie wpuszcza w maliny.
- Nie wpuszczam pana w maliny.
- Wszystko jedno. Tak czy owak nie.

Wade spojrzał na Ruth, która pokręciła głową, a potem na Pat, która wzruszyła ramionami w geście wyrażającym coś zbliżonego do kpiny.

- Mówię poważnie, nic mi się nie stanie - powiedział. - Kompas i mapy, co za problem. Może radiostacja.

- Tak? - powiedział Claude. - I co wtedy?
- Po prostu się rozejrzę.
- Znakomicie. I skończy pan tak samo jak żona.
- Muszę spróbować.

Pat podniosła oczy.

- Boże, co za rycerskość. Jestem zachwycona. Założę się, że Kathy też by była.
- Nie chodzi mi o...
- Samotny Komandos.

Claude zerknął z drugiej strony stołu. Podniósł górny talerzyk, przechylił nad swoją filiżanką kawy i wsunął na poprzednie miejsce.

- Cokolwiek pana gnębi, postawmy sprawę jasno. Jest takie słowo „nie”, które znaczy, że nie ma mowy. Znaczy się, może pan o tym zapomnieć.

- On jest w tym dobry - powiedziała Pat. - To znakomity rycerz zapominalski.

- Cicho tam - rzekł Claude.
- Ja tylko komentuję.
- No, pewnie.
- Ależ odwaga - powiedziała Pat. - No to wio, koniku!

Następnego ranka spadł śnieg, który przerodził się w ulewny deszcz, toteż o dwunastej Claude zawrócił łódź w stronę domku. Przez cały dzień czekali. Po południu znów zaczął sypać śnieg, niesiony przez ostry, zacinający wiatr. Z okien domku nie było widać ani kawałka pomostu, hangaru czy jeziora. Przez parę godzin grali apatycznie przy kominku w scrabble. Koło piątej Wade wyszedł na dwór z szuflą i powoli przekopał się od werandy do podjazdu. Jego myśli krążyły głównie wokół magii. Z wysiłkiem kopał i przerzucał ciężki, mokry śnieg, w myślach analizując mechanizm ostatniego, wystrzałowego popisu iluzjonistycznego. Zniknięcia wykonawcy. To się da zrobić. Jak te dwa szurnięte węże w Pinkville.

Co dziwne, dopracowując szczegóły pokazu, Wade odkrył, że doświadcza nowej, ledwie uchwytej sympatii dla swego ojca. Na tym to polegało. Pilnować swego nosa. Brać na siebie wszystkie ciężary, zamykać się w milczeniu, ukrywać koszmarnie doświadczenia przed wszystkimi, a zazwyczaj także przed samym sobą. Nie ma w tym nic teatralnego. Odgarniać śnieg, kantować w polityce czy prowadzić sklep z biżuterią; co jakiś czas szukać zapomnienia; zdradzać teraźniejszość każdym oddechem zaczerpniętym z robaczywej przeszłości. A potem pewnego dnia odkryć, że sznur do bielizny jest długi. Zaskoczyć samego siebie. Podsunąć pojemnik na śmieci, wskoczyć na wierzch i zawiesić się na wieczności. Bez liścików, bez wykresów, bez żadnych wyjaśnień. Na tym polega sztuka - posiadał ją ojciec i posiadała ją Kathy - na tym fantastycznym oddaniu się czystej i absolutnej Tajemnicy. Tu leży różnica, pomyślał, między złem a nieszczęśliwym dzieciństwem. Wiedzieć to być rozczarowanym. Rozumieć to zostać zdradzonym. Te wszystkie błahe „jak?” i „dlaczego?”, te gorszące motywy, ten brak charakteru, ta nikczemna brzydota własnej osoby i historii - to triki, których sekret zachowuje się dla siebie do końca. Lepiej zostawić widzów lamentujących w ciemności, potrzęsających pięściami i krzyczących: „Jak?” i „Dlaczego?”.

Kiedy zapadł zmierzch, Wade odłożył szuflę i zszedł ze zbocza na pomost. Śnieg nie był już tak gęsty.

Nie zastanawiał się. Szybko rozebrał się do naga, nabrał pełne płuca powietrza i zanurkował na samo dno, gdzie leżała Kathy.

Ku swemu oszołomieniu nie poczuł chłodu, a może ziąb nie wywarł na nim wrażenia. Nie otworzył oczu. Wymacał paliki w miejscu, gdzie zostały wbite w żwir, i przytrzymując

się ich, wpłynął twarzą w dół pod pomost. Czuł tylko skrępowanie z powodu niejasności swych intencji. Było w tym coś z próby teatralnej. Coś z próbnej jazdy. Może ojciec robił kiedyś bardzo podobne rzeczy w zatęchłej martwocie garażu, może dodawał sobie odwagi, oglądając krokwie okiem specja od lewitacji.

Przez chwilę Wade zastanawiał się, czy nie otworzyć oczu, żeby zyskać pewność, ale w ciemności nie miałyby to znaczenia.

Wyłynął na powierzchnię i jeszcze raz zanurkował.

Istniała skończona liczba możliwości. Jest tam albo nie. Jeśli jej nie ma, musi być gdzie indziej.

Nawet to nie miało znaczenia.

Poczucia winy nie można w ten sposób zlikwidować. Ono ma podwójne dno. To ono było zapadnią, której używał przez tyle lat, na wierzchu zachowując miłość, a pod spodem ukrywając truciznę. Miał wrażenie, że przez całe życie towarzyszył mu lęk przed demaskacją. Gruby dzieciak wykonujący sztuczki przed wysokim lustrem. „Ej, mały, to było dobre”, mógł powiedzieć ojciec, ale z nieznanymi, tajemniczymi powodami te słowa nigdy nie padły. Chciał być kochany. Po to oszukiwał. Ukrywał to, co złe. Odpicował własne życie. Tylko dla miłości. Tylko po to, żeby być kochanym.

Zimno wdzierało mu się między zębra. Czuł smak jeziora.

Z zamkniętymi oczami, głęboko zanurzony, sunął na wycucie wzdłuż wypolerowanych przez wodę palików pod pomostem. Czuł jej obecność. Tak, czuł. Dotyk jej ciała. Jej szeroko otwarte oczy. Jej białe stopy, jej pustą macicę, jej włosy jak wodorosty.

To zdumiewające, pomyślał, ile może miłość.

Wypuścił z płuc resztę powietrza, podciągnął się na powierzchnię, wlaź na pomost, ubrał się szybko i pobiegł przez śnieg do domku.

Tuż po ósmej zadzwonił Art Lux. Rozmawiał najpierw z Pat, a potem z Wade'em. Kiedy wyjaśniał, że oficjalne poszukiwania zostają przerwane, jego charakterystyczny głos przebiegł przez całą gamę przeproszających tonów. To czysta formalność, mówił. Obowiązkowa papierkowa robota. Biurokracja i tak dalej.

Wade przelożył słuchawkę do drugiej ręki. Zerknął na Pat, która płakała.

- Rezygnujecie? - zapytał. - Tak po prostu?

- Niezupełnie.

- Mam wrażenie...

- Nie, proszę pana, nie rezygnujemy. Mamy jeszcze gdzie szukać, sam pan wie.

- Nie wiem - rzeki Wade.

- Słucham?

- Nie wiem.

Lux zamilkł.

- No, w różnych miejscach.

Na linii rozległ się dźwięk, który Wade uznał za głos kogoś innego. Po chwili Lux zapytał, czy może rozmawiać z Claude'em.

Wade podał starym telefon. Sam stał niezręcznie na środku kuchni, wytrącony z równowagi, i zadawał sobie pytanie, czy jest coś, co powinien zrobić albo powiedzieć. Jakiś przegapiony gest. Może łyż, ale miał już dość udawania. Podeszedł do lodówki, wyjął tacę z kostkami lodu i przygotował sobie wódkę z tonikiem. Irytował go cichy płacz Pat. Wydawał mu się głęboko niesłuszny. Kiedy wszystko stracone, pomyślał, trzeba łapać za młotek albo nalać sobie drinka. Jaki ojciec, taki syn.

Po kilku minutach Claude odłożył słuchawkę i skinął na Wade'a. Przeszli do salonu.

Staruszek wyglądał na bardzo zmęczonego.

- To całe zamieszanie jest śmieszne - powiedział - ale chyba pan wie, co teraz się stanie.

- Mniej więcej.

- Nie mogę powiedzieć nie.

- W porządku.

Claude opadł na kanapę i potarł worki pod oczami.

- I tak by to nic nie dało. Lux postawił sprawę jasno. Tak czy inaczej wywrócą to miejsce do góry nogami. Oni uważają... wie pan... chyba im się wydaje, że ona tu gdzieś jest. W hangarze. W ziemi.

- Nie ma jej - rzekł Wade - ale to bez znaczenia.

- To ma cholerne znaczenie. Chryste, oby tylko...

Staruszek zamknął oczy. Kiedy Wade na niego patrzył, uderzyła go myśl, że ma na świecie prawdziwego przyjaciela. Sprawy przybrały niesłychany obrót, pomyślał.

Claude zamrugał oczami i podniósł zamyślony wzrok.

- Wredna sytuacja, prawda?

- Prawda - odparł Wade.

- Nie będzie zwycięstwa ani nawet remisu. Nawet jak nic tu nie znajdą i tak zostanie pan grzesznikiem. Po tym, co zaszło podczas kampanii, po tych śmierdzących przeciekach... - Staruszek spojrzał pożądliwie na szklankę Wade'a. - Mogę?

Wade podał mu ją. Przez chwilę milczeli, na zmianę popijając drinka, a potem Claude

wyciągnął rękę i położył ją na kolanie Wade'a.

- Nie chcę wpadać w rozmazany ton. Ona była dla pana wszystkim, prawda?

- Tak.

- I nic pan nie zmalował.

- Robiłem różne rzeczy. Ale nie to.

- Dobrze. - Claude cofnął dłoń. - I nie ma pan nic więcej... wie pan... nic więcej do powiedzenia?

- Nigdy nie miałem.

- Naturalnie. Wszystkim to mówię. Że gość podniósł niepotrzebny alarm, przekonał się o własnym błędzie, ale już gównem może zrobić, żeby inni zmienili zdanie. - Staruszek westchnął i dopił drinka. - Z panem tak było, prawda? Nie ma co się mazgać. I tak nic to nie zmieni.

- Może dać sobie spokój? - powiedział Wade. - To politykierstwo jest męczące.

Claude przytaknął.

- Tak samo bym do tego podszedł. Niech sobie te sukinsyny myślą, co chcą.

Staruszek wstał, udał się do kuchni i wrócił z dwoma dużymi drinkami. Zapalił lampę, ale mimo to w domku panowała atmosfera zakładu pogrzebowego. Nic nie mówili. Na zewnątrz, w lesie, dwie sowy prowadziły jakąś swoją konwersację.

W końcu Claude westchnął.

- Tak czy siak domyślam się, że nie chce pan zostawać na to widowisko. Na wykopki. Jest samochód. Może pan wrócić do Minneapolis albo St Paul i przeczekać. Jeszcze ma pan swobodę ruchów.

- Wie pan, że nie mogę tego zrobić. Chcę łódź, Claude.

- Jasne.

- I benzynę. Pełny zbiornik.

- Nie ode mnie. Już to przerabialiśmy. Nie potrzeba mi tam dwóch klientów.

- I atlas.

- Przykro mi.

- I tak sobie poradzę.

- Na pewno. - Claude spojrzał na niego swymi zmęczonymi oczami starego kruka. Wade'owi przyszło do głowy, że staruszek nie czuje się dobrze. - Nie kłamie, senatorze, naprawdę mi przykro. Ale sumienie i te rzeczy... Jak się jest w moim wieku, to chce się spać spokojnie. - Wyjął czerwoną chusteczkę do nosa i otarł nią czoło. - Rozumie pan?

- Tak, oczywiście. Ile mam czasu?

- Do pojutra. Albo pozajutra. Lux ściąga policję stanową, typów ze służb śledczych. I parę psów policyjnych.

- Uroczo - rzekł Wade.

- Kiedyś to musiało się stać.

- Jasne. - Wade mrugnął do niego. - Senator. To mi się podoba.

Do rana śnieg prawie zupełnie stopniał, a temperatura wzrosła do blisko dziesięciu stopni. Ten dzień spędzili na jeziorze, przeszukując obszary na północ i na północny wschód od Wyspy Magnusona. Nie było żadnych innych łodzi. Żadnych samolotów, w ogóle żadnego ruchu. Od czasu do czasu nisko nad horyzontem pojawiało się słońce, ale nawet wtedy niebo miało mętny, szary odcień, który zdawał się brać swe źródło z ich nastrojów. Napięcie stało się nie do przeczwycięzenia. Nikt już się nie starał. Pat siedziała jak kamień w tylnej części łodzi. Nie patrzyła na Wade'a ani nawet przez niego. W razie konieczności zwracała się do jeziora.

Wade'owi to odpowiadało. Jego myśli złagodniały. Niektórych ciężarów już się pozbył. Innych pozbędzie się wkrótce.

Patrzył na jezioro bez lęku. Nauczył się jednej rzeczy: świat ma swoje własne podstępne sztuczki. Wbrew wszystkiemu w ciągu minionych dni zaczął traktować przegrane wybory jak prawdziwą gratkę. Czuł się lżejszy w środku, nie miał nic do ukrycia. Thuan Yen oczywiście nadal tkwiło w jego wnętrzu i miało tam pozostać na zawsze, ale koszmar tego miejsca wydostał się na zewnątrz. Był brzydki, żalorny i powszechnie znany. Nie umniejszono to zła, pomyślał, ale przynajmniej zlikwidowało wymóg zachowania tajemnicy. To jeszcze jedna cwana sztuczka natury. Kiedy się zostanie zdemaskowanym, przestaje się drzeć ze strachu przed demaskacją. Zapadnia się otwiera. Nie pozostaje nic innego jak spadać z wdziękiem daleko i głęboko.

Niebawem rozstrzygną się też inne sprawy. Na przykład kwestia zdrowia psychicznego. Odwagi. Czy wreszcie miłości.

Spojrzał na przepływające obok dwie małe wysepki. Po raz pierwszy od wielu lat, a może po raz pierwszy w życiu, nawiedziło go poczucie pewności co do własnej osoby.

O trzeciej Claude przybił do pomostu w Angle Inlet, żeby nabrać paliwa. Poszli na stację Texaco Pearsona, gdzie Wade przeprosił ich i przeszedł na drugą stronę ulicy.

W Mini-Marcie kupił dwa bochenki chleba, wędlinę na kanapki, trzy czwarte litra wódki, dużą mapę turystyczną, trzy puszki paliwa turystycznego sterno i mały plastikowy kompas polecany przez Amerykańskich Harcerzy. Kiedy płacił, pulchna dziewczyna za ladą rzuciła mu przeciągłe spojrzenie. Myra Coşam. Albinoska krew - bardzo wścibska. Przyszło

mu do głowy, żeby wyszczerzyć do niej zęby, ale zamiast tego życzył jej przyjemnego dnia i wyszedł z zakupami.

Tej nocy jego sny rozgrywały się - tak je przynajmniej zapamiętał - wewnątrz chromowego komputera. Wpełził do środka przez właz. Żądał ponownego przeliczenia głosów - wrzeszczał. Arytmetyki!" - ale komputer wydał z siebie kasznięcie, które przerodziło się w głęboki, szydery pomruk. Wszystkie przewody były poplątane. Obwód elektryczny składał się z węgorzy elektrycznych, ale pływały tam również kolorowe ryby, ciekłe trucizny i liczne przypadki zła.

Kiedy się obudził, nadchodził świt. Ubrał się w czyste sztruksy, bawełniane skarpetki, białą flanelową koszulę i cienko tkany sweter kaszmirowy, który nie tak dawno Kathy podarowała mu na gwiazdkę.

Zwinał kilka koców.

I stare prześcieradło.

Kiedy szedł korytarzem do kuchni, pojawiły się już pierwsze zwiastuny porannego światła. Niespecjalnie go zaskoczyło, że klucze do łodzi leżały na samym środku plastikowego stołu. Obok znajdowała się koperta. Wsunął jedno i drugie do kieszeni, włożył kalosze, zabrał prowiant i zszedł na pomost. Nie czuł nic szczególnego. Źle pokierował swoim życiem, to wszystko.

Kath, och, Kath, pomyślał. Nie potrafił wyobrazić jej sobie martwej. Po prostu się zgubiła. Jest wśród osób zaginionych.

W pierzchającej ciemności wszedł na chris-crafta i poukładał swoje rzeczy. Nieco oszołomiony, nieco senny. Po tyłu kłamstwach pojawiło się teraz kilka pomniejszych prawd albo cień pewności, która nawiedziła jego serce, gdy powtarzał w myślach: „Kath, och, Kath”. Odwiązał cumy. Włączył silnik i poczuł, jak łódź unosi się do góry i rusza na jezioro. Jakieś sto metrów od brzegu odwrócił się i spojrzał na mały, żółty domek stojący na szczycie wzgórza nad jeziorem.

Miłość, pomyślał. To była jedna z prawd. Żeby nie wiadomo jak się starać, nie można jej zgubić.

Wyjął swój nowy kompas i skierował łódź na północ. Kiedy później spojrzał do tyłu, żółtej chatki już nie było. Nawet wtedy widział jednak w wyobraźni mężczyznę i kobietę, leżących w milczeniu na werandzie w gęstej, nocnej mgle i udających, że nie jest tak źle. Słyszał ich głosy, gdy wymyślali na zmianę imiona dla dzieci, które chcieli mieć - czasem tak zabawne, że wybuchali śmiechem - i gdy obmyślali umeblowanie swojego nowego domu, snuli plany kupna przepięknych dywanów i staroświeckich mosiężnych lamp, ustalali

dokładny kolor tapet i inne szczegóły. „Weronia” - powiedziała Kathy. I rozmawiali o Weronie, o tym, co tam zobaczą i co będą robić. Wkrótce mgła ogarnęła ich na zewnątrz i od środka, zostali przez nią pochłonięci i zniknęli. Nie został po nich ślad stopy ani najmniejsza wskazówka. Były tylko lasy i woda. Kraina, gdzie jeden plus jeden zawsze równa się zero.

XXIV Hipoteza

A może opuściła go dużo wcześniej, latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, gdy poleciała na spotkanie z Harmonem do Bostonu. Przez następne lata zachowywała ten sekret dla siebie. Był ciężarem, który trzeba nieść przez życie i małżeństwo. Być może pewnego dnia stał się już dla niej zbyt ciężki. Nie chodziło o sam romans, ale o wszystko razem. O rozpadające się małżeństwo. O przekładane na później marzenia, o poniechane zbliżenia. W ciągu tych lat, nawet jeszcze przed przygodą z Harmonem, powstawał coraz większy rozdział między życiem, którego pragnęła, i tym, które prowadziła.

Samobójstwo?

Nie sposób dociec.

Niewątpliwie żyła w ogromnym napięciu. Brała valium i restoril. Zewsząd otaczały ją ruiny. Jej mąż, wybory, nienarodzone dziecko w jej sercu. Może więc wzięła łódź, popłynęła prosto na północ i zgubiła się na zawsze w Leśnym Jeziorze, bo takie, lub prawie takie, były jej zamiary. Być może nadszedł moment - na przykład na jakiejś kamienistej plaży, w ciemności - gdy sporządziła rejestr wydarzeń, które ją tam sprowadziły. Rozczarowania. Powolna śmierć przez uduszenie w uścisku polityki. Romans z Harmonem, który rozpoczął się niemal niechcący - przypadkowe spotkanie, kilka zdawkowych listów - i cztery miesiące później zakończył w taki sam sposób, bez dokonywania wyboru i bez udziału jej woli, jak gdyby była przykuta do tylnego siedzenia samochodu będącego jej życiem.

I co się zmieniło? Wciąż nie panuje nad sytuacją. Wciąż jest zdana na kaprysy wrogiego wobec niej świata. Miażdży ją smutek. Na samą myśl, jak jest. I jak mogłoby być.

Może już wcześniej wzięła lekarstwa. A może dopiero teraz. Popiła je obficie wodą jeziorną, znów usiadła i dała się przenieść myślom na lotnisko w Bostonie. Tam czekał na nią Harmon. Pojechali na północ wybrzeżem stanu Maine do kurortu o nazwie Loon Point, gdzie spędzili cztery dni i trzy noce i gdzie rankiem czwartego dnia, po śniadaniu, poinformowała go, że wszystko skończone. To był błąd, powiedziała. Kocha męża.

Zapamiętała okrągłą, białą twarz Harmona. Skupioną twarz dentysty. „No cóż” - powiedział.

I nic więcej.

A teraz wszystko jest tajemnicą. Nie pamięta koloru jego oczu ani jak zaczęło jej na nim zależeć, ani co takiego otworzyło jej oczy. Ten cały romans wydaje się jej teraz dziwny i obcy. Pamięta, że pewnego wieczoru poszli w Loon Point potańczyć, że uznała to za bardzo śmiało, że pod wpływem muzyki, światła gwiazd i ryzyka wydał jej się bliski, że prawie miała zawroty głowy z rozkoszy, ale że dziwnym sposobem to nie objęcia Harmona były rzeczywiste, lecz idea szczęścia, otwarta możliwość, pokusa, powolny, zniewalający walc z piękną przyszłością.

Może Kathy spojrzała na jezioro i pozwoliła sobie na chwilę płaczu. Albo może zaczęły działać leki i uciszył ją przyjemny, ciemny spokój.

Lot powrotny do Minneapolis zamazał się w jej pamięci. Prawie pusty samolot. Kilka martini. Późnym popołudniem wniosła walizkę do mieszkania, postawiła ją na podłodze i przystanęła, słuchając ciszy. Zapamiętała, że nalała sobie kieliszek wina. Zapamiętała, że napeściła wody na kąpiel, weszła do wanny i moczyła się przez dłuższą chwilę. O szóstej poszła do kuchni i zaczęła szykować kolację. Pół godziny później, kiedy wrócił John, skupiła wzrok na czym innym, ustawiła temperaturę w elektrycznym rondlu i z pomocą łopatki włożyła do środka trzy wieprzowe kotlety. John podszedł do niej od tyłu. „Ty obieżyświecie” - powiedział i pocałował ją w szyję, przyszczypując króciutko kilkucentymetrową fałdę jej skóry w talii. Był to zwyczaj, którego nie lubiła - czuła się przez to gruba - ale zapamiętała szybki przypływ wdzięczności. Po dotyku jego palców natychmiast poznała, że niczego nie podejrzewa.

Zjedli kolację przed telewizorem. Podczas reklam zadał kilka ogólnikowych pytań na temat podróży - głosem, w którym wyczuła silenie się na uprzejmość. Ciekawiło go jedzenie w samolocie, pogoda i koleżanka z podstawówki, u której była w odwiedzinach. Odpowiadała krótko. Koleżanka była drętwa, pogoda upalna, a jedzenie trujące. John przytakiwał, patrząc w telewizor. To było zbyt łatwe. W pewnym momencie przeprosiła za zamieszanie.

- Jakie zamieszanie? - zapytał.

- No, wiesz. Z lotem.

- Żartujesz?

Spojrzeła na niego.

- Miałam być jutro. Przecież ci tłumaczyłam... Nie dostałeś wiadomości?

- Ojej - rzekł, uśmiechając się szeroko. - Nie odsłuchałem sekretarki.

Zapamiętała, że wbiła wzrok w talerz. Na języku pozostał jej mięsny, zjełczały smak wieprzowego kotleta. Ogarnęła ją głupia, pozbawiona wyrachowania chęć zemsty. Powinnam była, pomyślała, nagrać wiadomość opisującą parkiet w Loon Point. Przytulny pokój

hotelowy. Tapetę, kapę na łóżku. Wszystkie szczegóły.

Zapamiętała, że odniosła talerz do kuchni, opłukała go, wyszła na maleńkie patio w tylnej części domu i stanęła w ołowianym zmierzchu.

Nigdy nie będzie wiedział. Tajemnica jest bezpiecznie ukryta.

Ale w wieczornym powietrzu rozbrzmiewał jak na nienagranej taśmie pomruk przerażającego pytania: Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - który niebawem wzmógł się, przybierając kształt niedoskonałej, nieskończenie niekonkretnej odpowiedzi: Kto wie?

Zapamiętała, że rozwiązała szlafrok, by poczuć wilgotne nocne powietrze. Czuła w sercu wielkie, rozpaczliwe pragnienie, pragnienie bezprzedmiotowe, czyste.

Po jakimś czasie John wyszedł.

- Ej, ślicznotko - powiedział, stając obok niej w ciężkim zmierzchu. - Więc dobrze się bawiłaś? Wycieczka się udała?

Zapamiętała, że mocno ściągnęła szlafrok i odwróciła się do niego bez skruchy, bez najmniejszej sugestii.

- Tak - odpowiedziała.

Może w końcu obwiniła siebie. Nie tyle za romans, co za utratę energii, za powolne popadanie rok po roku w coraz większe zmęczenie, które ostatecznie ją wyczerpało. Zaprzestała prób. Zrezygnowała z pistoletów na wodę, straciła marzenia, a przygoda z Harmonem stanowiła tylko symbol wszystkich nieszczęść w jej życiu. Może istniały jakieś tajemne siły, których nie mogła znieść. Może wspomnienia, może lekarstwa. Może w hrabstwie Leśne Jezioro, gdzie wszystko jest powtórzeniem, wyszeptwała: „Dlaczego?“, a potem zamknęła oczy i utonęła w dźwięku niekończącego się pytania: Kto wie? Kto to wie?

xxv

Materiał dowodowy

To mi przypomina historię o trzech niewiniątkach. Ten człowiek nic nie słyszał, nic nie czuł, nic nie widział. Jestem cholernie pewien, że coś nabroił.

- Vincent R. (Vinny) Pearson

To absurd. Wade kochał swoją żonę, to było widać. Tak jak Claude i ja.

- Ruth Rasmussen

Wiem jedno - że zaszli do Mini-Martu strasznie zmartwieni. Siedzieli zmartwieni. Wyszli zmartwieni. To jedno wiem.

- Myra Shaw (kelnerka)

Nie bawię się w zgadywanki

- Arthur J. Lux (szeryf, hrabstwo Leśne Jezioro)

Modliłem się, żeby ta historia okazała się wymysłem,¹

- pułkownik William V. Wilson (oficer dochodzeniowy amerykańskich sił zbrojnych)

Dowód rzeczowy nr 10: fotografie (12) ofiar w Thuan Yen Data: 16 marca 1968 r.

Fotoreporter: Ronald Haeberle

...zachowanie wszystkich chłopaków, powiedziałbym, że większości, było mściwe.²

- Gregory T. Olson (pierwszy pluton, kompania Charliego)

Mówili, żeby zabijać wszystko, co się rusza. Każdy wiedział, co będziemy robić.³

- Robert W. Pendleton (trzeci pluton, kompania Charliego)

Występek nigdy nie widzi własnej brzydoty. Gdyby ją widział, przeraziłby się swojego odbicia. Szekspirowski Jago zachowując się w sposób zgodny ze swoją naturą wypada fałszywie, bo dramaturgiczna konwencja zmusza go do zdemaskowania się, do ujawnienia samemu tajemnic swej skomplikowanej i zakłamanego duszy. W rzeczywistości człowiek rzadko tak niedbale miesza z błotem własne sumienie.⁴

- George Sand („Indiana”)

... wszyscyśmy byli nabuzowani, bo chcieliśmy się zemścić za niektórych poległych kolegów, którzy zostali zabici w okolicy Pinkville jeszcze przed tą operacją.⁵

- Allen J. Boyce (pierwszy pluton, kompania Charliego)

Kiedy już było po wszystkim, dosłownie oddychaliśmy muchami. One wlażyły nam do nosów.

- Richard Thinbill

Musimy występować przeciwko Siuksom z karzącą sumiennością, nawet gdyby miało to oznaczać ich wytępienie - przeciwko mężczyznom, kobietom i dzieciom.⁶

- generał William Tecumseh Sherman

Wytępić całe czerwonoskóre bractwo.⁷

- „Nebraska City Press”

Johnie! Johnie! Och, Johnie!

- George Armstrong Custer

Tamtego dnia w My Lai byłem osobiście odpowiedzialny za śmierć około dwudziestu pięciu osób. Osobiście. Mężczyzn, kobiet. Od strzelania począwszy, poprzez podcinanie gardel, skalpowanie, aż po... odcinanie rąk i języków. Robiłem to.⁸

- Varnado Simpson (drugi pluton, kompania Charliego)

Nie brano jeńców i nikomu nie pozwalano uciec, o ile można było temu zapobiec. Szlakiem, którym zbiegli Indianie, dreptało chyba czteroletnie dziecko, zupełnie nagie. Zobaczył je któryś żołnierz, wystrzelił z odległości jakichś siedemdziesięciu metrów, ale

*chybił. Inny zeskoczył z konia i powiedział: „Niech no ja spróbuję tego małego... dostanę go”. On także chybił, ale kiedy trzeci zsiadł z konia z podobnymi słowami, po jego strzale dziecko upadło... Indianie stracili trzystu ludzi, wszyscy zginęli, z czego około połowę stanowili mężczyźni, a resztę kobiety i dzieci.*⁹

- J. P. Dunn, Jr („Massacres of the Mountains”)

Muszę przyznać, że Kathy próbowała. Zdecydowanie zbyt usilnie. Sama chyba nigdy nie dawałam mu specjalnej szansy.

- Patricia S. Hood

Chciała podróżować. Oglądać świat. Pamiętam, że bez przerwy opowiadała o Weronie, ale nie sądzę, żeby dużo o niej wiedziała, jeśli nie liczyć Romea i Julii.

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczkki dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

*Angażujesz się, próbujesz mu pomóc, odsuwasz na bok własne potrzeby. A dwanaście lat później już nie umiesz się cieszyć. Jesteś wyczerpana, sterana, podenerwowana, głęboko załamana i masz poczucie winy, że nie potrafisz tego naprawić. Zaharowywanie się, żeby ukryć przed ludźmi problemy partnera, jest praktycznie uznawane za normalne w naszym społeczeństwie.*¹⁰

- Patience H. C. Mason („Recovering from the War”)

Minęło tyle lat, a ja ciągle nie mogę się od tego uwolnić. Myślę, że to wspomnienie prześladowało także Johna, tylko że on próbował coś z tym zrobić. Zamazać, wie pan? Dosłownie.

- Richard Thinbill

*Nie walczyli z nami jak regularna armia, tylko jak dzicy, zza drzew i skał, z lasu i z budynków... [Osadnicy] nie są lepsi od Indian, jeśli idzie o skalpowanie, ucinanie uszu i nosów zabitych mężczyzn.*¹¹

- anonimowy brytyjski żołnierz piechoty, 1775 r. (po bitwach pod Lexington i Concord)

*Kiedy zaczęliśmy tracić ludzi z kompanii, ginęli przeważnie w pułapkach minowych albo od kul strzelców wyborowych.. Nie ufaliśmy nikomu... [W] końcu wrogiem stał się każdy, kto jeszcze przebywał w tym kraju.*¹²

- Fred Widmer (żołnierz kompanii Charliego)

*... zdawało się nam, że to taka szansa, żeby się zemścić za ludzi, których straciliśmy.*¹³

- Tommy L. Moss (żołnierz kompanii Charliego)

[Nasi brytyjscy żołnierze] byli tak rozwścieczeni cierpieniami zadawanymi przez niewidocznego wroga, że wdzierali się do wielu domów... i zadawali śmierć wszystkim,

których tam znaleźli. ¹⁴

- porucznik Frederick Mackenzie, 1775 r. (po bitwach pod Lexington i Concord)

P: Zabijał pan mężczyzn, kobiety i dzieci?

O: Tak.

P: Otrzymał pan taki rozkaz?

O: Tak.

P: Dlaczego go pan wykonał?

O: Bo mi kazali. Byłem załamany psychicznie... A mieliśmy w tej wiosce odbić sobie za ludzi, których straciliśmy. Tam były same komuchy i ich zwolennicy. Ciągle wierzę, że wszyscy byli z Vietkongu albo ich popierali. ¹⁵

- Paul Meadlo (zeznanie przed sądem wojennym)

Po drodze do domu okazało się, że wszystkie domy na szlaku są pełne ludzi a płoty obsadzone jak przedtem. Do każdego domu, z którego strzelano, natychmiast się wdieraliśmy i ZADAWALIŚMY ŚMIERĆ KAŻDEJ ZASTANEJ TAM ŻYWEJ ISTOCIE. Straszliwa rzeź! O, Anglicy, jak nisko upadliście w swym zwierzęcym zwyrodnieniu! ¹⁶

- anonimowy oficer brytyjski, 1775 r. (po bitwach pod Lexington i Concord)

P: Nie przypomina pan sobie nazwiska tego Czarodzieja?

O: W tej chwili nie.

P: Więc on chichotał?

O: Już potem. Był wytrącony z równowagi”

- Richard Thinbill (zeznanie przed sądem wojennym)

Zachęcałem żołnierzy, by chwytali Apaczów i tępil ich wszelkimi sposobami, aby na nich polowali jak na dzikie zwierzęta. Tak też z bezlitosną pasją czynili. Od daty mojego ostatniego raportu zabito ponad dwustu. ¹⁸

- General Edward O. Ord

Kathy nie była aniołem. Ten dentysta... Nie powinnam wymieniać jego nazwiska. Tak czy inaczej myślę, że nikt nie jest aniołem. To go chyba bardzo zraniło, to znaczy Johna.

- Patricia S. Hood

[Żołnierze brytyjscy] dopuszczali się każdej bezsensownej niegodziwości, do której mogła pobudzić brutalna chęć zemsty. ¹⁹

- anonimowy obserwator, 1775 r. (po bitwach pod Lexington i Concord)

Moje sumienie jest coraz bardziej kalane... Obym mógł wkrótce wyrwać się z tej wojny i wrócić do kroju, gdzie czysta ziemia zmyje te plamy! ²⁰

- J. Glenn Gray („The Warriors”)

BEZDOMNY UCZESTNIK MASAKRY W MY LAI ZGINĄŁ PODCZAS PIJACKIEJ SPRZECZKI

Pittsburgh - Weteran wojny wietnamskiej i uczestnik masakry w My Lai, który mieszkał pod mostem jako bezdomny alkoholik, został zastrzelony podczas kłótni o butelkę wódki. O zabicie Roberta W. T'Souvasa jednym strzałem w głowę podczas sprzeczki, do której doszło na początku tego miesiąca, policja oskarżyła jego koleżankę od kieliszka. Krewni twierdzą, że 39-letni T'Souvas staczał się przez blisko dwadzieścia lat, które upłynęły od jego procesu za zabicie dwojga wietnamskich dzieci w masakrze w 1968 r. „Bezustannie miał problemy z powodu Wietnamu. Niewiele o tym mówił” - powiedział jego ojciec, William T'Souvas... Armia oskarżyła T'Souvasa o morderstwo z premedytacją na dwojgu niezidentyfikowanych wietnamskich dzieciach przy użyciu karabinu maszynowego. T'Souvas jednak zeznał, że ranne dzieci krwawiły i były konające, a on tylko je dobił, by położyć kres ich cierpieniu. Za mord w My Lai jako jedyny skazany został [porucznik William] Calley.²¹

- „Boston Herald”

To dziwne uczucie. Człowiek patrzy z perspektywy czasu i zastanawia się, jak mógł to zrobić. Kiedy po dwudziestu latach patrzę wstecz na to, co się stało, co zaszło, co sam zrobiłem, zadaję sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego to zrobiłem? To do mnie niepodobne. Coś mnie opętało.²²

- Fred Widmer (żołnierz kompanii Charliego)

Dowód rzeczowy nr 8: magiczne pudełko Johna Wade'a, niepełna lista niewidzialny tusz wyciągacz monet schowek pływający szklany wazon książka „Podarunek maga” książka „Raport Komisji Peersa”

Po śmierci ojca dużo czasu spędzał w sklepie... Chyba trochę się we mnie bujał. Nazywał mnie Marchewkową Damą, jakbym była kimś wyjątkowym.

- Sandra Karra (Magiczne Studio Karry)

Chyba można powiedzieć, że wyczerpały się magiczne zdolności Johna. Kiedy naskoczyły na niego środki masowego przekazu, wszystko było skończone. Wiedział o tym. Te paskudne nagłówki wyeliminowałyby z polityki świętego Piotra, Minnesota nie jest krainą, gdzie wystarczy powiedzieć „przepraszam”, żeby móc się spodziewać puszczania wszystkiego w niepamięć. Tu żyje dużo luteranów.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Wciąż ten John! Doprowadza mnie pan do szaleństwa! Niech pan przetrze oczy. Już mam dość powtarzania, że Kathy też miała kłopoty, też miała swoje przejścia, też miała, do cholery, własne życie!

- Patricia S. Hood

Wiele [żon polityków] jest tu [w Waszyngtonie] nieszczęśliwych. Nie swoją własnego życia i zadają sobie pytanie, kim są? Czy jestem tylko czyjąś żoną? Czy może ktoś jeszcze? ²³

- Arvonne Fraser (żona byłego kongresmena Dona Frasera)

Pat [Nixon] potrafiła zwiść wszystkich, którzy jej osobiście nie znali, nigdy nie dając po sobie poznać, że zazwyczaj tego wszystkiego nienawidziła... [Polityka była dla Pat przekleństwem... dawała to jasno do zrozumienia osobom, które znała i którym ufała. ²⁴

- Lester David („The Lonely Lady of San Clemente”)

[Po rezygnacji] Nixona ogarnęło głębokie przygnębienie. Godzinami przesiadywał w swoim gabinecie, niezdolny lub nieskłonny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Jadł mało. Cierpiał na uporczywą bezsenność... Są powody, by przypuszczać, że gdyby nie stała troskliwość i wsparcie ze strony Pat Nixon w chwilach depresji, które przeżywał od kwietnia do Święta Dziękczynienia, Richard Nixon mógłby przekroczyć granicę dzielącą go od całkowitego załamania psychicznego. Był jej bliski. Sam przyznaje, że poznał „dno rozpacz”. ²⁵

- Lester David („The Lonely Lady of San Clemente”)

Niech pan tylko pomyśli o Waterloo. O tym, jak musiał czuć się Napoleon. To dla człowieka koniec, jest już martwy.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Znaczne pokłady poczucia winy, z którym swoją do czynienia terapeuci, są tłumione, nie odczuwane, budzą reakcje obronne... To poczucie winy istnieje jednak potencjalnie, czasem tak nasilone, że staje się czymś na podobieństwo zdeformowanej części ciała którą ukrywamy przed sobą i innymi kosztem przeorganizowania własnego życia. ²⁶

- Robert Karen („Shame”)

To bolesne pytanie, ale czy jest możliwe, by Nixon pomniejszył przed żoną i rodziną, i przed własnym krajem, pełny zakres swego udziału w utajnieniu afery Watergate? ²⁷

- Lester David („The Lonely Lady of San Clemente”)

Ten zasrany Czarodziej. To daje do myślenia, że ktoś wymyśla dla siebie przezwiska. Jakby nawet nie wiedział, kim, do cholery, jest.

- Vincent R. (Vinny) Pearson

John miał dużo przezwisk. Pamiętam, że ojciec nazywał go Małym Merlinem, Małym Houdinim czy tym Johnem Trzęsibruchem. Może się do tego przyzwyczaił. Może mu się wydawało... może to go jakoś skłoniło do nazywania się Czarodziejem. Mam taką nadzieję.

- Eleanor K. Wade

*Przyjmując nowe imię... nieukształtowana osoba może liczyć na zawieranie bardziej dynamicznych - choć niekoniecznie bardziej intymnych - transakcji zarówno ze światem zewnętrznym, jak i ze swoją „prawdziwą twarzą”, ze swoim nagim ja*²⁸

- Justin Kaplan („The Naked Self and Other Problems”)

*W pragnieniu [B. Travena], by zniknąć w śmierci bez śladu, by wrócić do żywiołów, z których się wywodził, powraca towarzysząca mu całe życie tęsknota za anonimowością, za zniknięciem bez imienia lub pod fałszywym nazwiskiem i za zgubieniem na zawsze prawdziwej tożsamości. Życie pseudonimu jest życiem martwego człowieka, osoby nieistniejącej.*²⁹

- Karl S. Guthke („B. Traven”)

Niech pan da sobie spoko). To zupełnie beznadziejne. Nikt nigdy nie będzie wiedział.

- Patricia S. Hood

*Powiedziałam już wszystko, co przychodzi mi do głowy. Nie moglibyśmy na tym poprzestać? Jestem starą kobietą. Po co pan mi zadaje te pytania?*³⁰

- Eleanor K. Wade

Przypisy

¹ Wilson, „American Heritage”, s. 53.

² Komisja Peersa, s. 5-14.

³ Tamże.

„George Sand, „Indiana” (1832 r., reprint. New York, Penguin Books, 1993 r.), s. 232.

⁵ Komisja Peersa, s. 5-14.

⁶ General William Tecumseh Sherman, w: Connell, „Son of the Morning Star”, s. 132.

⁷ „Nebraska City Press”, w: Connell, „Son of the Morning Star”, s. 127.

⁸ Varnado Simpson, w: Bilton i Sim, „Four Hours in My Lai”, s. 7.

⁹ J. P. Dunn, Jr., „Massacres of the Mountains” (New York, Archer House, 1886 r.), s. 343-345. Ten fragment opisuje częściowo „bitwę” pod Sand Creek, czyli atak dwóch pułków milicji z Kolorado na wioskę Czejenów w dzisiejszej Oklahomie 29 listopada 1864 r.

¹⁰ Mason, „Recovering from the War: A Woman’s Guide to Helping Your Vietnam Veteran, Your Family, and Yourself”, s. 278-279.

¹¹ Anonimowy list prywatny, w: Vincent J-R Kehoe, „We Were There”, druk własnym nakładem, s. 169. Publikacja „We Were There”, dostępna w Minuteman National Park, Concord, Massachusetts, jest kompilacją brytyjskich i amerykańskich relacji z bitwy odwrotowej, do której doszło 19 kwietnia 1775 r.

¹² Fred Widmer, w: Bilton i Sim, „Four Hours in My Lai”, s. 74.

¹³ Komisja Peersa, s. 5-15.

¹⁴ Porucznik Frederick Mackenzie, w: Kehoe, „We Were There”, s. 128.

¹⁵ W: Hammer, „The Court-Martial of Lt. Calley”, s. 158-159.

¹⁶ W: Kehoe, „We Were There”, s. 113.

¹⁷ Richard Thinbill, kopia protokołu, Court-Martial of Lieutenant William Calley, Państwowe Archiwa USA, pudło 4, teczka 8, s. 1735.

¹⁸ Generał Edward O. Ord, w: „Dunn, Massacres of the Mountains”, s.

617.

¹⁹ W: Kehoe, „We Were There”, s. 184.

²⁰ Gray, „The Warriors: Reflections on Men in Battle”, s. 175. Gray, profesor filozofii, służył w armii amerykańskiej jako agent kontrwywiadu podczas II wojny światowej.

²¹ „Boston Herald”, 14 września 1988 r.

²² Fred Widmer, w: Bilton i Sim, „Four Hours in My Lai”, s. 80.

²³ Arvonne Fraser, w: Abilail McCarthy, „Private Faces/Public Places” (Garden City, N.Y., Doubleday, 1972 r.), s. 202.

²⁴ Lester David, „The Lonely Lady of San Clemente” (New York, Thomas Y. Crowell, 1978 r.), s. 73-74.

²⁵ Tamże, s. 202-204.

²⁶ Karen, „Shame”, s. 42.

²⁷ David, „The Lonely Lady of San Clemente”, s. 180.

²⁸ Justin Kaplan, „The Naked Self and Other Problems”, w: Marc Pachter, wyd., „Telling Lives: The Biographer’s Art” (Waszyngton, D.C., New Republic Books, 1979 r.), s. 37.

²⁹ Karl S. Guthke, „B. Traven: The Life Behind the Legends” (Brooklyn, Lawrence Hill Books, 1987 r.), s. 8-9.

³⁰ A dlaczego interesują nas Lizzie Borden, Judge Crater, Lee Harvey Oswald czy Little Big Horn? Tajemnica! Z powodu wszystkiego, czego nie można się o nich dowiedzieć. A co by było, gdybyśmy wiedzieli? Co by było, gdyby zostało dowiedzione z całkowitą i niepodważalną pewnością, że Lizzie Borden chwyciła siekierę? Że Oswald działał sam? Że Judge Crater wpadł w ręce mafii sycylijskiej? Nic już by nas nie intrygowało, nic by nie męczyło. W przypadku Custer a nie przeżył żaden świadek. Stąd wieczna wątpliwość, która jednocześnie frustruje i fascynuje. Tu leży sprzeczność. Człowiecze pragnienie pewności koliduje z umiłowaniem tajemnicy. Więc nie pozwalają mi zasnąć nieme fakty, postrzępione końce i nieobecni świadkowie. Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Stosy danych, kilometry

taśmy magnetofonowej nie zaspokajają nawet mojego prymitywnego głodu odpowiedzi. Więc rzucam się na łóżku i przewracam. Jem litry lodów o drugiej w nocy. Czy byłoby źle, gdybym zwierzył się z tego problemu na samym początku? Gdybym prosił o wyrozumiałość? Gdybym argumentował, że jasne rozwiązania tylko wyjaskrawiają ogrom ludzkiej niewiedzy? Gdybym wskazywał, że absolutna wiedza to absolutne zamknięcie? Gdybym przypominał, że nawet sama śmierć rozplywa się w niepewności i że z tej niepewności powstają wielkie świątynie i opowieści o zbawieniu? Chodzę po mieszkaniu i palę papierosy. Przeglądam notatki. Prawda jest jednocześnie prosta i zwodnicza: John Wade był fachowcem. Wykonywał magiczne sztuczki, a potem odszedł. Wszystko inne to domysły. Nie ma odpowiedzi, ale sama tajemnica każe mi ciągnąć to dalej.

XXVI Istota ciemności

Byli młodzi. Wszyscy. Calley miał dwadzieścia cztery lata, T'Souvas dziewiętnaście, Thinbill osiemnaście, Czarodziej dwadzieścia trzy, Conti dwadzieścia jeden - młodzi, wystraszeni i prawie bezustannie zagubieni. Wojna była labiryntem. W ciągu miesięcy, które nadeszły po Thuan Yen, błakali się tu i ówdzie, bez celu i poczucia kierunku, przeszukiwali wioski, szykkowali zasadzki, ponosząc straty w ludziach, i robili to, co musieli, bo nie można było zrobić nic innego. Dni zawsze były ciężkie, ale noce nie do zniesienia. O zmierzchu, kiedy już wykopali dołki, siadywali w małych grupkach, wpatrywali się w pola ryżowe i czekali, aż dokoła zapadnie ciemność. Ciemność była ich wstydem. Była też ich przyszłością. Próbowali o tym nie rozmawiać, ale czasami nie mogli się powstrzymać. Thinbill mówił o muchach. T'Souvas o zapachach. Ich głosy zdawały się odpływać na jakiś czas, a potem wracać zza rozkołysanych pól ryżowych. Po części było to echo. Ale wewnątrz niego kryły się głosy, które niezupełnie do nich należały - coś w rodzaju pieśni żałobnej, płaczu, melodyjnej i smutnej nuty. Czasem milkli, by jej posłuchać, ale wtedy dźwięk zawsze gasł. Zlewał się z nocą. Wszystko dokoła nich się mieszało, rzeczy widzialne i rzeczy niewidzialne, co należy do istoty ciemności.

Kompania Charliego nigdy nie wróciła do Thuan Yen. Pojawiły się pogłoski o śledztwie, nerwowe dowcipy i nerwowe śmiechy, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Wojna toczyła się dalej. Kolejne wioski, patrole i ślepa przemoc. Niekiedy późną nocą Czarodziej osuwał się w dawny koszmar, wpadał w pułapkę na dnie bulgoczącego rowu, ale z czasem całe to wydarzenie zaczęło przypominać sen, który pamięta się połowicznie i w który połowicznie się wierzy. Próbował zatracić się w wojnie. Narażał się na niesłychane ryzyko, dokonywał czynów, które zdawały się z góry skazane na niepowodzenie. Został dwukrotnie

ranny, w tym raz ciężko, ale w przedziwny sposób ból jednoczył jego ciało i duszę.

Pod koniec listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku przedłużył sobie służbę o dodatkowy rok.

To osobista decyzja, napisał do Kathy. Może kiedyś będę umiał Ci to wytłumaczyć. Na razie nie mogę stąd wyjechać.

Czasami, czekając w zasadzce na polach ryżowych koło pogrążonej we śnie wioski, Czarodziej przykucał i obserwował księżyc, wsłuchując się w odgłosy ciemności, duchów, gremlinów, swego ojca i innych nocnych przybyszów. Drzewa rozmawiały. Bambusy i skały też. Słyszał, jak ludzie błagają o życie. Słyszał rzeczy, które oddychają, i rzeczy, które nie oddychają. Rozgrywało się to wyłącznie w jego głowie, jak przebłysk telepatii o północy, ale od czasu do czasu podnosił wzrok, by popatrzeć na procesję ciał niosących w ciemności zapalone świece - kobiet i dzieci, starszego szeregowca Weatherby'ego, staruszka o kościstych goleniach z małą drewnianą motyką.

„Odejdźcie” - mówił półgłosem i czasem go słuchali.

Kiedy indziej musiał się jednak uciekać do pomocy artylerii. Puszczął z dymem dżunglę. Za jego sprawą rzeki stawały w płomieniach.

Dwa miesiące przed końcem służby Czarodziej znalazł pracę w biurze adiutanta batalionu. Miał łatwe zadanie: sama papierkowa robota, nie dorabiał się garbu i miał nad głową blaszany dach. Prawdziwa wojna już się skończyła. Sztuka polegała teraz na tym, by zbudować sobie przyszłość.

Myślał nad tym przez kilka tygodni. Rozważał wszystkie możliwości. Pewnego razu zamknął się późnym wieczorem w biurze, wyjął rejestr osobowy batalionu i po krótkim wahaniu wsunął go w maszynę do pisania. Dziesięć minut później uśmiechnął się. Nie wyszło idealnie, ale dało się zrobić. Podszedł do kartoteki i wygrzebał grubą teczkę z porannymi meldunkami kompanii Charliego. Przez następne dwie godziny wprowadzał niezbędne poprawki - głównie poprzez ponowne przepisywanie na maszynie i trochę także wycinanie - usuwając swoje nazwisko ze wszystkich dokumentów i skrupulatnie doprowadzając do porządku statystykę. W pewnym sensie złagodziło to poczucie winy. Wzbudziło przyjemny optymizm. Wytłumaczył sobie, że na wyższych szczeblach też się przeredagowuje podobne dokumenty, też się przeinacza podobne fakty. Koło północy przystąpił do trudniejszego zadania, polegającego na przeniesieniu się do kompanii Alfa. Cofnął się do dnia swego przybycia i przeprowadził odwrotne operacje matematyczne, dopisując swoje nazwisko do rejestrów osobowych, awansując się i przyznając sobie odpowiednie medale w odpowiednich momentach. Iluzja, z czego zdawał sobie sprawę, nie mogła być doskonała. Nigdy zresztą

taka nie bywa. Ale zrobił kawał zgrabnej roboty. Logicznej i spójnej. Wśród żołnierzy kompanii Charliego znany był tylko jako Czarodziej. Bardzo niewielu słyszało jego prawdziwe nazwisko, a jeszcze mniej osób je sobie przypomniał. Z czasem, jak miał nadzieję, nawet pamięć wyblaknie.

Zakończył papierkową robotę przed samym świtem, dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Tydzień później wrócił do Stanów.

Z lotniska w Seattle zadzwonił przez kierunkowy do Kathy, zachichotał i po drugim sygnale odwiesił słuchawkę. Podczas lotu do Minneapolis stracił sporo czasu. Może i samolot się włókł, ale chodziło jeszcze o coś innego. Czuł się zagrożony. Kiedy lecieli przez szary nieboskłon Dakoty Północnej, poszedł do ubikacji, gdzie zdjął mundur i włożył sweter oraz spodnie, po czym uważnie ocenił swój wygląd w lustrze. Po chwili puścił do siebie oko. „Hej, Czarodzieju - powiedział - jak tam twoje sztuczki?”

XXVII Hipoteza

Tej nocy John Wade ze dwa razy obudził się spocony. Za pierwszym razem, koło północy, odwrócił się pewnie i przytulił do Kathy, nieprzytomny, z lekką gorączką, połączony przewodem myśli z nocnym pomrukiem jeziora i lasu.

Później skopał przykrycie i wyszeptał: „Śmierć Jezusowi”.

Po cichu wysunął się z łóżka i poszedł korytarzem do kuchni, gdzie napełnił wody do starego żelaznego imbryka, który postawił na kuchence. Czekając, aż się zagotuje - nago, być może ze wzrokiem wbitym w sufit - poczuł zapewne całą gorycz klęski, przerażenia i poniżenia, poczuł, że nadszedł kres wszystkiego, czego pragnął. Chodziło o coś więcej niż tylko przegrane wybory. Chodziło o hańbę. Tajemnica wyszła na jaw i wirował teraz w pustce. Na świecie nie ma litości. Jest tylko arytmetyka - czysta, schludna robota. St Paul było stracone już wcześniej. W Duluth został pokonany cztery do jednego. Przegrał w związkach zawodowych, u Niemieckich Katolików i u zwykłych zer. Myślał, że jest zwycięzcą, dopóki nie został pokonany. A stało się to błyskawicznie.

Imbryk wydał energiczny gwizd, ale Wade nie mógł się zdobyć na najmniejszy ruch.

Polityka zasadzek. Oczami wyobraźni wyraźnie widział, jak stawało się to, co się stało. Na pierwszych stronach gazet fotografie nieżywych ludzi w dziwnych pozach. Nazwiska i daty. Zeznania naocznych świadków. Wciąż miał przed oczami twarz Kathy, która odwraca się ku niemu tego ranka, gdy wszystko legło w gruzach. Teraz już wie. Zawsze będzie wiedzieć. Thuan Yen było tylko częścią koszmaru, na który składało się też samo utrzymywanie tajemnicy, milczenie i zdrada. Miała pusty wyraz twarzy. Żadnego zgorznienia,

tylko ciemność i próżnia. Dwadzieścia lat miłości rozwiało się w pewności, że nie ma absolutnie nic pewnego.

„Śmierć Jezusowi” - powiedział.

Poczuł impuls elektryczny we krwi.

Może właśnie wtedy, kiedy woda zawrzała na dobre, John Wade dźwignął się na nogi i podszedł do kuchenki.

Może przez ręcznik chwycił żelazny imbryk.

To idiotyczne, ale się uśmiechał. Był to nic nieznaczący uśmiech. Nie będzie go później pamiętał. Zapamięta tylko parę, gorąco i elektryczny impuls w pięściach i przedramionach. Zaniósł imbryk do salonu, zapalił lampę i połał wrzącą wodą duże, kwitnące geranium koło kominka. „Jezusowi, Jezusowi” - powtarzał. Rozniósł się tropikalny fetor. „No” - powiedział i pokiwał z zadowoleniem głową.

Dobiegł go własny chichot.

„Coś takiego” - powiedział.

Przeszedł na drugi koniec salonu i sparzył nieduży dwulistnik. To nie była wściekłość. To była konieczność. Opróżnił imbryk nad karłowatym kaktusem, filodendronem, kaladium i kilkoma innymi roślinami. Następnie wrócił do kuchni. Ponownie napełnił imbryk, zaczekał, aż woda zacznie wrzeć, uśmiechnął się, wyprostował ramiona i poszedł korytarzem do sypialni. Czuł na twarzy piekący żar. Imbryk posyłał w noc swój syczący dźwięk. Wtedy John poczuł, że odplywa. Minęło trochę czasu, ale nie będzie tego pamiętał. Po chwili zdał sobie sprawę, że kuca przy łóżku. Huśtał się na obcasach, obserwując śpiącą Kathy. To zdumiewające, pomyślał. Bo przecież ją kocha. Bo przecież nie może zatrzymać przechylającego się do przodu imbryka. Twarz Kathy poruszyła się na poduszce. Podniosła na niego zdziwiony wzrok, niemal się uśmiechając, jakby w jej umyśle rodziło się nowe, wspaniałe pytanie. Z jej oczodołów uniosły się kłęby pary, a żyły na szyi zeszywniały. Rzuciła się w bok. Noc wypełniły odgłosy... skrzeczenie... może jego imię... ale zaraz para wypełniła jej gardło. Zwinęła się, wyprostowała i znów zwinęła. John doszedł do wniosku, że to jest nierzeczywiste. Pokój wypełniała wilgotna woń, zapach parzonego ciała, a palce Kathy wyprawiały dziwne sztuczki na wezgielciu łóżka - bębniły pośpiesznie, zaciskały się i znów bębniły, jak gdyby nadając zakodowaną wiadomość. Na jej policzkach zabulgotały skrawki tłuszczu. Zapamięta, że pomyślał wówczas, jakie to nieprawdopodobne. Zapamięta żar i elektryczny impuls w ramionach i nadgarstkach. Dlaczego? - zapytał sam siebie w myślach, ale nie znał odpowiedzi. Wiedział tylko, że to wściekłość. Koce były mokre. Szczękała zębami. Skręciła się, odpychając łokciami, i przesunęła ku nogom łóżka. Na jej szyi i

ramionach rozlała się purpurowa plama. Jej twarz zdawała się kurczyć. Dlaczego? - powtarzał w myślach, ale nie było odpowiedzi i nigdy miało jej nie być. Może sprawiło to słońce. Może brak słońca. Może impuls elektryczny. Może akt zniknięcia. Może para węży pożerających się nawzajem przy drodze w Pinkville. Może jego ojciec. Może ukrywanie tajemnic. Może poniżenie i zagubienie. Może szaleństwo. Może zło. Był świadom głosów w ciemności... głosów kobiet i dzieci, dźwięków dobiegających z rzeźni... ale głosy te nie staną się częścią tego, co zapamięta. Zapamięta ciemność. Skóra na jej czole pokryła się bąblami i zaczęła schodzić w długich, postrzępionych pasmach. Jej wargi miały purpurowo-błękitny kolor. Rzuciła się, zadrżała, zwinęła w kłębek, obejmując ramionami, i znieruchomiała.

Wyglądała, jakby było jej zimno. Jej palce lekko drżały.

Może ją pocałował.

Może zawinął ją w prześcieradło.

Może upłynęło trochę mało znaczącego czasu, zanim zniósł ją - płynąc z sercem wypełnionym miłością - w dół zbocza na pomost, położył na ziemi, a potem poszedł do hangaru i otworzył dwuskrzydłowe drzwi.

„Kath, moja Kath” - wyszeptał.

Zapewne zepchnął łódź na płytką wodę i zostawił ją tam na chwilę, by wrócić po silnik. Mgła już się podniosła. Na niebie był księżyc i dużo gwiazd. Gdy przytwierdzał silnik i jeszcze raz szedł do hangaru po wiosła, pojemnik na benzynę i kamizelkę ratunkową, dotarły do jego świadomości odgłosy w ciemności, nocny szmer jeziora i lasu, jego własny oddech. Był teraz Czarodziejem. Znajdował się wewnątrz luster. Zapewne użył wiosł, by podpłynąć do pomostu. Przycumował, czując pod sobą fale. Podniósł ją i powtarzając w myślach „Kath, moja Kath”, włożył do łodzi, a potem wrócił do domku po jej tenisówki, dzinsy i biały bawełniany sweter. Może szeptał magiczne zaklęcia. Może czuł, że istnieje coś poza płynięciem. Jakaś skrucha albo żal. Nie było jednak żadnych pewników, żadnych faktów. Jak somnambulik wsiadł do łodzi, włączył silnik i wyruszył na wielkie, milczące jezioro. Nie odpłynął daleko. Może ze dwieście metrów. W ciemności, w kołyszącej się pod jego stopami łodzi, sprawił, że jej tenisówki znikły w głębokiej wodzie. Potem jej dzinsy i sweter. Obciążył ją gładkimi, szarymi kamieniami ze stoku przy domku. Z pewnością powiedział: „Kath, Kath” i może parę innych rzeczy, a potem wysłał ją na dno. Później sam zsunął się do wody. Zapewne przechylił łódź i, mocno przytrzymując burtę, zczekał, aż napierające fale ją wypełnią i zatopią.

Może do niej na chwilę dołączył. A może nie. W pewnym momencie poczuł napór wody w uszach. W innej zorientował się, że stoi samotnie na pomoście, zmarznięty i nagi, i

wpatruje się w gwiazdy.

Jeszcze później obudził się w łóżku. Na zasłonach igrało miękkie, różowe światło. Przez chwilę obserwował magiczne sztuczki świtu, blade falowanie i połyskiwanie. Wysunął dłoń, by dotknąć Kathy, ale jej nie było. Przytulił swoją poduszkę i zagłębił się w sen.

XXVIII O tym, jak odszedł

Pięć kilometrów od brzegu, na otwartym jeziorze, Wade skierował łódź prosto na północ. Nadszedł blady i chłodny świt.

Poruszał się z prędkością piętnastu węzłów, o siódmej rano był więc już kawał za Wyspą Buckete. Przed nim rozciągała się tylko dzicz. Czasem łapał się na lustrowaniu jeziora wzrokiem albo przykręcaniu gazu w pobliżu niegościnnych, skalistych, porośniętych sosnami wysp. Zdał sobie sprawę, że to beznadziejne. Kathy nie zostanie odnaleziona. Wszystko było skończone, to oczywiste, i musiał znaleźć, pociechę na cienkiej linii między biologią i duchem.

Wczesnym przedpołudniem wpłynął na wody kanadyjskie. Podążał nadal na północ między łańcuchem porośniętych gęstym lasem wysp. Chris-craft - droga łódź wyposażona w koło sterowe, wymuskana i szybka - pruł ładnie do przodu. Wade oszacował, że przy umiarkowanej prędkości pełne zbiorniki pozwolą mu na przepłynięcie trzystu kilometrów. Zapasowe kanistry wystarczą na kolejne osiemdziesiąt. To dosyć. Nie musiał już działać szybko. Teraz kolej na sprawy zasadnicze. Odchylił się do tyłu, spokojny i rozluźniony, pozwalając myślom wmieszać się w powszechny strumień rzeczy, w połacie lasu, fal i wody. Nie jest źle. Wcale nie jest źle. Dzień okazał się na ogół słoneczny - nie ciepły, ale przyjemny - a na zachodzie ładne, jesienne niebo ożywiały małe kłęby obłoków. Dwukrotnie zauważył na brzegu opuszczone chaty rybackie, ale po godzinie las zgęstniał, a okolica stała się zarośnięta i dziewicza. Za pomocą swego nowego, plastikowego kompasu trzymał odpowiedni kurs na północ.

To naprawdę bardzo proste.

Gubienie się było jego mocną stroną. Dążeniem całego życia.

Zbliżało się południe, kiedy wpłynął w sieć kanałów, kluczących kapryśnie w gąszczu wysp. Skierował się na północny wschód, gdzie las wydawał się gęstszy i bardziej kuszący. Kanały dzieliły się, mnożyły i mnożyły wciąż od nowa. Przy jednym z rozwidleń złapał się na tym, że głośno myśli. Nie mówił nic sensownego. W głowie dźwięczała mu mała rymowanka: „Wschód to wschód, jak gub to gub...” Kazał się sobie samemu zamknąć. Nic nie gub, pomyślał - nie to i nie teraz - ale wkrótce znów śpiewał, przekrzykując warkot silnika: „Jesteś

zbyt piękna, by prawdziwą byyyć...” Potem przychodziły mu do głowy jeszcze inne piosenki, które wyśpiewywał po adresem popołudnia. Przez dłuższy czas miał poczucie, że unosi się na powierzchni szklanego morza i wszędzie widzi odbijane do przodu i do tyłu refleksy światła. Czasem łapał się na tym, że mówi coś do Kathy, jakby była w pokoju obok, w tajemnej kryjówce po drugiej stronie luster. Opowiadał jej, co tylko mógł, o wydarzeniach w Thuan Yen. O pastelowym słońcu. O karabinowym wietrze, który zdawał się unosić go do góry i przerzucać z miejsca na miejsce. „Och, Kath - powiedział cicho - słodka, zgubiona Kathleen”. Doszedł do wniosku, że jedyna rzecz, która da się w tej historii wytłumaczyć, to jej absolutna niewytłumaczalność. Tajemnica w ogóle, a w szczególności nikczemność. Nie uważał się za złego człowieka. Jak daleko sięgał pamięcią, aspirował do cnoty - własnej i świata - ale nadszedł moment, gdy złapał straszliwą infekcję, która nie poddawała się leczeniu ani odtrutkom. Nie znalazł dla niej nazwy. Może proste zamroczenie. Albo moralne rozbicie. Albo zagubienie duszy. Nawet teraz, patrząc na szkliste jezioro, Wade czuł obcość istniejącego świata, jego zakotwiczenia w terażniejszości, i potrafił wyczarować tylko obraz samej iluzji, jej czyste odbicie, głowę pełną luster. Roześmiał się i pomyślał na głos: „Zaufaj mi, prooszę”, po czym przerwał, by ocenić wygląd lasów i wody. Bardzo naturalne. Grzywiaste fale przy brzegu i życie roślinne. Te okolice zdradzały podobieństwo do maleńkiego grobowca jego własnej duszy - ta sama płatanina, ten sam ogólny zamęt, ten sam lodowaty i dziki wygląd. Tak, i tyle kątów wchodzi w grę. Pod tym kątem, pod tamtym. Czy jest potworem? I cóż? - zadał sobie pytanie, ale pozostało ono bez odpowiedzi. Chwilę później wrzasnął: „Hej, Kath!”

Na pewno nie jest potworem. Co to, to nie. Jest Czarodziejem.

„Kath!” - wrzasnął.

Upłynęło trochę pustego czasu, godzina albo więcej, a kiedy znów się skupił, zauważył, że słońce opadło wyraźnie ku zachodowi. Czwarta trzydzieści, oszacował. Pojawiły się już chmury, opasłe i purpurowo-czarne, a niebo nieznośnie ciążyło w dół. Poczul zapach zimy. Nie śniegu, lecz jego źródła - fizyki. Na chwilę ogarnęło go coś na kształt przerażenia. Gdyby jego celem było przeżycie (a nie było), zrobiłby natychmiast w tył zwrot, odkręciłby zawór, nie skrywając zamiaru ucieczki, i ruszył w pogoń za tym, co jeszcze zostało z jego życia.

Ale on zachichotał.

„A niech mnie” - powiedział i ruszył w kierunku płaskiej wyspy, położonej kilkaset metrów na zachód.

Kiedy zaczął rozbijać obóz na noc, już padał śnieg. Nic nadzwyczajnego. Parę sosen.

Koc i ognisko. Zjadł kanapkę, nie delektując się nią specjalnie, a potem wyciągnął liścik, który zostawił mu Claude, i przeczytał go w świetle ogniska. Wspaniały stary dżentelmen. Rzadka wierność w epoce płynnej lojalności.

Nie wiem, czy ma pan bzika, czy nie, nabazgrał Claude, ale szczerze mówię, że za nic pana nie winię. Rozumie pan? Za nic. Jak wybór się zawęży, człowiek idzie ku temu zawężeniu. I tak nie ominąłby pana lincz. Ludzie wysuwają różne przypuszczenia, które wkrótce stają się faktem, i gównie można na to poradzić. Ja w każdym razie mam swoją teorię. Myślę, że sprawa była bardzo prosta. Pańska żona się zgubiła. Koniec, kropka. To wszystko. Tyle wiadomo, a cała reszta to bujda. Mam rację?

Wade uśmiechnął się.

Podniósł wzrok na niebo, niemal potakując głową, ale nie miało to sensu. Sens niełatwo jest znaleźć. Pokrzepił się wódką i skończył czytać.

Parę praktycznych szczegółów. Ma pan na pokładzie radiostację. Jest nastawiona na odpowiednią częstotliwość, wystarczy włączyć to popapraństwo i mówić. Atlas wsadziłem pod tylne siedzenie - Kanada to ten kawałek stałego lądu na górze większości stron. Gorąco ją polecam. Nie twierdzą, że powinien pan zmienić zdanie, o ile oczywiście pan je zna, ale jest tam mnóstwo przestrzeni, gdzie można wyparować. Warto się nad tym zastanowić. Życzę szczęścia. Uściski

Wade ponownie przeczytał list, a potem położył się na plecach i obserwował ostro zacinający śnieg na tle żółtych płomieni ogniska. Staruszek ma w zasadzie rację. Kathy zniknęła, a cała reszta to domysły. Zapewne doszło do wypadku. Albo się zgubiła. Jakaś prosta sprawa. Na pewno - niemal na pewno. Tyle że nie ma to większego znaczenia. To on jest odpowiedzialny za cierpienie w ich życiu, za zdradę i fałsz, za manipulowanie prawdą, które zastąpiło zwykłą miłość. Jest Czarodziejem. To jego wina i zawsze nią będzie.

Tuż po północy Wade obudził się w ulewnym deszczu. Był przemoczony i zziębnięty. Resztę nocy przesiedział pod nieszczelnymi koronami dwóch sosen, trochę drzemiąc, a trochę wpatrując się w ciemność. Zdał sobie sprawę, że stanął tutaj oko w oko z kilkoma niezbitymi prawdami. Z wilgocią. Z zimnem. Jego donkiszotowska wojenka z wszechświatem wyglądała doprawdy żałośnie.

- „I co, Kath?” - zapytał.

Po chwili powtórzył:

„I co?”

Powiedział to ciepłym, otwartym na rozmowę tonem, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Jak tylko zaczęło się rozwidniać, ruszył dalej na północ. Deszcz przeistoczył się w

mgłę, której miejsce natychmiast zajęły pojedyncze tumany śniegu i silny zachodni wiatr. Do dziewiątej tumany przerodziły się w gęstą śnieżycę. Wiał lekki wiatr, a temperatura wynosiła niewiele powyżej zera. Powtórzył sobie w duchu, że brak widoczności nie stanowi problemu. Przez cały ranek pływał jak popadnie w labiryncie dzikich kanałów, robiąc zygzaki i za jedyny cel mając zgubienie się na dobre. Śnieg był mu pomocny. W pewnym momencie, wczesnym popołudniem, zorientował się, że otacza go kilka roziskrzonych, białych wysp. Był to widok wyrazisty i piękny. Jak gwiazdkowa pocztówka, pomyślał. Wesołych Świąt. Mimo wszystko był w osobliwie pogodnym nastroju i pełen otuchy. Przyszło mu na myśl, że szczęście też podlega prawom względności. Wyjął butelkę i zaśpiewał „Wróć na gwiazdkę do domu”, a potem inne kolędy. Płynął na północ, a przed nim zaczęły nabierać kształtu stosowne obrazy - wieńce, ajerkoniak, wypchane skarpety i duże miski ostrygowego gulaszu. „Hej, Kath!” - krzyknął. Zaczekał chwilę, po czym znów wrzasnął: „Kath!”

Pod koniec dnia włączył radiostację. Nasłuchiwał przez moment, a potem ją wyłączył. Świat był gdzie indziej. Wszystko trwało w bezruchu.

Minęło trochę białego czasu, wypełnionego umysłową zadymką, długimi, fruującymi strzępami tego i owego. Miał świadomość zimna i prawie niczego więcej. Chwilami był Czarodziejem, a chwilami nie. Rozluźnił się jego kontakt ze światem fizycznym. Sam kontakt stał się czymś względnym. W pewnym momencie usłyszał, że płacze, a potem był znowu w Thuan Yen i wbijał pazury w słońce.

Przed zapadnięciem zmroku wpłynął do niedużej, osłoniętej zatoki i rzucił kotwicę dwadzieścia metrów od brzegu. Odmierzył pięć centymetrów wódki, wypił ją, i jeszcze raz włączył radiostację. Tym razem odpowiedział mu głos Claude'a.

- Słabo słyhać - rzekł staruszek. - Jak z Alaski. Odbiór.

Wade'owi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

- Jest pan tam?

- Gdzie? - zapytał Wade.

- Bardzo śmieszne. - Głos Claude'a brzmiał słabo i chorowicie. - Tak na wszelki wypadek, Lux i ferajna prawdopodobnie kontrolują te rozmowę, więc jeśli pan nie chce, żeby ktoś... Czy to jasne?

- Jak słońce.

- Dobrze pan się czuje?

- Jak u pana Boga za piecem. Kompletnie się zgubiłem.

- Znalazł pan atlas?

- Tak - odparł Wade, chociaż go nie szukał. - Jestem panu wdzięczny. Dziękuję.

Staruszek prychnął. Zanim jego głos wrócił, rozległy się w eterze jakieś trzaski.

- ... zerwali każdą deskę, a teraz odbijają gonty. Szukają i niszczą. Vinny łązi na czworakach za psem policyjnym. Nic nie znaleziono.

- I nic się nie znajdzie - rzekł Wade.

- Jestem tego pewien.

- To też doceniam. Ja jej nie skrzywdziłem.

- Nareszcie jakiś fakt.

- Naprawdę.

Claude roześmiał się.

- Lepiej późno niż wcale. Zachowam to między nami. - Fale radiowe zdawały się ciężkie od wzruszenia. - Przeczytał pan mój liścik? Winnipeg to nie najgorsze miejsce. Albo Calgary, sam nie wiem.

- Jeszcze raz dziękuję.

- To zawsze jakieś wyjście, prawda?

Wade milczał.

- No, dobrze - rzekł Claude. - Niech pan się postara nie rozpieprzyć mi łodzi.

Wade wyłączył radiostację i przez chwilę siedział w bezruchu. Popołudnie przerodziło się w zmierzch. Posilił się z butelki, po czym poszukał śrubokrętu i spędził dziesięć minut na odłączaniu dwóch słuchawek radiostacji. Zaczął się zastanawiać, czy istnieje dźwięk bez odbiorcy? Czy człowiek słyszy świst kuli, która go dosięga? Jak wielki był w rzeczywistości Wielki Wybuch? Czy nasze żalosne, ziemskie kwiki trafiają na głuche uszy? Czy milczenie jest złotem, czy też zwykłym kamieniem?

Wyłączył światła pozycyjne. W mroku zjadł pół kanapki, otulił się kocem i zwinął na przednim siedzeniu z wódką i swą antologią złych snów.

Noc upływała powoli. Popadywał śnieg i było zimno, więc Wade musiał sobie co jakiś czas przypominać, że cierpienie jest częścią sensu. Tylko że ten sens czasami mu umykał. Doszedł do wniosku, że bieżących okoliczności nie dałoby się wyjaśnić takim ludziom jak psychiatrzy czy duchowni.

Sens?

Dołączyć do niej na wszelkie możliwe sposoby.

Czuć to, co ona czuła.

Zrobić sobie krzywdę? Z pewnością nie. A jednak krzywda też jest względna. Szczęście i krzywda. Czyż nie jest to jasne jak słońce? Czy był szczęśliwy? Czy zrobił jej krzywdę?

No nie, ale tak.

Wkrótce zaczęły go dręczyć inne myśli. Jeśli czas i przestrzeń są w istocie wplecione w pętlę względności, jak można dotrzeć do punktu, skąd nie ma powrotu? Czy punkty takie nie są wymysłem? A zatem czy nie są pozbawione znaczenia? Więc znów, gdzie tu sens?

Żeby nie wracać.

Ipsa facto, pomyślał.

A jednak nie mógł przestać wracać. Przez całą noc ponawiał wizyty w Thuan Yen, spoglądając - za każdym razem bez uprzedzenia - na podrygi i pląsy ludzi, którzy dotarli do fikcyjnego punktu, skąd nie ma powrotu. Doszedł do wniosku, że - względnie rzecz ujmując - ci obywatele o wymęczonym spojrzeniu nigdy nie byli całkiem martwi, gdyż inaczej na pewno przestaliby umierać. Tak samo jego ojciec. Dowodem istnienie pętli. Ten kutas bez przerwy się wieszał. Ciągłe dawał przy kolacji gówniane rady: „Przestań się opychać” - a potem wykradał się do garażu, włożył na wieko pojemnika na śmieci i wykonywał skok w nieskończony powrót, łamiąc sobie szyję bez żadnego konkretnego sensu i pozostawiając wszystkie szczegóły bez wyjaśnienia.

Głęboką nocą Wade włączył radiostację i nadał te przemyślenia w eter.

Ośmielony przez wódkę wykpił ideę ludzkiego wyboru. To błaga, ogłosił. Zdecydowanie przereklamowana. „W jakiej sytuacji - zapytał - człowiek decyduje się na krokwie i sznur? Odpowiedź: Nie ma tu prawa zależności. Istnieje tylko to, co się stało, co się dzieje teraz i co się kiedyś stanie. Czy wybieramy sen? Za cholere, gówno prawda. My weń zapadamy. Poddajemy się możliwości, kaprysowi i zachciance, łóżku, poduszce i maleńkiej, białej tabletki. One za nas wybierają. Macza w tym palce grawitacja. Wystarczy sobie przypomnieć zapadnięcie. Zapadamy w stan zakochania. Właściwie lecimy na łeb na szyję. Czy to jest wybór? Szkoda słów”.

Raz czy dwa zawiódł go głos. Leżał pod kilkucentymetrową warstwą śniegu z mikrofonem w dłoni i tłumaczył falom radiowym, jak boleśnie i nisko upadł. Niewielu upadło niżej.

Senator Czarodziej.

Wybujale ambicje, wieczna miłość.

„Czy wybrałem życie w iluzji? Bzdura. Łóżko było posłane, ja tylko się w nim położyłem”.

Spał krótkim, drętym snem. Obudził się, gdy zaistniało niebezpieczeństwo odmrożeń. Było tuż po trzeciej, kiedy włączył radiostację. „Witam was, grzesznicy i leśnicy, na falach stacji gwiazd WFIB. Czekamy w ten zdradliwy, niedzielny poranek na pozwolenie

startu z lotniska Burza Centralna. Ruch uliczny słaby, drogi śliskie”. Kichnął i wytarł nos. „Zgodnie z obietnicą - którą spełniamy! - aktualna tabela kursów. Uczniowie Zgubionego Pasterza nie wypłacają dywidend. Nigdzie masowych ruchów na giełdzie, tempo transakcji żadne. Żadnego wyjścia. Wkrótce poinformujemy o kolejnych unieważnieniach”.

W chwili nadejścia świtu prowadził jednoosobowy talk-show. Wywiad szedł mu dobrze. „Moja miłość, moje życie. Cel wszelkiego oszustwa. Miałem tylko ją. Czy już wspominałem, jak mnie goniła z pistoletem na wodę? Naprawdę tak było. Z pistoletem na wodę. Krzyczała: Woda, woda! Kiedyś na przyjęciu - to było wieki temu - pojechaliśmy do domu, zaliczyliśmy numerkę oparci o lodówkę, wzięliśmy przepyszną kąpiel w pianie, a potem wróciliśmy na przyjęcie i nawet zdążyliśmy na przemówienia. To nie było senatorskie zachowanie. To było jej zachowanie. Czy zleciałem na łeb na szyję w tę miłość? Tak. Czy nadal jestem zakochany? O, tak. Proszę pamiętać: pistolet na wodę. To dziewczyna moich marzeń. Jej skóra, jej dusza. Więc w ten czas rozpaczy spróbujmy być szczerzy - czyż nie pozwoliliby pan sobie na jedno albo dwa małe cygaństwa?”

Zszedł z anteny o szóstej trzydzieści.

Miał zgrabiałe palce.

Oddzielenie radiostacji od obudowy zajęło mu dwadzieścia minut. Wyrzucił ją za burtę. Uruchomił podwójnego Johnsona i ruszył na północ, na Leśne Jezioro.

XXIX Istota kąta

Fakt, że światło gwiazd załamuje się na powierzchni jeziora, należy do istoty kąta.

Kąty pozwalają marzyć.

Sowa pohukuje. Jeleń przychodzi do wodopoju na najwyższych gałęziach sosny. Z dna jeziora Kathy z szeroko otwartymi oczami obserwuje ryby, które fruną do góry, by wpłynąć do krainy błękitnych wód nieba, gdzie jak ćmy są przyszpilane do porannego księżyca.

Na mapie stanu Minnesota Kąt Północno-Zachodni wbija się jak kciuk w gładkie kanadyjskie podbrzusze na wysokości czterdziestego dziewiątego równoleżnika. Ta geograficzna sierota, opuszczona przez omylnego kartografa, stanowi najdalej wysunięty na północ punkt czterdziestu ośmiu leżących poniżej stanów, odludny szpiculec lasów i wód, otoczony z trzech stron przez Kanadę. Na zachodzie leży Manitoba, na północy i na wschodzie wielkie, gęste lasy Ontario, a na południu ziemia amerykańska. To prawdziwa dzicz. Szeroka na sześćdziesiąt pięć kilometrów, ma z północy na południe sto dwadzieścia kilometrów. Owszem, to cudowna kraina, ale i pełna duchów. Samotny jastrząb krąży,

wypatrując ofiary. W krwawej ciemności leży sparaliżowana mysz. I w głębokiej, niezmaconej samotności Leśne Jezioro z wieku na wiek spogląda na siebie jak wielkie, ciekłe oko. Nie ma tu dodawania ani odejmowania. Wszystko jest obecne, wszystko jest nieobecne. Trzej rybacy w średnim wieku zaginęli tu w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, dwaj polujący na kaczki myśliwi zmylili drogę w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym. Nigdy jej nie odnajdą i sami nigdy nie zostaną znalezieni. Gęsto zalesiony, niemal zupełnie niezamieszkały Kąt Północno-Zachodni zdążył ku nieskończoności. Wzrost przeistacza się tu w rozkład, a rozkład w ponowny wzrost. Powtarzalność należy do istoty kąta.

Historia tego miejsca jest surowa i prosta. Najpierw lodowce, potem woda, a dużo później plemiona Siuksów i Ojibwayów.

Francuzi - awanturnicy, badacze i jezuici - przybyli tu w tysiąc siedemset trzydziestym czwartym roku i zaczęli nawracać lub zabijać Indian, wedle upodobania. Potem nadeszli handlarze futer, drwale i tracze. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku pierwsi osadnicy zbudowali chaty na południowym i zachodnim wybrzeżu Leśnego Jeziora. Został wzniesiony drewniany kościół, a następnie spichlerz i magazyn. Kilku nieustraszonych Szwedów i Finów wycięło las pod małe, kwadratowe gospodarstwa, ale ziemia nigdy nie nadawała się pod uprawę pszenicy czy kukurydzy, więc wkrótce farmerzy odeszli i dzicz odzyskała swoje terytorium. Przez blisko czterdzieści lat Kąt Północno-Zachodni należał znów do komarów. Jego granica z Kanadą nie była strzeżona do tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku można się tam było dostać tylko łodzią lub hydroplanem.

Jeszcze dziś nie ma tam autostrad. Do niewielkiej miejscowości Angle Inlet biegnie jedna jedyna droga asfaltowa. Najbliższe miasto to położone sto dziewięćdziesiąt sześć kilometrów na zachód Winnipeg. Najbliższy przystanek autobusowy znajduje się w Roseau, siedemdziesiąt sześć kilometrów na południowy zachód. Najbliższy pełnoetatowy stróż porządku publicznego pracuje w stolicy hrabstwa, Baudette. Aby się tam dostać, trzeba pokonać sto czterdzieści pięć kilometrów Leśnego Jeziora samolotem.

A tu, na północno-wschodnim wybrzeżu półwyspu, w lesie nad jeziorem, stoi stary, żółty domek. Wokół rośnie wiele drzew, głównie sosen i brzoź. Jest też pomost, hangar i wąska, kręta dróżka przez las, która kończy się w dole pasmem gładkich, szarych kamieni przy brzegu.

Z istoty kąta między Ziemią i Słońcem wypływa istnienie pór roku, zależna od nich zmiana koloru wód w jeziorze, błękit przechodzący w szarość, potem w biel, a potem znów w

błękit. Woda otrzymuje kolor. I woda go zwraca. Kąt nadaje kształt rzeczywistości. Zimowy lód przemienia się w letnią parę tak samo, jak ciało w ducha. Kąt - trochę okno, a trochę lustro - jest tam, gdzie rozplywa się pamięć. Matematyka nigdy nie ma mocy prawnej. Woda połyka niebo, które połyka ziemię. Tu, w zakątku wyobraźni Johna Wade'a, gdzie nic nie żyje ani nie umiera, Kathy spogląda na niego spod powierzchni srebrzystego jeziora. Jej lśniąca oczy mają zielony kolor. Na jej twarzy maluje się czujność. Próbuje coś powiedzieć, ale nie może. Należy do domeny kąta. Niezupełnie obecna, niezupełnie nieobecna, pływa w zlewających się barwach zmroku dzielącego jeden stan od drugiego. xxx

Materiał dowodowy

Wszyscy w biurze bez przerwy o tym rozmawialiśmy. Siedzieliśmy przy obiedzie i próbowaliśmy dojść, czy Kathy kiedykolwiek okazała, że ma... jakąś depresję, domowe problemy czy coś podobnego. Ale wie pan co? Nikt sobie nic nie przypomniał. Wyglądała jak wszyscy. Miało się wrażenie, że jest na ogół szczęśliwa, albo uważa, że może taka być... Niewykluczone, że była po prostu świetną aktorką.

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczką dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

Z zaginionymi jest jak z kopaniem dziury w wielkiej górze piasku - to cholerstwo cały czas się na człowieka wali... Przeszukaliśmy wszystkie możliwe miejsca - hangar, domek - centymetr po centymetrze. Ściągnęliśmy nurków i parę specjalnie wyszkolonych psów z policji stanowej. Bez powodzenia Oczywiście wtedy już go nie było. Nic żeśmy nie znaleźli

- Arthur J. Lux (szeryf, hrabstwo Leśne Jezioro)

No i wrzucił ją głęboko. I co?

- Vincent R. (Vinny) Pearson

Biuro Osób Zaginionych w Nowym Jorku zajmuje się od chwili swego powstania w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku ponad trzydziestoma tysiącami spraw rocznie.¹

- Jay Robert Nash („Among the Missing”)

Mam plan, o ile można to tak nazwać, żeby dotrzeć przez Meksyk do Jakiegoś portu nad Pacyfikiem... Naturalnie możliwe - a nawet prawdopodobne - że nie wrócę. To „dziwne kroje”, w których dzieją się osobliwe rzeczy. Dlatego tam jadę.²

- Ambrose Bierce

Czasem ludzie po prostu odchodzą. Mogło tak się stać, prawda? Nie rozumiem, dlaczego wszyscy zakładają najgorsze.

- Ruth Rasmussen

Chyba była jedna podpowiedź. To się zdarzyło zaraz po prawyborach, może dzień później. Kathy szykowała się do wyjazdu na północ, więc naturalnie zapytałam ją, kiedy wróci

do biura. Chodziło mi o jakąś przybliżoną datę. Ale ona podchodzi do okna. Patrzy przez chwilę na zewnątrz i wreszcie zaczyna się śmiać, tylko że to nie był autentyczny śmiech. Jakby coś wiedziała.

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczkki dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

*Ktokolwiek bierze na siebie trud napisania biografii skazuje się na kłamstwa, przemilczenia i puste słowa... Nie ma dostępu do prawdy.*³

- Zygmunt Freud

Szkoda, że nie miałem okazji zadać mu więcej pytań. Vinny miał rację - pewne rzeczy po prostu się nie chciały zsumować. Nie obchodzi mnie, co mówił Wade, ale u mnie jeden plus jeden nigdy nie równa się zero.

- Arthur J. Lux (szeryf, hrabstwo Leśne Jezioro)

Nie mogę powiedzieć, żeby Claude był bardzo szczęśliwy, kiedy przyszli i do szczętu rozchrzanili to miejsce. Nikt go nie pytał o zdanie, ale postarał się, żeby wszyscy je poznali. Kilka razy zaczął trochę pyskować - mówił, że to nękanie człowieka - i chichotał za każdym razem, gdy niczego nie znaleźli. Brak mi tego staroświeckiego dziadka. Bardzo mi go brak. On wierzył w ludzi

- Ruth Rasmussen

Wiem tyle, że ten facet dziwnie na mnie patrzył. Dzień przedtem, zanim zwinął manatki, wszedł, poniuchał i kupił to wszystko - już panu powiedziałam, kompas, mapy i tak dalej - przylazł do kasy, zaczął coś mówić, a potem przerwał i tak na mnie spojrział. Jak tylko wyszedł, szybko zamknęłam drzwi

- Myra Shaw (kelnerka)

Owszem, pojedę do Meksyku w dość konkretnym celu, którego jednakże na razie nie mogę ujawnić. Musi mi pani wybaczyć upór, z jakim odmawiam „szczeźnięcia” tu, gdzie teraz jestem... Pani mi się chyba dość podoba. Niech pani żyje tak długo, jak pani zapragnie, a potem z uśmiechem odejdzie w ciemność... tę dobrą, dobrą ciemność. Pani oddany przyjaciel.

4

- Ambrose Bierce

Ludzie z Komisji Peersa go nie szukali. Ale my tak. To była pestka.. Jak już zwietryliśmy tego tak zwanego Czarodzieja, to była tylko kwestia czasu. Dałem cynk chłopakom. Łatwizna.

- Edward F. Durkee (kandydat do Senatu z ramienia Partii Demokratycznej)

Drogi Czarodzieju!

Będę pisać krótko, bo myślę, że już wiesz, co się stało. Nie chciałem mówić. To

prawda, choć pewnie mi nie wierzysz.

Muszę powiedzieć, że byli cwani Nawet nie wiedziałem, że puszczam farbę, dopóki nie skończyłem. To by było tyle, jeśli chodzi o indiańską małomówność. W każdym razie i tak już cię wytropili. Wiedzieli, że tam byłeś tego dnia. To mam chyba na swoje usprawiedliwienie. Nie chciałem nikogo pakować w kłopoty i źle się z tym czuję, ale jedną rzecz wiem już teraz na pewno. Pamiętasz tamtą noc w rowie? Powiedziałem, że powinniśmy zrzucić ten ciężar z serca, komuś o tym zameldować, ale ty jak gdyby mnie zgasiłeś. To ja miałem rację, prawda? Szczerłość to najlepsza polityka, to pewne. Nie wiem, jakim cudem wytrzymałeś to tak długo.

- Richard Thinbill

Taaa, wiedzieliśmy, że to miało pójść. Parę dni wcześniej dzwoni „Star-Trib” i prosi o komentarz. John na to: „Powiedz im prima aprilis”. Nie mogłem w to, kurwa, uwierzyć. Przysięgam na Boga, że tak powiedział, a potem spojrzał na mnie tym swoim pustym wzrokiem umarlaka. Więcej nie powiedział ani słowa. Wtedy postanowiłem zacząć szukać pracy.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Kathy przeczytała o tym w gazetach jak wszyscy. To chyba było w lipcu. Prawdziwy upał. Poprosiła mnie, żebym przyjechała, więc się zjawiłam - jeszcze w ciuchach gimnastycznych - i zostałam z nią cały dzień i noc. John nie przyszedł do domu. Pamiętam, że szalala ze zdenerwowania, naprawdę szalala, a ja powtarzałam: „Jezu Chryste, kogo to może obchodzić, czy on wróci do domu?” Kathy bardziej to martwiło niż fakt, że jej własny mąż okazał się kłamcą, zdrajcą i... No, i następnego dnia rano wreszcie się pojawił. Wchodzi rzuca spojrzenie z serii „o nic nie pytaj” i idzie wziąć prysznic. Od razu wiedziałam, że będzie z nim trzymać bez względu na wszystko. To było oczywiste. Więc pal to sześć. Poszłam sobie.

Teraz się czuję jak... To dlatego nie powinnam była nic mówić.

- Patricia S. Hood

Przychodzi mi na myśl jedno stare powiedzenie. Pan Wade chciał się schować w mysią dziurę.

- Ruth Rasmussen

Dowód rzeczowy numer osiem: magiczne pudełko Johna Wade’a, niepełna lista klatka na myszy wysokie lustro zwolnienie z wojska z wyrazami uznania książka „Małżeństwo: przewodnik”

Myślę, że Claude maczał w tym palce. Nigdy tego nie mówił, ale kiedy pan Wade odpłynął na chris-crafcie... No, nie powiem, żeby Claude był bardzo zaskoczony. Jakby się uśmiechał, wie pan. Oni byli ze sobą dość blisko na swój milczący sposób, ufali sobie,

rozumieli sytuację i wiedzieli, że koniec końców nie ma wyboru... Kiedy staruszek umarł w zeszłym roku, czekałam na jakiś liścik czy coś. Sprawdzalam korespondencję. Nic.

- Ruth Rasmussen

*Zdarzało mu się odrywać od świata - znikać - wyrzekać swego miejsca i przywilejów wśród żywych, nie będąc przyjmowanym do grona umarłych.*⁵

- Nathaniel Hawthorne („Wakefield”)

*Jeśli nie możesz uwierzyć w wynik rekonstrukcji, być może nie będziesz miał w co wierzyć.*⁶

- John Dominic Crossan („The Historical Jesus”)

Przez pewien czas, jeden dzień czy jakoś tak, pan Wade utrzymywał kontakt radiowy. Nie wydawał się w dobrym stanie. Niedorozwinięta Róża, tak go nazywał Vinny... To, co mówił, nie za bardzo miało ręce i nogi. Tok czy siak nie trwało to długo. Brzdęk, i cisza

- Arthur J. Lux (szeryf, hrabstwo Leśne Jezioro)

*Zniknęli i nie wracają. Oboje. Szczerze mówiąc, pewne rzeczy lepiej zostawić w spokoju, wzruszyć ramionami i powiedzieć sobie: „Kto to wie?” Poważnie. Wgryza się pan w tę sprawę już długo, zdecydowanie za długo. Wcześniej czy później powinien pan pomyśleć o powrocie do własnego życia. Chyba nie chce pan go zgubić?*⁷

- Ruth Rasmussen

*Pisarze... mają obsesję na punkcie osób zaginionych.*⁸

- Jay Robert Nash („Among the Missing”)

Muchy! Słyszysz pan?

- Richard Thinbill

Gdyśmy po chwili zwrócili się, męża

Nie dojrzelismy już nigdzie na oczy(...)

Jakim on zgonem zakończył, nikt z ludzi

*Rzec by nie umiał(...).*⁹

- Sofokles („Edyp w Kolonie”)

Jak przypuszczam? Nie muszę przypuszczać. On to zrobił. Sprzątnął ją. To jego spojrzenie, fakt, że nawet nic nie czuł. Miałem to przed oczami trylion razy...Coz tego, że nigdyśmy nie znaleźli dowodu? To tylko znaczy, że ją głęboko i skutecznie zatopił.

- Vincent R. (Vinny) Pearson

Jestem optymistką. Wierzę w życie po śmierci. Ten wielki chris-craft mógł płynąć wieki, do samej Kenory i jeszcze dalej. Trudno powiedzieć. Może są w Zatoce Hudsonu albo gdzieś indziej. Oni się kochali Szczęrą miłością... jak ja i Claude. To było widać jasno i

wyraźnie. Jeśli chce pan znać prawdę, ja ciągle czekam na ten liścik w skrzynce. I założę się, że kiedyś go tam znajdę.

- Ruth Rasmussen

Nie bawię się w zgadywanki ale wyłożę podstawowe fakty. Po pierwsze byli, w długach po uszy. Po drugie nie mieli grosza na koncie w banku. Jeszcze zanim wyjechali na północ, wyczyścili je do cna. Po trzecie nigdy nie znaleziono żadnej łodzi. Ani kawałka złomu, żadnych wiosel, żadnych kamizelek ratunkowych. Po czwarte ten facet był iluzjonistą. Próbował usunąć swoje nazwisko z list osobowych kompanii Charliego, próbował spowodować własne zniknięcie i był cholernie bliski powodzenia... Po któreś tam Kathy to osobna historia. Ten jej dentysta, te jej pryśnięcia co jakiś czas. Pamiętam, jak wtedy, w Vegas, kupę lat temu, rozmawialiśmy o tym że czasem człowiek powinien się odklinować. Może to w końcu zrobiła. Może oboje ukartowali to od początku do końca. Jak się nad tym zastanowić, oni za cholerę nie mieli do czego wracać... reputację diabli wzięli, nie ma mowy o dalszej karierze, rachunki sięgają dupy. Chryste, ja też bym zwiął.

- Anthony L. (Tony) Carbo

Te mapy turystyczne. Po co mu mapy, jeśli chce się wykończyć? Dla mnie to raczej wycieczka.

- Myra Shaw (kelnerka)

Jasne, że przyszło mi to do głowy. Jedną zaginioną osobę jeszcze kupię, ale przy dwóch pod rząd robię się nerwowy.

Zawsze mnie dręczyło parę spraw. Na przykład ten dzień, gdy ona zaginęła, Wade całe popołudnie opłacał rachunki i porządkował swoje sprawy. Nie zrobił tylko jednego - nie napisał testamentu. To daje do myślenia. Ale przede wszystkim to jego zachowanie, wie pan. Ten facet wcale nie wyglądał na zmartwionego. Tylko siedział i siedział. Cała jego postawa mi się nie podobała... to nie wyglądało normalnie.

- Arthur J. Lux (szeryf, hrabstwo Leśne Jezioro)

Najpierw przyszło mi do głowy, że pewnie utonęła. Jakiś wypadek, pomyślałam, ale teraz nie jestem nawet w połowie tego pewna. Mówiłam panu, że kiedy zbieraliśmy się w biurze i robiliśmy coś w rodzaju burzy mózgów, wszyscy dochodziliśmy do wniosku, że wyglądała, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Tuż po wyborach wydawała się niemal niefrasobliwa. Niewiarygodnie szczęśliwa. Nigdy jej takiej nie widziałam. Wtedy sądziłam, że to po prostu ulga. Ale może chodziło o coś więcej. Może postanowili.. Trudno powiedzieć. Ale jedno wiem. Ona miała charakter. I chciała zmian.

- Bethany Kee (zastępczyni kierowniczkki dziekanatu, Uniwersytet Minnesota)

Człowiek musi mieć jakąś nadzieję. Ja mam nadzieję, że są szczęśliwi Zastępowali na trochę szczęścia.

- Eleanor K. Wade

*Taaa, jak znam Czarodzieja, chował w rękawie jakąś cwana lipę. Ten facet miał miliony możliwości Ale gdziekolwiek by był, założę się, że jeszcze ma koszmary. Założę się, że jeszcze próbuje wybić te muchy.*¹⁰

- Richard Thinbill

Przypisy

¹ Jay Robert Nash, „Among the Missing” (New York, Simon and Schuster, 1978 r.), s. 189.

² Ambrose Bierce, list, w: Nash, „Among the Missing”, s. 80-81. Ten błyskotliwy pisarz zniknął w Meksyku bez śladu. Jego ostatni list nosi datę 26 grudnia 1913 r.

³ Zygmunt Freud, cytowany w: Alfred Kazin, „The Self and History: Reflections on Autobiography”, w: Pachter, wyd., Telling Lies: „The Biographer’s Art”, s. 74.

⁴ Ambrose Bierce, list do pani J. C. McCrackin, w: C. Hartley Grattan, Bitter Bierce: „A Mystery of American Letters” (Garden City, N.Y., Doubleday, Doran & Co., 1929), s. 75-76.

⁵ Nathaniel Hawthorne, „Wakefield”, w: „Twice-Told Tales” (reprint, Boston, Houghton Mifflin & Co., 1889 r.), s. 162.

⁶ John Dominic Crossan, „The Historical Jesus: The Life of a Mediterranean Jewish Peasant” (New York, Harper Collins, 1992 r.), s. 426.

⁷ Gubię gdzieś swoje życie - ona ma rację. Ale istnieje przecież głód poznania tego, co nie może zostać poznane. Nasze własne dzieci, nasi ojcowie, nasze żony i mężowie, czy rzeczywiście ich znamy? Ile z tej wiedzy to kamuflaż? Ile wynik domysłów? Ile kłamstw pada, kiedy i na jaki temat? Jak często mówimy sobie lub tylko myślimy: „Boże, ja jej wcale nie znałem”? Jak często budzimy się pogrążeni w rozmyślaniach... szukając ukrytej prawdy? O tak, to mnie gryzie. Mam swoje tajemnice, swoje zapadnie. Wiem coś o oszustwie. Zdecydowanie zbyt wiele. Wiem, że trawi człowieka i go korumpuje. Myślę, że na swój delikatny sposób Ruth Rasmussen chciała mi powiedzieć coś jedno cześnie brutalnego i prostego. Prawdę znajdujemy w sobie lub nie znajdujemy jej wcale.

„Nash, „Among the Missing”, s. 71.

„Sofokles. „Edyp w Kolonie”, w: „Tragedie”, tłum. Kazimierz Morawski, Warszawa 1969 r., PIW, s. 521-522.

¹⁰ Wybić muchy - tak. Może. Ale to jednak zastanawiające, jak umysł potrafi

wymazać wszystkie okropności. Materiał dowodowy pozwala wnosić, że John Wade potrafił przez blisko dwadzieścia lat mistrzowsko wykonywać sztuczkę zapominania, jakoś sobie z tym wszystkim radząc, jakoś to od siebie odsuwając, i ja sam, sądząc po własnych doświadczeniach, rozumiem, że

299 mógł puszczać pewne rzeczy w niepamięć, że mógł uniknąć wewnętrznej konfrontacji z rzezią w Thuan Yen, a nawet o niej nie pamiętać. We mnie niewiele pozostało z tej wojny po upływie ćwierć wieku. Garstka zamazanych obrazów. Dowódca mojej kompanii pochylający się nad martwym żołnierzem i wycierający jego twarz ręcznikiem. Jakiś porucznik niosący na ramieniu martwe ciało jak wielki wór karmy dla ptaków. Moje własne dłonie. Oszołomiony wzrok któregoś kumpla. Wzlatujący ku koronie drzewa chłopak o nazwisku Chip Merricks. Skrawek pola ryżowego bulgoczący od kul karabinów maszynowych. Cała reszta to pasmo płotów, ścieżek, min lądowych, strzelców wyborowych i śmierci. Pokonywaliśmy jak lunatycy puste wioski, tropieni przez wroga, którego nigdy nie udało nam się znaleźć, sprowadzając helikoptery służb medycznych, ładując na nie ofiary i znów ruszając w kierunku kolejnej śmiercionośnej wioski. Za sobą zostawialiśmy ślad w postaci ognia i dymu. Prosiłiśmy o śmigłowce bojowe i naloty. Dopuszczaliśmy się przemocy. Sialiśmy zniszczenie. Waliliśmy kolbami karabinów. Zanieczyszczaliśmy studnie. Kopaliśmy i biliśmy. Paliliśmy wszystko, co nadawało się do spalenia. Tak, to także były akty okrucieństwa - brudne sekrety, które zamieszkały na zawsze w nas wszystkich. Mam własnego starszego szeregowca Weatherby'ego. Własnego starca z motyką. A jednak jakiś abstrakcyjny rys sprawia, że rzeczywistość staje się nierzeczywista. Podobnie jak John Wade przez lata, które minęły od tamtej pory, niewiele pamiętałem, niewiele czułem. Może wymazywanie z pamięci jest konieczne. Może ludzka dusza broni się tak samo jak ciało - atakując zarazki, izolując i niszcząc jady, które inaczej by nas zniszczyły. A jednak to osobliwe. Czasami, zwłaszcza gdy jestem sam, łapię się na rozmyślaniu, czy moje stare, postrzępione wspomnienia nie zostały przeniesione z cudzego życia albo z kawałka prozy, który kiedyś czytałem lub o którym słyszałem. Moja własna wojna nie należy do mnie. Dziwnym sposobem jeszcze teraz odbieram przejścia Johna Wade'a - długie lata milczenia, kłamstw i tajemnic - z wyrazistą, żywą jasnością, która zdaje się dużo bardziej autentyczna niż moje własne, odległe doświadczenia. Może po to jest ta książka. Żeby mi przypomnieć. Żeby mi zwrócić moje stracone życie.

XXXI Hipoteza

Jeśli wszystko jest przypuszczeniem, jeśli zakończenie to powietrze, to dlaczego nie

założyć, że jest szczęśliwe? Czyżbyśmy byli tak cyniczni, tak wyrafinowani, że wykluczamy nawet najmniejszą możliwość szczęśliwego zakończenia? Tamtej nocy na werandzie, we mgle, John Wade obiecał żonie wyjazd do Werony.¹ Luksusowe hotele i pełen autobus dzieci. A potem długo tulili się nawzajem w ciemności, czekając na spełnienie tych marzeń, na jakiś nagły cud. „Szczęścia - powiedziała Kathy. - Niczego więcej”.

¹ Nawet to jest domysłem, ale co innego nam pozostaje? Zob. Crossan, przyp. 6 s. 297.

Czyżby szczęście przynosiło uszczerbek naszej wiarogodności? Czyżby było w ludzkiej duszy coś, co nie pozwala ufać jej własnym apetytom, jej własnej tęsknocie za zdrowiem i zadowoleniem? Czyżbyśmy nie mogli uwierzyć, że dwoje dorosłych, kochających się ludzi² może postanowić, że dokonają swojego własnego cudu?³

² Zob. Rozdział X.

³ Zob. Parrish, przyp. 1 na s. 101: „Jak już mówiliśmy, cud to skutek czynników sprawczych, które nie są nam znane”.

„Gdybyśmy mogli po prostu zasnąć i obudzić się szczęśliwi” - powiedziała być może, a Czarodziej być może się roześmiał i odparł: „Czemu nie?”, a potem przez resztę nocy być może obejmowali się i obmyślali szczegóły. Oczywiście, że to niewiarygodne. Bardziej prawdopodobne, że utonęli, że się zgubili przypadkiem lub świadomie. Czy ktokolwiek się dowie? To od początku do końca hipoteza. Może Kathy powiedziała we mgle: „To się uda... teraz” i może Czarodziej mruknął coś o dwóch węzach przy ścieżce w Pinkville, o rym, że przez całe lata zastanawiał się, co by było, gdyby te głupole zdołały jakoś pożreć się nawzajem. Wyświechtana, stara historyjka. Jeśli Kathy się uśmiechnęła, to tylko z uprzejmości. Ale może powiedziała: „Spróbujmy tylko”.

Zbyt sentymentalne? Wolelibyśmy zalanie wrzątkiem głęboką nocą? Imbryk i poparzone ciało?¹

¹ To jest w końcu kwestia smaku albo estetyki, ale ugotowanie jest tą możliwością, którą muszę odrzucić jako pozbawioną wdzięku i jednocześnie odrażającą. Poza tym materiał dowodowy ma swoją wagę. On za nią szalał.

Może i tak.²

² Bo z drugiej strony gustów się nie tłumaczy. To kwestia opinii. Może wy słyszycie jej krzyki. Może widzicie parę wydobywającą się z jej oczodołów.

Ale materiał dowodowy nie wyklucza ewentualności, że ratowali własną skórę. John Wade był iluzjonistą. Nic go nie skłaniało do powrotu. Więc może pewnego chłodnego popołudnia dobił do niej przy brzegu Wyspy Oak, Wyspy Massacre albo Wyspy Buckete. Może wyrzucała mu, że się spóźnił. Wokół nich była tylko dzicz, ciemna i milcząca, a tego

właśnie szukali. Potrzebowali samotności. Potrzebowali wspólnej ucieczki. Może spędzili noc skuleni przy niedużym ognisku, świętując swój krok, wymyślając imiona dla dzieci, które chcieli mieć - czasem tak zabawne, że wybuchali śmiechem - a później obmyślając umeblowanie swojego nowego domu, snując plany kupna przepięknych dywanów i staroświeckich mosiężnych lamp, ustalając dokładny kolor tapet i inne szczegóły. Pewnie wsłuchiwali się w noc. Pewnie słyszeli szelest wśród drzew, odgłos rośnięcia i odgłos gnicia, plusk fal jeziora o brzeg. Może się kochali. Może owinęli się w koce, zasnęli i obudzili się szczęśliwi, i może rano wzięli kurs na północ, ku Kenorze, albo na zachód, ku Winnipeg, gdzie pozbyli się chris-crafta i pieszo dotarli na dworzec autobusowy albo lotnisko.

Dokumenty? Paszporty?

Przecież był Czarodziejem.

Wysoko nad Atlantykiem opuścili oparcia foteli i zrzucili z siebie wszystkie tajemnice. Te dobre i te złe. „Kath, moja Kath” - szepnął pewnie Czarodziej, jakby chciał wywołać ducha Kathy. Czuł jej wdech i wydech na swojej dłoni. Dla obojga była to zabawa w spełnianie życzeń, tylko że tym razem widzieli je od wewnątrz. Może pewnego dnia odkryli szczęście na ziemi - powiedzmy, w jakiejś tajemnej krainie albo egzotycznej, cudzoziemskiej stolicy, gdzie obowiązują dziwaczne zwyczaje i mówi się trudnym, nowym językiem. Mogli tam zamieszkać tylko za cenę wielu wysiłków i zmian, ale chcieli się uczyć.

1

¹ Serce mi mówi, żeby tu się zatrzymać, dać swoje błogosławieństwo i ogłosić koniec. Ale prawda na to nie pozwala. Bo nie ma końca, szczęśliwego czy nie. Nic nie zostało ustalone, nic nie zostało rozwiązane. Fakty, wątle bo wątle, ostatecznie szybują w pustkę kryjącą rzeczy zaginione, w nierozwiązywalność rozwiązania. Tajemnica w końcu bierze nas w swe władanie. Kim jesteśmy? Dokąd idziemy? Niejednoznaczność może i rozczarowuje, a nawet irytuje, ale to jest historia miłosna. Nie ma w niej ładu. Winić za to należy ludzkie serce. W taki czy inny sposób wszyscy, jak się wydaje, wykonujemy sztuczki eliminowania, wymazywania historii, zamykamy nasze życie na klucz i pogrążamy się dzień po dniu w szarzejących cieniach. Nasze miejsce pobytu jest niepewne. Wszystkie tajemnice prowadzą w ciemność, a poza granicami ciemności istnieje tylko możliwość.

John Wade po raz ostatni nadawał przez radiostację wczesnym rankiem w niedzielę, 26 października 1986 r. Rzucił w przestrzeń kilka bezsensownych zaklęć, przeprosin i pokajań, cichych wyrazów żalu. Mówił tonem spowiedzi. Czasem wybuchnął płaczem. O świcie, na chwilę przed zakończeniem transmisji, chyba zupełnie się załamał. Nie umysłowo, lecz emocjonalnie. Odmawiał pokiereszowane modlitwy, kierował do Kathy i Boga

spazmatyczne błagania. Bez ogródek rozprawiał się ze swoim ojcem, od którego żądał teraz uczucia, zebrząc o jego szacunek i wsparcie. Pod koniec jego głos zaczął tonąć w jeziorze, stał się prawie niesłyszalny, przemienił się w małe bąbelki sentymentalnego bełkotu: „Twoje tenisówki. Te serca, które narysowałem... Tylko dla miłości, tylko po to, żeby być kochanym... Bo raz zapytałaś, co jest święte? Bo odpowiedź zawsze brzmi: ty. Święta? Teraz już wiesz... Gdzie jesteś?”

Morderca?

Mężczyzna, który potrafiłby zalać wrzątkiem?

John Wade w swoim przemówieniu ani razu nie przyznał, że ma choćby blade pojęcie o miejscu pobytu Kathy, ani też nie dał do zrozumienia, że ukrywa jakieś informacje. To mnie zastanawia. Czyżby nawet dla Johna Wade'a wszystko było czystą zagadką? Czyżby pewnego dnia odkrył po obudzeniu, że jego żona zniknęła, zniknęła na zawsze, a cała reszta jest niewiadomą? Czyżby poszlaki prowadziły donikąd? Czyżby znalezienie wyjaśnienia nie leżało w zasięgu jego możliwości?

Wydaje mi się, że absolutną prawdą może być w tej historii smutek. John tęsknił za Kathy. Była jego światem. Mogli być razem tacy szczęśliwi. Kochał ją, ona odeszła, a on nie mógł znieść tej okropności.

Zima nadeszła wcześniej tego roku. Późnym popołudniem 26 października wyspy i wybrzeża Leśnego Jeziora pokrywała już piętnastocentymetrowa warstwa śniegu. Ptaki odleciały, przyroda zamarła, sosnowe lasy stały milczące w białym okryciu. We wszystkich kierunkach, aż po horyzont, rozciągała się tylko wielka przestrzeń mrozu, tworząc pełną harmonii, lodową koronkę frędzli pokrewieństwa. John Wade zgubił się w tej płataninie. Był sam. Płynął na pełnym gazie. Deklamował wiatrowi - jej imię, swoją miłość. Kierował się na północ, klucząc od wyspy do wyspy, mknąc między wodą i niebem.

Czy możemy uwierzyć, że nie był potworem, lecz człowiekiem? Że nie ponosił winy za nic z wyjątkiem swego życia?

Czyżby prawda była tak prosta? I tak straszna?